

FELICJA KONARSKA

LIŚCIE NA WETRZE.

Pamięci moich
Rodziców.

Str.

1. Wstęp
Trochę o ludziach z Wołynia i o naszej rodzinie.
14. Rozdział pierwszy.
Sobota, 10 lutego 1940 roku-
Początek niedoli.
28. Rozdział drugi.
Niekończąca się podróż.
43. Rozdział trzeci.
Miasto Kotłas-
Tułaczki ciąg dalszy.
61. Rozdział czwarty.
Miejsce przeznaczenia- posesiłek Obil.
66. Rozdział piąty.
Praca ponad siły.
88. Rozdział szósty.
Czyaby odwilż?
109. Rozdział siódmy.
W czerewkowskim sowchozie.
133. Rozdział ósmy.
Kotłas po raz drugi-
Nasza tragedia.
160. Rozdział dziewiąty.
Tisowaja-Dom Dziecka po raz pierwszy.
191. Rozdział dziesiąty.
Solwyczegodsk-Dom Dziecka po raz drugi.
204. Rozdział jedenasty.
Jedziemy nad Kłazmę-kolejny Dom Dziecka.
213. Rozdział dwunasty.
Życie w domu nad Kłazmą.
235. Rozdział trzynasty.
"Czy chcesz wrócić do Polski?".
239. Rozdział czternasty.
Nareszcie Polska!
255. Rozdział piętnasty.
"Nasz Dom"na Bielanach-czy kres tułaczki?

WSTĘP

Trochę o ludziach z Wołynia i o naszej rodzinie

Wspomnienia moje pragnę poświęcić ludziom tzw. "kresów" przedwojennej Polski, a szczególnie obywatelom Wołynia, bowiem ten region Polski jest mi najbliższy.

Po dziesiątkach lat wstydlwego milczenia nadszedł czas szczerości. Chcę powiedzieć o "ukaranych" za niepopelnione winy. Byli skrzywdzeni, a nie zostali zrehabilitowani. Odebrano im wszystko, a niczego w zamian nie dano.

Chcę mówić o tych co po długiej tułacznej poniewierce wrócili do kraju i o tych, co wytęsknionej ojczyzny nie zobaczyli.

Przez długie lata nie mówiło się o tym, że w środku ciężkiej zimy zostali wyrwani ze swoich gniazd niewinni ludzie i wywiezieni w bydłych wagonach daleko, tysiące kilometrów w głąb syberyjskiej tajgi, na niedolę i zatracenie.

Pragnę opowiedzieć o ich ciężkiej - czarnoroboczej - pracy w łagrach i posiołkach, o głodzie, na mrozie, w spiekocie i znoju.

Spróbuję opisać ich smutek, choroby, rozpacz, załamania i... śmierć. Nowa powojenna ojczyzna nie była matką dla ludzi z za Buga. Biedni zabużanie, tam byli polskimi "panami", a tu po powrocie "chamami z za Buga". O ironio!

Tym co wrócili nie było wolno głośno mówić o doznanej krzywdzie i niesprawiedliwości. Dziesiątki lat tak niewinnie mówiło się i pisało, że "przebywali" lub byli "przesiedleni" na tereny Związku Radzieckiego.

Nikt nigdy nie powiedział, że kazano "kresowiakom" spakować rzeczy w ciągu parudziesięciu minut, zostawić swój życiowy dorobek i wynosić się ze swoich domów, że pod konwojem powieszono ich w nieludzkich warunkach na tułaczkę za to tylko, że byli Polakami i o tę Polskę krew przelewali.

Nie wspomniano o stracie najbliższych, o młodzieży umierającej na galopujące suchoty w ciągu siedmiu tygodni, o dzieciach zagłodzonych na śmierć, o sponiewieranej i upokorzonej starości... o wielu krzywdach się nie mówiło.

Dowiadywałam się z tzw. "prawdziwych" źródeł, że przesiedlano wyłącznie Żydów i uciekinierów, co kryli się przed Niemcami. Stałej ludności nie ruszano.

Nic bardziej fałszywego!

Niech mi będzie wolno pełnym głosem oświadczyć, że wywożono obywateli tamtych terenów, ludzi zasiedziały na tych ziemiach z dziada pradziada, nie zaś Żydów czy uciekinierów, choć ich również.

Byliśmy mieszkańcami tej ziemi /jak choćby w przypadku mojej mamy/, których pradziadowie żyli, pracowali i umierali tutaj. Byli Polakami, walczyli o polską mowę, kulturę i zachowali polską tradycję.

Nosili się z polska i dumni byli ze wszystkiego, co świadczyło o ich polskości.

Za to, że byli Polakami represjonowano ich. Konfiskowano majątki, pozbawiano praw i tytułów, zsyłano na Sybir, zamykano polskie szkoły i kościoły. Wiele wycierpieli, nim doczekali niepodległej ojczyzny.

Począwszy od 1940 roku wywożono przede wszystkim rodziny wojskowych, rodziny osadników wojskowych, leśników, inteligencję, policję i tych "napływowych", co jawnie opowiadali się

Polakami.

Pochodzę z rodziny wojskowego osadnika i byłego legionisty Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Tato czuł się obywatelem Wołynia, choć z pochodzenia był górą-lem z domieszką greckiej krwi. Urodził się w biednej nowosa-
deckiej wsi.

Był zdolny, ba, utalentowany nawet, ale biedny... Uciekł z domu. Potem była austriacka armia, z której przedostał się do Legionów, do legendarnego Wodza, o którym mówiło się, że jest tym, co wskrzesi Polskę po przeszło stuletniej niewoli.

Różne przechodził koleje: były okopy, rany, choroby, wszy i głód.

Z Legionami wyzwalał Polskę spod zaborów, z Legionami szedł na Kijów w 1920 roku. Za to z rąk Naczelnika dostał Krzyż Walecznych i ziemię pod sławnym Beresteczkiem na osadzie Ostrowskiej. Był osadnikiem wojskowym i obywatelem Wołynia. Tam został, żył i pracował. Wołyń - to jego ojczyzna.

W cudownym beresteckim kościele poznał mamę, bo wiadomo; do kościoła chodzi się nie tylko na mszę...

Mama była rodowitą wołynianką.

Z relacji mamy wiem, że w mundurze ułana i na koniu wyglądał tato wspaniale. Nie jednej dziewczynie rwało się serce do "malowanych" ułanów.

Oni spodobali się sobie: mama Stefania Zawadzka - obywatelka na Białym Ługu i tato, Walenty Tais - prosty góral.

Mama była piękna i młoda, ale dziadkowie uważali, że to już najwyższy czas iść pannie za męż. Miała bowiem dwadzieścia sześć lat. Była jedyną niezamężną córką. Jej siostry starsze Marcelina i młodsza Anastazja od wielu lat były zamężne. Stefania nie podporządkowała się woli rodziców. Była dumna i upar-

ta jak ojciec, a nasz dziadunio. Nie była potulną panną jak na tamte czasy. Miała swoje zdanie, a o swoim losie decydować zamierzała sama.

Początkowo zakochał się w niej deputatczyk, jak go dziadunio nazywał. Miał wszystko: majątek, wykształcenie, mir i szacunek u ludzi, ale jednej najważniejszej rzeczy mu brakowało: - nie był Polakiem.

Dziadunio wydawał córki za Polaków, bowiem jego wnuki nie będą chrzczone w cerkwi. Muszę dodać, że na codzień dziadunio posługiwał się językiem ukraińskim. Wynikało to z tego, że otoczeni byli Ukraińcami. Służba i najmcy to także Ukraińcy. Majątki Polaków porozrzucane były daleko jedno od drugich.

Miał dziadunio swój honor i dumę i co innego był powszedni, zwykły dzień, a co innego taka ważna sprawa jak przyszłość wnuków. Wnukowie musieli być Polakami.

Swoje dzieci dziadunio uczył i wychowywał po polsku. W pobliżu nie było polskich szkół. Dziadunia stać było na to, by do córek mieć pannę nauczycielkę w domu. W domu zatem uczyły się dziewczynki wszystkiego od "a" do "z".

Długi czas dziadunio nie "zauważał" Iwanka-deputatczyka wpatrującego się w Stefunię. Nie słyszał również jej wzdychań i szeptów z siostrami.

"Przypadkiem" przed kościołem Iwanko spotykał dziadunia i córki wysiadających z bryczki. Wtedy czapeczka Iwanka leciała do ziemi w niskim ukłonie przed dziaduniem. Stefunia rumieniła się i szybko oddychała ze szczęścia. Iwanko wchodził do kościoła, stawał przy dziaduniowej ławce i ukradkiem spoglądał na panienkę. Spojrzenia ich krzyżowały się i mówiły więcej niżby powiedziały słowa.

Dziadunio wiedział, że sprawa robi się poważna, wezwał córkę i spytał surowo: "Stefuniu, a czemuż to czapeczka tego deputatczyka leci do ziemi jak mnie widzi. Co on robi w kościele, czyżby się przechrzczył?"

Spuściła oczy i nie odpowiedziała. Dziadunio dorzucił: "Powiedz jemu, że nie ma co tutaj szukać" - wstał i wyszedł.

Rozpłakała się dziewczyna, chciała prosić ojca za miłym, ale nie pobiegła za ojcem. Stefunia miała 16 lat i serce pełne nadziei, ale z ojcem nie było dyskusji. Przeboleła i popłakała w swojej komórce i przestała czapeczka Iwanka lecieć w dół przed dziaduniem. Ustały "przypadkowe" spotkania.

Do końca życia wspominała mama swego czarnobrewego Iwanka-deputatczyka.

Skoro dziewczyna wolę bożą czuje trzeba zatem wydać ją za mąż. Obydwoje z babunią obmyślili, że najlepszym kandydatem będzie wdowiec, obywatel szanowany i bogaty, a to, że ma córkę w wieku Stefuni, jest gruby i o pół głowy niższy, nie wchodziło w rachubę.

Zaczął wdowiec przyjeżdżać dwukółką do dziadunia. Najpierw z rzadka, potem coraz częściej i częściej. Stefania wiedziała, że to o nią chodzi, ale znaku po sobie nie dawała, że ją to obchodzi. Jej serce nie było czułe na umizgi obleśnego "starego". Po każdym wyjeździe wdowca drżała, że ojciec wezwie ją i powie o małżeństwie, oddychała z ulgą gdy do rozmowy nie dochodziło.

Dziadunio wypytywał babunię co myśli córka o starym /wszystcy go tak nazywali/ i martwił się, że zawzięta. Każda próba rozmowy babuni z nią kończyła się stanowczym "nie". Przeraził się dziadunio, że to wiek już panna ma, że ho, ho /18 lat!/ i ludzie na języki wezmą.

Wezwał córkę i zakomunikował jej, by szykowała się do spo-

wiedzi i przejrzała wyprawę, a to "pleśnią zajdzie"

Stefunia odważnie podniosła oczy, spojrzała na ojca i powiedziała, że owszem, pójdzie do spowiedzi, ale będzie to jej ostatnia spowiedź w życiu. Dziadunio wpadł w "cholera", rzucał się, ciskał i... pojechali "młodzi" do spowiedzi. Spowiedź, rzecz święta, aliści niebawem zajęchała księżowska kolaska na dziaduniowy dziedziniec. We dworku zrobiło się cicho, bo ksiądz ani nie uszczypnął Tekluni, ani nie pogłaskał główką młodszych dzieci. Prosto pobiegł do dziaduniowego gabinetu. Słysząc było wzburzone głosy - to dziadunia to ksiądz: "Dziewczyńskie fanaberie i fochy" - krzyczał dziadunio, a ksiądz swoje, że sakrament nie może być zniewoleniem, że to jawny gwałt.

Głośno krzyczeli do siebie zaciętrzewieni - ksiądz z dziaduniem. W końcu ksiądz wybiegł jak furiat, wskoczył do kolaski i dobrze przyłożył Bogu ducha winnemu siwkowi, smacznie zającemu obrok.

Babunia przeżegnała się i weszła do dziadunia.

Ksiądz, był młody i nieurodziwy, lecz duszpasterz ^{doskonały.} Mówiono o nim, że chodzi z sercem na dłoni. Dbał i nie pozwalał krzywdzić swoich parafianek; mało tego, o dobrą przyszłość dziewcząt zabiegał więcej niż rodzony ojciec. Gromił z ambony "pogański" zwyczaj wydawania córek za tych, co się ojcom podobają i przypochlebić potrafią.

Na co dzień jednak szalały i żartownię z niego był wielki. Nieraz jadąc przez wieś swoim tłustym siwkim, pokrzykiwał do dziewczyn rwących czereśnie w dziaduniowym sadzie: "Szczęść Boże", a one chórem odpowiadały: "Daj Panie Boże".

Wtedy zatrzymywał Siwka i wołał: "Hej, młodocie, idę potrzymać wam drabiny, żeby która nie spadła" i robił ruch, jakby szykował się do skoku. Dziewczyny piszcząc i chichocząc w

kułaki owijały się szerokaśnymi spódnicami i ścisnęły je kolanami. Co bardziej płochliwe zeskakiwały z drabin i chowały się w grzędach. "Starsza" wynosiła księdzu hladyszkę czereśni na drogę i ksiądz śmiejąc się z udanego dowcipu jechał dalej.

... Babunia zawołała córkę i dziadunio, nie patrząc na zapłakaną dziewczynę, powiedział łagodnie, że jak jej wola taka, to niech nie idzie za "starego", gospodarka i tu duża i przydadzą się ręce do roboty, bo chłopcy jeszcze mali. Chciała Stefunia wyjechać, uczyć się, ale i na to dziadunio nie wyraził zgody. Została więc i pracowała. Biedna dziewczyna nie spała całą noc, wyżaliła się do poduszki, ale rano babunia nie pozwoliła budzić jej do roboty.

Nikt więcej o zamążpójściu nie wspominał. Lata uciekały szybko, coraz szybciej jedno po drugich. Tylko czasami, kiedy zbliżało się Boże Narodzenie, dziadunio wzdychał i mówił niby do siebie: "Ho, ho, jak ten czas leci, tak niedawno byłaś tyci maleńka /pokazywał ręką, jaka to była "tyci"/, a to już tyle lat, tyle lat" - zamyślał się. Stefunia urodziła się w samo Boże Narodzenie - 26 grudnia.

I tak to minęło osiem lat; aż tu zjawił się ułan i po tylu latach zdołał poruszyć sercem panny. Była zakochana i z własnej nieprzymuszonej woli wyszła za mąż.

Zamieszkali w Beresteczku "Na Piaskach" w wynajętym domu. Tam przyszli na świat moi bracia: Euzebiusz, Eugeniusz, Emilian. Moja siostra Maria-Magdalena i ja Felicja-Elżbieta urodziłyśmy się już na osadzie w Ostrowie.

Tato uprawiał ziemię, sadził drzewka w sadzie, zakładał pasiekę. Cały majątek obsadził czereśniami i lipami. Sad otoczył płotem, posadził żywopłot z grabinki i leśzczyny.

Aleję wjazdową wysadził lipami i akacjami. Pracował szybko

i sprawnie, chciał aby mama przyjechała na gotowe, aby była panią na swoim.

Dom "Na Piaskach" stawał się za mały. Potrzebni byli służący i dziewczyna do dzieci

Na osadzie budował dom, stodołę, oborę, stajnię i zabudowania gospodarcze.

Rodzice byli zamożni, bogaci nawet, ale ciężko na to pracowali. Ja myślałam /kiedy trochę podrosłam i zaczęłam myśleć/, iż to wszystko co mieliśmy było "zawsze".

Tato, jak przeważnie górale, był wybitnie uzdolnionym do wszelkich manualnych czynności. Potrafił zrobić wszystko, co gdzie zobaczył lub sobie wymyślił. Uwielbiał kwiaty, więc robił przepiękne klomby, za które dostawał honorowe wyróżnienia. Rzeźbił, więc miałyśmy z siostrą najpiękniejsze mebelki w naszym pokoiku. Był wielkim artystą-samoukiem. Był mądry i światły. Prenumerował "Plon" i inne pisma i gazety. Myślę, że to epoka była taka, bo przecież tato nauk wielkich nie pobierał, a był tak cenionym i szanowanym obywatelem, iż naszymi gośćmi byli ludzie, którzy o niebo wyżej stali od taty pod względem wykształcenia. Witos też miał 4 klasy, a był premierem. Mój tato nie był premierem, lecz miał niezwykle szerokie horyzonty. Do taty przychodzili sąsiedzi-osadnicy radzić się w wielu sprawach, do taty przyjeżdżał kpt Passendorfer - zwierzchnik nad osadnikami, u taty bardzo często radził się i przebywał kpt prof.gimnazjum - pan Żechak.

Podczas wojskowych manewrów wyżsi oficerowie przebywali u nas. Dom nasz płynął mlekiem i miodem. Zdanie mojego taty było ważne i ważkie. Był wielkim społecznikiem. Z inicjatywy taty powstała piękna szkoła w Ostrowie /jest do dziś/. Tato zainicjował budowę mleczarni na osadzie Pleszowe i tworzył kilka

samokształceniowe. U nas, jako pierwszych na osadzie, było radi najpierw na słuchawki, a potem "głośnikowe". Przez 16 lat gospodarowania moich rodziców mieliśmy wszystkie maszyny, jakie wówczas były znane i potrzebne w gospodarce: był kierat, młoc-karnia, wiałnia, siewnik, wszelkie pługi, kultywatory, brony itd. Nasza pasieka była największą w promieniu wielu kilometrów. Nasz piękny obszerny, nowy dom był na ukończeniu. Gospodarka nasza, jeżeli nie była największa, to na pewno najwspanialej prosperująca. Były czasy, że mieliśmy po 21 sztuk bydła, w tym po kilkanaście dojnych krów. Oczywiście byli służący i parobki, ale rodzice nie pokładali rąk, żeby mieć, trzeba było dobrze wszystkiego dopilnować i doglądać. Moja mama nie pracowała w polu, ale nigdy nie kładła się pierwsza spać, a wstawała najwcześniej. Mama miała pełne ręce roboty. Była nas piątka ma-łych dzieci i olbrzymia gospodarka. Było co robić i za czym chodzić.

Tato nie przepił, ani nie zmarnował ziemi, którą otrzymał od Naczelnika za walkę o niepodległość. Tato ją ulepszył i do-prowadził do rozkwitu.

Jako dzieci osadnika wojskowego mieliśmy przywileje, bowiem szkoły stały dla nas otworem i tato mawiał: "Nie martwię się za co posyłać dzieci do szkoły, lecz myślę o tym, by chciały się uczyć".

Mama była świetną gospodynią i doskonałą panią. Umiała i potrafiła pogodzić te dwie role ze sobą. Na wystawach dostawa-ła nagrody za najdorodniejsze bydło i najlepsze masło.

Tato miał szeroki gest, wyrzucali mu moi wujowie to, że brał furę zboża i jechał do Spały na dożynki i spotkania z Ko-mendantem. Faktycznie tak robił, lecz nie było to z uszczerbkiem dla nas.

Poza tym tato wcześniej stracił ojca. Niczego z domu nie otrzymał, bo nie było z czego dzielić. Swoją "dole" zrzekł się na korzyść matki.

Wszystko co miał, zawdzięczał ukochanemu Marszałkowi, który potrafił docenić poświęcenie i przelaną krew.

Marszałek Piłsudski był tatowym Wodzem, Miłością i Idolem. Tej miłości do Komendanta nauczył nas, dzieci. "Dziadka" kochałiśmy bezkrytycznie, jak tylko dzieci potrafią kochać. Żaden z "wodzów" po wojnie nie cieszył się nawet w setnej części taką czcią i szacunkiem jak Marszałek.

Kiedy nas wywożono, portret Naczelnika z tatowego biurka pojechał z nami na Sybir.

Przed wojną niczego nam nie brakowało, na niczym nie zbywało. Pamiętam jak mama mówiła do sąsiedzkich dzieci: "Zróbcie masło, to dam wam po osełce". Nam nie chciało się robić masła, bo wszystkiego mieliśmy w bród.

Jeszcze nie chodziłam do szkoły, więc długo z wieczora nie kładłam się spać, lubiłam z mamą "piec" ciasteczka i robić porządki. Rano zaś spałam do południa. Wstawałam około 11-12 i byłam zła, że nikt na moje wołanie nie odpowiada. O tej porze wszyscy pracowali, nikogo nie było w domu, prócz mnie "pańskiego dziecka".

Rodzeństwo od rana było w szkole, rodzice razem z "ludźmi" w polu lub obejściu, tylko ja spałam. Wychodziłam na ganek w swojej długiej do ziemi koszulince i patrzyłam jak przed stodołą, z dala od domu, wiruje się miód. Dzieci sąsiadów z kubeczkami na paluszkach stoją opodal i czekają aż tato da im miodu. Byłam "ważna", bo to "mój" miód się wirował. Podchodziłam do dzieci i ze złością szepotałam /żeby tato nie słyszał/- "wynoście się stąd, to mój tato wiruje miód"-ale tato nie zalewał

dzieciom miodu, każdemu dał do kubeczka. Mieliśmy olbrzymią pasiekę, "grzechem" byłoby nie mieć jej.

Był przeszło dwuhektarowy sad, w którym rosły, kwitły i owocowały wszystkie drzewa, jakie wówczas znano w Polsce. Majątek obsadzony był lipami i czereśniami, przed domem rozciągał się wiśniowo-morelowy sad. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni coś kwitło. Najwcześniej kwitły jabłonie, wiśnie, grusze i czereśnie, później krzewy agrestu i porzeczek, po nich kwitł bez, rozsiewał swój cudowny zapach wokół domu, zaglądał w zawsze otwarte okna. Kończył się bez wybuchają białymi kwiatami - jak śniegiem - akacje. Wtedy bracia mówili - "Kwitną akacje, czas na wakacje". Po wakacjach lipy, pola z delikatnie różową gryką i koniczyną, ze złocisto-ostrym rzepakiem, i łąki - a wszystko zdrowe i czyste. Jakże więc można nie mieć pasieki

Tylko leń lub głupiec nie wykorzystywał tych możliwości, by hodować pszczoły.

Tak więc moje cudowne dzieciństwo płynęło miodem i mlekiem niczego nie brakowało. Okres mojego krótkiego dzieciństwa kojarzy mi się wyłącznie ze słońcem, cudownym aromatem kwiatów i złocistym miodem. Nasi mądrzy i dobrzy rodzice otoczyli nas miłością i dobrobytem.

W naszym domu nie bito dzieci bez „rozumu i pamięci”, jak mówiła mama. Tato żadnej z nas nigdy nie uderzył. Karał synów, ale mądrze i sprawiedliwie. Myślę, że czasami dobrze jest "podpędzić" rozum nieco wyżej, bo zbyt często spada w dół. Moi bracia bywali szaleni. Potrafili niemal do upadłego zajeżdżać konie, ślizgać się na rzece ledwo ściętej lodem. Skakali do zdradliwego Styru nie bacząc, że są wiry i różne wgłębienia.

Kiedyś płynęliśmy łodzią i z zamyślenia wyrwały mamę głosy moich braci, którzy wołali: "Maas, który prędej do dozi" i...

skryły ich fale Horynia. Sparaliżowana przerażeniem mama nim zdołała zawołać o pomoc, ujrzała ich jak siedzieli z szeroko rozdziawionymi od śmiechu gębami na drugim brzegu rzeki.

Emil "połykał" książki, ale nie wychodziło to na dobre mnie i Marysi, gdyż po każdym przeczytaniu nowej książki stawał się jej głównym bohaterem. My natomiast byłyśmy brankami, niewolnicami lub jeszcze gorszego kalibru istotami.

Kiedyś całą trójką ganiałiśmy po stodołę. Emil był apaczem, łąpał blade twarze, by je oskalpować i palił tatową fajkę, która później miała być fajką "pokoju". Gonił nas, wymachiwał "tomahawkim", a my uciekałyśmy i kryłyśmy się gdzie się dało z przeraźliwym wrzaskiem, jakby już nas obdzierano ze skóry. Tato wpadł do stodoły i "czerwonoskóry" wcisnął zapaloną fajkę w snopy. Ze stodoły byliśmy przepędzeni, ale w zbożu została fajka. Cud lub przypadek, że zgasła. Wydało się to dopiero wtedy, gdy tato chciał zapalić. Oczywiście Emil dostał lanie, a my klęczałyśmy przed obrazami na ziarnach.

Tato bił chłopców, ale nie za byle co i z "rozumem". Na lanie trzeba było naprawdę "zasłużyć". Natomiast niektórzy sąsiedzi bili straszliwie i za byle co swoich synów. Sama widziałam, jak sąsiad łańcuchem bił swego syna Bolka tylko za to, że bez wiedzy dostał się do komórki i zjadł masło. Przed nami nigdy niczego mama nie zamykała. Mój tato - chrzestny Bolka - gdy tylko usłyszał, że ojciec "szykuje się" bić syna, biegł i zabierał chłopca do nas. Tato był bardzo silny i odważny i nikogo się nie bał.

Mama nasza uczyła nas dobroci i godności, nigdy nie straszyła nas diabłami czy piekłem. Zawsze podkreślała, że nikomu i niczemu krzywdy robić nie wolno.

W takiej rodzinie przyszedł na świat ja, w najpiękniej-

szym miesiącu 2 maja.

Kochano mnie bardzo i rozpieszczano, chyba w myśl powiedzenia, że najmłodsze dziecko kocha się najbardziej.

Rozpieszczali mnie wszyscy: rodzice, rodzeństwo, dziewczyny i parobki. Nazwano mnie "pańskim dzieckiem", a ponieważ podobało mi się to, więc sama też nazywałam tak siebie.

W piękny ciepły dzień /przed wojną dni zawsze były piękne i słoneczne/, przyszedł tato i przyniósł na moje urodziny horoskop od pani Żechakowej. Posadził mnie na kolana i przeczytał z dumą, że "kto urodził się w maju przed wielkim świętem, będzie piękny i szczęśliwy i wyrośnie na pociechę świata".

Wszyscy mnie całowali, głaskali po jasnych włoskach i przytakiwali: "To prawda, to prawda", a Hanka, mamina służąca huśtała mnie i mówiła: "Jakaż ona choroszeńka, jakaż myleńka".

Byłam szczęśliwa i dumna, obsypana prezentami i dobrymi życzeniami. Byłam oczkiem w głowie.

Od mojego kochanego brata Euzebiusza dostałam najpiękniejszą chorągiewkę na jutrzejsze święto - Konstytucji 3 Maja. Czyż nie urodziłam się przed wielkim świętem?

Niedługo potem zmieniło się wszystko...

Byłam głodna i opuszczona, samotna, niezrozumiana, bezsilna i poniżona. Byłam posądzana i zastraszona. Trapiły mnie choroby i smutek. Chciałam żyć - zebrałam i kradłam. Chciałam się uczyć - nie wróciłam do mamy. W tułaczce zgubił się mój cudowny miesiąc maj, z metryki wyleciała moja ojczyzna.

Przestałam wierzyć w horoskopy...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sobota, 10 lutego 1940 roku - Początek niedoli

Skutków wojny nie odczuwałam. Nie byłam głodna, niewiele zmieniło się w moim otoczeniu. Czasami płakałam /więcej ze złości niż z przerażenia/, że wieczorami zamiast wygodnie spać w swoim łóżeczku, mama wyprowadzała nas pod płot w gęste zarośla. Ścieliła tam koce, przykrywała kołdrami bez kopert i kazała zachowywać się cicho. Ukrywała nas przed Ukraińcami, którzy już wtedy napadali i mordowali Polaków. Z drugiej strony płotu mieszkał dzierżawca ukraiński, mama mogła przypuszczać, że bandyci nie domyślą się, że właśnie tam nas ukrywa. Ten dzierżawca był porządnym człowiekiem, o czym przekonaliśmy się dużo później.

Potem przychodzili do nas ludzie i zabierali nasz dobytek, jak swój. Przeważnie byli to ci, którzy kiedyś u nas służyli lub pracowali, oczywiście Ukraińcy. Widziałam jak mama stała z załamanyimi rękami i w milczeniu patrzyła na grabież swego życiowego dorobku.

Przyszedł również dawny nasz służący i wybierał co ładniejsze sztuki bydła dla siebie. Kiedyś służył u nas, byłam malenka i on bardzo mnie lubił, nosił mnie na rękach i śpiewał śliczne ukraińskie dumki. Do roboty nie "palił" się. Mama popędzała go, a on mówił:

- Idyt wy pani korowy pasty, a ja budu detymu bawyty.-
Mama śmiała się i mówiła, że jak on będzie panem, a mama służyć tak właśnie będzie. Iwaśko oddawał mnie dziewczynie i szedł do "tyłu" do roboty. Teraz przyszedł i przypomniał mamino słowa. Mama spytała go:

- A czy ja to co mam, zabrałam komuś?

W każdym razie osadnicy zaczęli się obawiać o swoje rodziny, myśleli o obronie. Tato i inni osadnicy wychodzili w nocy na warty, pilnowali poczty i innych obiektów. Ja jednak nie bałam się. W domu był "wszystkomogący" tato i to było najważniejsze. Przy tacie nic złego nie mogło nam się stać. Nie wiedziałam co to jest zagrożenie. Cieszyłam się, że Euzebiusz jesienią nie pojechał do szkoły. Wyobrażałam sobie, jak będzie mnie wozić na koniach, na sankach i bawić się będę miała z kim. Bardzo go kochałam.

Słyszałam jak osadnicy mówili, że kierownik ostrowskiej szkoły, pan Buciewicz cierpi głód z rodziną, a potem, że jest więziony i maltretowany przez Ukraińców, że ma powykręcane ręce i nogi. Te wiadomości nie miały dla mnie znaczenia grozy. Nie rozumiałam jeszcze tego.

Byli rodzice, byliśmy wszyscy w domu i to było najważniejsze. Wszystko inne wydawało się mniej ważne.

Nastała zima, a wraz z nią Boże Narodzenie. Była choinka i dużo radości. Czekały na nas napieczone i nagotowane wspólniałości. Tylko tato niczego nie upolował. Nie miał już broni.

Bracia moi szaleli na koniach i na nartach. Nie przypominam sobie smutku na ich twarzach z powodu niechodzenia do szkoły. Wiem, że dorośli byli w ciągłym napięciu, byli smutni i zadumani. Sąsiedzi wpadali do nas potajemnie, w nocy. Mężczyźni radzili o czymś i potem rozchodzili się pojedynczo i w tajemnicy. Byłam "dumna". Tyle ludzi przychodzi do taty, zamykają się i radzą, a ja cieszyłam się, że tato jest ten "najważniejszy".

I oto nastąpiła sobota, 10 lutego 1940 roku. Spaliśmy jeszcze gdy nagle ktoś zapukał kciukiem do drzwi i krzyknął: "otkroń".

Było może po szóstej. Tato wyjrzał przez okno i zobaczył kilku żołnierzy radzieckich i kilka par sań, /woźniców jednak nie rozpoznał/.

Mama otworzyła drzwi i do mieszkania wszedł oficer - enkawudzista. Pamiętam tylko jego sylwetkę, nie potrafię opisać jak wyglądał, wiem, że był Rosjaninem. Kilku żołnierzy na koniach otoczyło dom i podwórze.

Byłyśmy obie z siostrą zaciekawione tym, co się wokół nas dzieje.

Oficer zapytał czy w domu jest broń. Oboje rodzice zaprzeczyli. Mimo to kazał żołnierzom robić rewizję. Mama jeszcze raz zapewniła, że broni w domu nie ma. Faktycznie nie było, tato oddał ją organizacji, chyba w Łucku, która przygotowywała obronę Polaków przed Ukraińcami.

Zaprzestano więc rewizji. Okazało się, że dwaj bracia Euzebiusz i Emil byli już na nartach. Oficer polecił poszukać ich i przyprowadzić. Natomiast tacie kazał usiąść z rękami na stole i nie ruszać się. Sam też przy nim usiadł. Powiedział, że mamy dwie godziny na spakowanie rzeczy i należy się spieszyć. Przy czym trzeba brać żywność, ciepłą odzież, piły, topory, słowem wszystkie narzędzia, które przydadzą się do pracy w lesie.

Do mamy zwracał się bardzo grzecznie, można by określić wyszukanie. Niemal każde zdanie zaczynał lub kończył słowem "madame". Głośno wyraził swój podziw dla maminego rosyjskiego. Spytał, gdzie tak pięknie nauczyła się mówić po rosyjsku. Odpowiedziała, że z dziada pradziada tutaj mieszkają, a to przecież był zabór rosyjski. Przełknął tę odpowiedź i nie odzywał się dłuższy czas. Mama odważyła się i spytała dokąd nas wiozą i po co, dodała, że pewnie na Sybir, ale oficer zaprzeczył.

Wtedy mama poleciła braciom nakarmić bydło i rzucić słomy pod nogi, by nie przemarzły. Enkawudzista pozwolił im pójść z żołnierzem.

Mama wrzucała do kufra to, co jej nawinęło się pod rękę. Wtedy oficer wstawał od stołu, podchodził do mamy i starannie układał rzeczy, mówił przy tym, że jeżeli będą ułożone, a nie rzucone byle jak, to więcej rzeczy się zmieści. Głośno zachwycał się też kufrem. Mama opowiedziała mu, że w nim składana była wyprawa dla niej, od urodzenia do wyjścia za męża. Kufer istotnie był duży i kuty, aby go unieść, trzeba było dobrych kilku siłaczy.

Mimo nienajgorszej atmosfery, nikt z przybyłych nie powiedział dokąd nas wiozą. Od oficera począwszy, a na woźnicach kończąc, wszyscy mówili "w drugiej rajon". Podejrzewam, że jedni bali się drugich.

Poprzedniego dnia tato przygotował karmę dla pszczół. Poprosił więc oficera czy może to zanieść do uli, bo zima jest sroga i pszczoły mogą umrzeć z głodu zanim wrócimy. Biedny tato uwierzył słowu oficerskiemu, a to był przede wszystkim ekawudzista. Oczywiście poszedł z tatem do sadu. Nawet tam, gdy byli tylko we dwóch, nie zdradził się ani jednym słowem, że tutaj już nie wrócimy, że ten "drugiej rajon" to Sybir lub Kazachstan. Jak mógł patrzeć na to, że tato w takiej chwili myśli o tym, by mu pszczoły nie przepadły, zamiast brać wszystek miód, całą żywność ze sobą i myśleć o dzieciach, aby nie poumierzały z głodu, zimna i nędzy. Nie darmo był to enakwudzista, Biedny tato nigdy nie zobaczył swojej pasieki, swoich kochanych pszczół, które nie żądliły go nawet w czasie podbierania miodu. Była to naprawdę wielka wzajemna miłość.

Na strychu stały cztery banie z miodem, ale wzięliśmy

tylko dwie, po cóż więcej, skoro niedługo wrócimy?

W domu nie mieliśmy gotowego chleba. Była sobota i chleb "rósł" w dzieży, a ciasto w misce. Przepadaliśmy za drożdżowym ciastem i każdej soboty mama piekła je. Wydaje mi się, że nie ma nic lepszego nad drożdżowe ciasko z owocami.

Z podniecenia prawie nie jedliśmy śniadania. W ciągu tych dwóch godzin mama spakowała to, co jej wpadło w ręce i przewieziono nas do Ostrowa. Przed wyjściem mama przysiadła, a oficer uśmiechnął się i powiedział, że to ruski zwyczaj i dobrze, że mama go zna, bo przyniesie "szczęście".

Gdy tylko otworzyliśmy drzwi, by usiąść na saniach, omal nas nie wepchnęło do środka. Była straszliwa zamieć. Śniegiem kręciło tak, że światła nie było widać i mróz przy tym był tak wielki, że zapierał oddech. Oczy mi się załzawiły i od razu zrobiło mi się zimno i smutno. Zajechaliśmy do domu popa w Ostrowie /pop wraz z rodziną dawno, jeszcze przed inwazją, uciekł w głąb Polski/. Mama rozpałała pod płytą i zrobiła nam coś gorącego do zjedzenia, a my przy otwartych drzwiczkach ogrzewaliśmy ręce i nogi. „Popasaliśmy tutaj chyba z pięć godzin. Oficer po trosze popędzał nas do dalszej jazdy. Nagle usłyszeliśmy szczekanie psa. Z miejsca poznaliśmy, że to nasz kochany Negro. Jak nas znalazł, skąd się tutaj wziął? Przed wyjazdem tato przywiązał go, bo rzucał się i szczekał na żołnierzy, a tato nie chciał, aby go któryś zastrzelił. Wszyscy wybiegliśmy i rzuciliśmy się z płaczem i krzykiem na psa. Tu liliśmy mokry łeb przyjaciela, całowaliśmy go i płakaliśmy razem z nim. Na szyi nie miał paska. Widocznie zerwał go, gdy wyjechaliśmy. Dobrze, kochane psie serce. Prawdziwy przyjaciel, odnalazł nas mimo zawieruchy.

Negro miał 12 lat. Był równieśnikiem miła, podobnie jak

sad i pasieka. Z Emilem łączyła się dziwna przepowiednia, która /z małymi wyjątkami/ spełniła się prawie dokładnie. Kiedyś tato usłyszał ją od "Czarnej Pani"... Pojawiła się ona w życiu tata po raz pierwszy w 1915 czy 1917 roku. Ciężko ranny leżał w szpitalu polowym i nagle jakby spod szafki wyszła ubrana na czarno dama. Usiadła na łóżku. Zaproponowała mu grę w karty. Tato oczywiście ograł ją. Rozwścieczyła się i goniła za nim z nożem, a tato uciekał ile sił w nogach i chował się w nieznannej mu studni. Przy "skoku" do studni spadał z łóżka, a "Czarna Pani" zniknęła. Nie zdradzał się przed siostrami co go trapi, ale prosił je, by mu nie dawały długo spać. Wzruszały ramionami i odchodziły do innych rannych, a tato wpadał w malignę i znów wyłączała się "Czarna Pani". Powtarzało się to zawsze wtedy, gdy męczyła go wysoka gorączka. W 1920 roku pod Kijowem znów się pojawiła. Powiedziała mu, że nie wróci w swoje strony, że zamieszka tutaj. Znowu grali w karty. Prosiła tatę, aby pozwolił jej wygrać, ale tato zawsze ją ogrywał, więc go ciągle goniła i chciała zabić. Jakoś po wojnie 1920 roku zapomniał o niej. Zjawiła się znowu, gdy rodzice byli już małżeństwem i mieszkali w wynajętym domu w Beresteczku i po trosze na osadzie. Tato pracował już w swoim majątku, jaki dostał od Piłsudskiego na Osadzie Ostrowskiej. Niespodziewanie zachorował i znalazł się w szpitalu. Mama spodziewała się trzeciego dziecka. Przyszła do tata i dowiedziała się od niego, że będzie mieć syna. Zdziwiła się; tato opowiedział wszystko o "Czarnej Pani". Mówił, że go odwiedza i opowiada co się dzieje w gospodarstwie, który z parobków dobrze pracuje, który kradnie, jakie zwierzęte chorują itd. Ostatnio powiedziała, że urodzi mu się syn a na imię ma mieć Emil. Ona będzie się nim opiekować dopóty, dopóki będzie niebezpieczeństwo na zachodzie Polski i uprawiać swoje E na ziemi.

/Trzeba przyznać, że z grubsza "przepowiednia" ta się spełniła/. Mama uznała, że tato bredzi, więc poradziła by zastrzelił "Czarną Panią". Podczas następnej maminej wizyty w szpitalu tato był niespokojny i powiedział do mamy, że nie mógł się doczekać kiedy przyjdzie, bo "Czarna Pani" jest bardzo rozgniewana na mamę. Powiedziała do tata tak:

- Co twoja żona cierpi do mnie, ja jej niczego złego nie zrobiłam, niech mnie zostawi w spokoju.

Mama porządnie się złąła. Nigdy więcej na temat "Czarnej Pani" nic tatowi nie mówiła, a trzeciemu dziecku dano na imię Emil. Po powrocie do Polski /z tajgi/ Emil istotnie był na zachodzie /Dolnym Śląsku/ i gospodarzył na paru hektarach ziemi, a gdy tylko wyjechał na wschód Polski - zginął tragicznie na polowaniu pod Przemyślem.

Negro wychował się z Emilem. Razem zasypiali, gdy Emil był malutki, razem z jednej miseczki jedli. Emil podnosił miseczkę wysoko nad główką, a pies /oczywiście był wtedy dorosłym psem/ skakał i chwycił ile mógł i zjadał. Mama widząc to krzyczała:

- Nie jedz tego, zostaw dla pieska synciu - ale Emil uciekał i zjadał co mógł zanim pies znów mu nie zabrał. Kiedy Emil wpadł pod lód, dzięki Negrowi uratowano niesfornego chłopca. Rozumieli się i kochali jak bracia, jak przyjaciele.

Teraz pies ziajał na kolanach Emila, a ten objął go, całował i płakał. Zresztą płakaliśmy wszyscy. Negro każdego z nas lizał kto się nachylił, by pogłaskać go, czy przytulić jego pysk. Skamlał i drżał. Emila lizał po rękach, po twarzy i gdzie popadło, a obaj płakali. Wszedł "striełok" i kazał wyrzucić psa, bo trzeba było już jechać dalej. Pies warczał i jeżył sierść, żołnierz bał się podejść, więc zdenerwował się

i powiedziały, że zastrzeli psa, jeżeli go nie wyrzucimy. Wyrzucić psa! Tym razem Emil uwiązał go na postronku. Nie patrzyliśmy na "rozpaczającego" przyjaciela, pojechaliśmy dalej. Serce się krajało na widok tak strasznie skowyczącego psa. Jechaliśmy do Tysłuchowa. Do dziś mam w mózgu "płacz" naszego psa. Niestety, zamieć nie ustawała. Po wyjściu z ciepłego domu popa wydawało się, że jeszcze bardziej nasila się i mróz i zawieja. Po prostu świata nie było widać, śnieg dostawał się za kołnierze, do rękawiczek, do butów. Jadąc myśleliśmy wszyscy o psie a jego głośne, chwytające za serce "ojej, ojej, ojej"- dolatywało do nas długo. Skarzyłyśmy się z siostrą, że jest nam zimno. Mama otulała nas swoimi futrami. Mnie samą owinęła w obszerne futro z wilków, bo już kasłałam, byłam słabego zdrowia i mama bardzo bała się, abym nie dostała zapalenia płuc. Na poboczach drogi stali Ukraińcy /Ostrów to ukraińska wieś/ i ponuro, a może z przerażeniem patrzyli na nas. Może w tej chwili niejeden pomyślał, że ich to samo czeka...

W pewnym momencie zobaczyliśmy Wołodkę /tatowego służącego/ który na widok taty zerwał czapkę z głowy i uśmiechał się z zadowolaniem. Tato lubił go, był to dobry i mądry chłopiec.

Tato powiedział:

- Żegnaj Wołodka, a pilnuj koni, wrócimy tutaj.

Nic na to nie odpowiedział lecz przestał się uśmiechać i tak jak inni ponuro patrzył na nas. Usłyszeliśmy szum i hałas, to Ukraińcy przeklinali nas, a inni ich uciszali. Nam się znów zachciało jeść. Nagle mama przypomniała sobie, że w kominic wędziły się dwie szynki, o których zapomniała i jakby to była jej największa strata, rozplakała się gorzko, aż obejrzał się woźnica. Tuliła nas do siebie i przez łzy mówiła: "Tam chleb pewno już "wyszedł" z dzieży, a moje dzieci są głodne".

Wjechaliśmy na główną asfaltową drogę /chluba wszystkich osadników, bo sami ją zbudowali/ i tutaj dopiero zobaczyliśmy jaki panował tłok. Trzeba by malarza, żeby to odtworzyć. Jechali osadnicy ze wszystkich osad dookoła. Był to niesamowity widok. Wszyscy, i ludzie, i konie wyglądali jak białe zjawy zasypane śniegiem. O zmierzchu robiło to jeszcze większe wrażenie.

Naszego woźnicę coś nurtowało cały czas, bo gdy tylko znalazł sposobność /żołnierze zostali w tyle/ nachylił się do mamy i spytał dlaczego nie wzięła ściennego zegara on by go kupił i dobrze zapłacił. Mama zapytała dlaczego w domu o to nie poprosił, odpowiedział, że bał się enkawudzisty. Dodał jeszcze, że wiozą nas na Sybir, on to wie. Mama zachnęła się i niemal krzyknęła.

- Czemu żeś człowieku nie powiedział tego wcześniej?! - moje dzieci poumierają z głodu, a tam tyle dobra zostało! On chwycił mamę za rękę i szepnął:

- ~~Tysze~~ pani, ne gubyte mene i moich detyn - odsunął się i zgarbił, bo enkawudzista coś zauważył i zbliżał się do nas.

Zegar był bardzo stary i piękny /mama dostała go w posagu od swojej babki/ inkrustowany złotem i wydzwaniający urocze kuranty i dźwięczne godziny. Nie miała mama głowy myśleć o rodzinnych pamiątkach. Miała dwie godziny na spakowanie „całego” dobytku. Nie tylko więc zegar został na zatracenie, przepadł cały życiowy dorobek.

W tej karawanie ośnieżonej i niezwyklej, prócz płaczu niemowląt, panowała powaga i smutek jak na pogrzebie. Najżałośniej słychać było płacz dzieciątka pani Piskorskiej i jej samej. Trzymała swoje zawiniątko w objęciach i jakby klęczała na saniach, kłysała je i przemawiała.

- Jak mam ci pomóc malutki, wiem, że jesteś głodny i mokry, jest ci zimno; jak mam cię przewinąć, czym nakarmić? Dziecko zanosilo się coraz boleśniej i spazmatyczniej. Ten widok, jej i dziecka zapadł mi głęboko w pamięć.

Nagle nasze sanie podskoczyły na zamarzłej grudzie, uderzyły w słup telegraficzny i złamały się. Mój brat Euzebiusz upadł tak nieszczęśliwie, że lewa jego noga utknęła w przełomie płozy, była ściśnięta jak w kleszczach, a konie ciągnęły go po lodowatych koleinach. Brat krzyczał z bólu. Podbiegł tato i z pomocą innych wyjął go z tych kleszczy. Kolano miał potłuczone, sine i podrapane, a podudzie ~~potłuczone~~. Noga nie była złamana, ale chyba zwichnięta, a kolano po prostu puchło w "oczach". Brat jęczał z bólu i nie mógł się ruszyć. Jeden z żołnierzy pomagał układać go na saniach, a słysząc jego jęki krzyknął tak, że chyba i enkawudzista słyszał: "A bud'on proklat i sam Stalin, zaczem on triewożył spokojnych ludiej".

Nasze konie wyprzęgnięto, nas ścieśniono na drugich saniach i już mieliśmy ruszać, gdy tato podszedł do koni, przytulił twarz do ich drogich łbów, całował je i płakał. To było moje pierwsze ciężkie przeżycie. Nigdy bowiem nie widziałam, aby tato płakał /potem widziałam/. W moich oczach tato był uosobieniem wszechwiedzy, wszechmocy, siły i rozumu. Wierzyłam, że nic nie może mi się stać, gdy jest z nami nasz tato. Potem mama mówiła, że widziała płaczącego tata, gdy umarł Komendant i gdy przepadła Polska /u nas mówiło się "przepadła"/. Już nic naszego nie było z nami: pies, konie, sanie - wszystko zostało po drodze. Brat dostał gorączki, całą drogę jęczał i trzęsła nim febra. Mama siedziała przy nim i dotykała jego rozpalonej twarzy. Obie z siostrą siedziałyśmy cicho jak myszki, podświadomie wyrównałyśmy powagę sytuacji.

W Tysłuchowie zawieziono nas do pięknej, bardzo dużej szkoły. Na ścianach wisiały haftowane i wyszywane makatki - prace dziewcząt. W całej szkole wisiały lub stały na półkach i oknach kwiaty. Szkołą byłam zachwycona.

Rozmieściliśmy się na podłodze w klasach i dostaliśmy coś gorącego do zjedzenia. Przychodziły do nas bliższe i dalsze sąsiadki, witały się z mamą i płakały. Oczywiście my z siostrą też, płakała przecież mama.

Byliśmy pilnowani przez żołnierzy i ze szkoły nie wolno było dalej wychodzić niż na dziedziniec.

Wieczorem zobaczyłam gimnazjalną młodzież. Patrzyłam na nich rozszerzonymi oczami. Wydali mi się piękni i wspaniali. Dziewczęta i chłopcy siedzieli na ławkach, byli w mundurkach, pokazywali sobie jakie kto wziął książki, dyskutowali z iskrą w oczach. Byłam dumna, że wśród nich znajduje się mój kochany brat. Siedział w ławce, a na drugiej trzymał zabandażowaną, spuchniętą nogę. Ktoś dał mu laskę. Był blady, cierpiał, ale dołączył do kolegów i razem głośno dyskutowali. Stałam i patrzyłam na nich, oczywiście niewiele wiedziałam o czym mówią, co ich tak podnieca. Gimnazjaliści zorganizowali się natychmiast. Roztoczyli opiekę nad maluchami. Zaprowadzili nas do ubikacji, pomagali matkom myć dzieci, przynosili wodę, sprzątały sale. Znajdowali zgubionych i przyprowadzali do rodziców. Słowem porządek wzięli w swoje ręce. Tak naprawdę tam nie można było się zgubić, bo na zewnątrz stali, szcękając zębami i "zabijając" ręce, wartownicy i wypuszczali małych dzieci ze szkoły.

Litościwe Polki dawały im chleb i kiełbasę. Oni zjadali to natychmiast, oglądając się, by ich "starszyna" nie widział. Im też było smutno i zimno. Ja z siostrą nosiliśmy jedzenie

naszym "stróżom" także. Oni dziękowali nam i w zamian dawali podłe cukierki.

W nocy narobiłam wrzasku, bo bolały mnie /a właściwie potwornie swędziały/ nogi. Byłam uczulona, nie mogłam przebywać zbyt długo w obuwiu. Mama drapała mi stopy grzebieniem, dmuchała na nie, ale ja nie mogłam usnąć i nie pozwoliłam mamie.

W klasach zrobiło się mokro i brudno od ~~rozgniecionego~~ butami śniegu. Parowały palta, kożuchy i buty. Duchota była nie do wytrzymania. Toteż w całej szkole słyszało się wyłącznie wielki płacz. Tam, gdzie dzieci posnęły, umęczone matki starały się zaprowadzić jako taki porządek. Wczesnym rankiem budził nas znowu spazmatyczny płacz chorych i głodnych niemowlaków. Matki także płakały. Wiele straciło pokarm, a niemowlęta były głodne. To była gehenna. Starsi chłopcy i dziewczęta biegali i przynosili wrzątek. Mama dała nam chleba z masłem i miodem. Przeraziłam się, że tata nie ma z nami, ale dowiedziałam się, że na zmianę z innymi dyżurował przy rzeczach, bo niestety, ~~rodacy~~ już kradli jedni u drugich. Jakoś nie mogłam tego pojąć. Ubrałyśmy się z siostrą w to samo co poprzedniego dnia i poszłyśmy pobawić się na podwórzu. Ale zabawa jakoś nam nie szła. Byłyśmy brudne, niewyspane i smutne. Mróz nie zelżał ani na jotę, więc szybko wróciłyśmy do mamy, której "pękała" od zaduchu i zmęczenia głowa.

Pobyt w szkole przedłużał się. Nie mogliśmy się od nikogo dowiedzieć, ile ten przymusowy "popas" może potrwać. Ani żołnierze, ani oficerowie nic nam nie mogli powiedzieć. Zaczęliśmy wyglądać jak nieludzie. Z ulgą więc ładowaliśmy się na podstawione sanie. Było nam już wszystko jedno dokąd powiozę, byleby nie przebywać w szkole. Zawieziono nas do Warby.

Znów byliśmy w obszernej, tym razem parterowej szkole. Chyba z tydzień czekaliśmy na podstawienie pociągów. Zbędne jest więc opisywanie tego, jak wyglądaliśmy i jak czuliśmy się. Zaczęły pojawiać się wszy. Wyjęłam sobie z głowy i spytałam mamy co to za robak. Organizowano niby gorące posiłki, ale nie były one do zjedzenia. Pociaszaliśmy się naszym miodem i serem. Masło już się skończyło.

Nareszcie przyszli żołnierze i kazali nam zbierać rzeczy. Pociągi już podstawiono. Obie z Marynią ożywiłyśmy się trochę. Wzięłyśmy nasze tobołki i poszłyśmy za rodzicami. Euzebiusz kulał i podpierał się laską. Natychmiast zmarzłyśmy. Ręce i nogi drętwiały z zimna. Czekając na "nasz" wagon nawet nie mogłyśmy płakać, tak nam było zimno. Choć było po połowie lutego, zima i mróz nie ustępowały. Wyglądałyśmy jak sopelki lodu. Jakiś litościwy "striełok" podnosił nas i wsadzał do oblodzonego bydłowego wagonu wołając:

- „Topi pieczku, topi pieczku”. Ja to rozumiałam jakby - tu pi piecku - co stwarzało we mnie nadzieję, że tutaj jest ciepło. Nie wiem czemu tak myślałam.

Jakażgroza ogarnęła mnie gdy zobaczyłam nagie prycze i oblodzony, obsypany śniegiem otwór jako ubikacja. Coś się we mnie załamywało, coś mi mówiło, że to już koniec z moim cudownym dzieciństwem. Wydawało mi się, że jakiś koszmar zawisł nad nami. Byłam zbyt mała, żeby wyobrazić sobie coś takiego, co nas spotkało. Stałam i prawie zamarzałam...

... Latem tato i ja z siostrą odwieźliśmy mamę do pociągu. Jechała do Krakowa. Staliśmy na peronie. Oczywiście obie z siostrą płakałyśmy, no bo mama wyjeżdżała...

Miły. konduktor otwierał mamie drzwi drugiej klasy i wskazywał miejsce. W szarym kostiumiku, elegancka i uśmiechnięta.

ta mama, była piękna. Uśmiechała się do nas i machała ręką w mitence. Wybrała się na spotkanie z Prezydentem Mościckim i Rydz-Śmigłym. Było to spotkanie z wodzem naczelnym i ludzie krzyczeli:

- Nie damy Gdańska wodzu, nie damy Gdańska.

A on mówił:

- Nie damy guzika od naszego płaszcza.

Wtedy przywiozła nam krakowskie serdaczki: siostrze czerwony, a mnie niebieski...

- Teraz stałyśmy jak sople lodu. Z zimna i głodu już nawet nie płakałyśmy.

Mama z innymi paniami rozpaliły w "kozie", zaczęły zatykać dziurę i robić dookoła niej "parawan", było nas tutaj osiem rodzin po dwie na każdej z czterech prycz.

Nie było z nami naszych najbliższych sąsiadów: Berchertów, i było nam smutno także i z tego powodu. Usiadłyśmy cichutko na przydzielonej nam pryczy i w milczeniu czekałyśmy na jedzenie i ciepło.

ROZDZIAŁ DRUGI

"Niekończąca się podróż"

Zaczęło się palić w "kozie" i wkrótce miłe ciepło napełniło obskurny wagon. Dziura była zatkana, parawan był gotowy. Ściany tajały, parowały i lała się z nich woda, lecz my mogłyśmy się nareszcie położyć na pościelonych narach, przykryć pierzynkami i czuć pod głową nasze mięciutkie jasieczki. Jakie to szczęście, że mama je wzięła.

Była pyszna gorąca zupka. Już nie pamiętam jaka, ale wiem, że nigdy nic mi tak nie smakowało jak tamta zupka. Po tak długim pobycie na "suchym" ta cudowna zupka wydała się najlepszą potrawą na świecie. Wraz z drugą rodziną zajęliśmy dolną pryczę. Byli to starsi państwo bez dzieci. Wydawali mi się nadzwyczaj dystyngowani i kulturalni. Potem okazało się, że byli mieszanym małżeństwem: ona - Rosjanka, on - Polak. Odnosili się do siebie z wielkim szacunkiem i kulturą. On chyba był sędzią, ona zaś panią przy mężu. Ich rozmowa ze sobą bardzo nas bawiła i śmieszyła. Pan mówił wolno i pięknie po polsku, a pani odpowiadała nie mniej pięknie i dobitnie po rosyjsku. Przysłowiowa stała się niemal dla nas ich rozmowa po obiedzie. Pani pytała: "Nu, kak wkusnyj sup?", a pan odpowiadał: "Tak, smaczna zupka", albo "Choroszyj abied?", a pan "Tak, dobry obiadek". Niezmiernie nas to bawiło i śmieszyło, ale wszystkich zadziwiał ich wzajemny szacunek. Byli naprawdę wielkim państwem. Rozmowę prowadzili zawsze w dwu, jakże, pięknych językach.

Prycę nad nami zajęła rodzina z dwiema, dość dziwnymi córkami i chorą ciotką, która siedziała w kucki owinięta kocem

mi i ciepłymi chustami, bez przerwy kiwała się i cicho jęczała. Ciotka ta ani razu nie zeszła na dół... Dowiedziałam się, że była nienormalna, co miało dla nas fatalny skutek.

Póki co brzuszki nasze były już pełne, a miłe ciepło nastrojało radośniej, więc podśmiewaliśmy się ukradkiem, aby mama nie zauważyła, z chorej kobiety.

W nocy poczułam jak coś kapie mi na głowę. Zerwałam się i zaczęłam krzyczeć. Ktoś zapalił latarnię i gniewnie uspokajał mnie. Mama też zapaliła naszą latarnię i okazało się, że to "ciotka" załatwia się pod siebie. Nie było takiej siły, aby zmusiła ją do pójścia za "parawan", Wybuchła awantura. Mama wycierała śniegiem nas i poduszki, co mogła suszyła przy "kozie". Tato zaproponował zamianę na prycze, ale ci z góry nie zgodzili się. Po pewnym czasie cała nasza pościel przesiąknięta była uryną, gdyż "ciotka" regularnie, 2-3 razy na dobę, załatwiała swoje potrzeby na pryczy. Tato podbił "sufit" swoim prochowcem, ci z góry też ścielili coś pod chorą kobietę, ale nie na wiele to się zdało.

Naprzeciwko też były 4 rodziny na dwóch pryczach i pomimo małych dzieci nie mieli podobnej historii jak my.

Po kilku dniach stania lokomotywa zniecka szarpnęła tak gwałtownie, że gorące garnki pospadały z "kozy" parząc tych co stali bliżej pieca. Potem dopiero rozległ się przeciągły i żałosny "płacz" lokomotywy i pojechaliśmy na wschód.

Prócz nieporozumień z nieszczęsną "ciotką", większych zadrażnień nie było. Muszę powiedzieć, że mimo nieludzkich warunków, straszliwych niewygód, jednej "kozy", na której po kolei mamy gotowały posiłki, poważniejsze scysje nie wybuchały. Wszyscy odnosili się do siebie ze zrozumieniem i spokojem. Ludzie jechali cisi, zamysłeni i smutni. Jedli było czasami

słyszeć śmiech, to śmiały się dzieci, bo dzieci zawsze są dziećmi i nie umieją się ciągle martwić jak dorośli.

Niestety z powodu "ciotki" nie bawiły się z nami inne dzieci, my po prostu śmierdziałyśmy. Nie było na to rady. Nikt nie był w stanie zmusić, ani ubłagać tych z góry, o zamianę na prycze. Nie było wody, nie mieliśmy się gdzie i w czym umyć, nie było jak wyprać i wysuszyć pościeli. Toteż z siostrą siedziałyśmy przeważnie na naszej pryczy i patrzyłyśmy w brudne zakratowane okienko lub siostra czytała książeczki, które wzięła ze sobą, a ponieważ było ich niewiele, wkrótce więc znałam je wszystkie na pamięć. Jedna książeczka szczególnie utkwiła mi w pamięci i w sercu. Nie pamiętam ani autora ani tytułu /nie spotkałam jej po wojnie/, pamiętam tylko jej wygląd. Była bowiem pięknie wydana, w sztywnych okładkach z kartonowymi kartkami, na których były prześliczne ilustracje do wierszyków. Była to książeczka o kwiatach, które pokazane były jako małe dziewczynki. Jeden taki wierszyk do dzisiaj pamiętam, bo poruszył mnie bardzo:

"O biedne kwiatki, straszna rzecz,
ktoś zerwał je i rzucił precz,
Powiędłe leżą wśród pól
a niemi wielki targa ból"

a rycina przedstawiała małe, splakane, o zboliałych twarzyczkach i załamanych rączkach dziewczynki. Ach, jakaż to była piękna książeczka! Niestety, jak większość naszych rzeczy poszła za 1/2 "kirpiczka" chleba. Tato kupił tę książeczkę siostrze, bo od małości czytała wszystko co wpadło jej w ręce, a że była tatową ulubienicą, to ciągle jej coś do czytania kupował. Marynia nazywała się "tatową córką".

Czytała mi więc i ja i siostra i ona powoli się uczyła. Wieszona wysoko w suficie nad palącym się piecykiem. Kiedy by-

ło zbyt ciemno na czytanie, mówiłyśmy z pamięci to, czego nauczyłyśmy się przedtem.

Dorośli, a zwłaszcza mężczyźni, siadali przy "kozie" i snuli różne przypuszczenia na tematy: dokąd, poco i dlaczego nas wywożą. Jedni napadali na Rydza Śmigłego, inni bronili go, niektórzy żalowali Piłsudskiego i mówili, że gdyby żył nie doszłoby do klęski i nie wywożono by nas na Sybir. Nie wiem skąd, ale wszyscy już wiedzieli, że wiozą nas na Sybir. Inni zarzucali Marszałkowi różne winy i niekonsekwencje - i tak w kółko. Nie było jedności.

Tato nie pozwalał nikomu złego słowa powiedzieć na ukochanego Marszałka, a ponieważ tato go kochał, więc my też. Nawet miałyśmy takie samo zdjęcie na tatowych kolanach jak Wandzia i Jagódka z Marszałkiem.

Nic z tych rozmów nie rozumiałam, nie rozumiałam też i tego, dlaczego nas zabrano z naszego domu, gdzie byłyśmy "zawsze", załadowano jak bydło i powieszono w nieznane.

Smutkiem i przerażeniem napawał nas "płacz" i zawodzenie lokomotyw. Ludzie mówili, że one płaczą nad naszą dolą. W zamarznętym okienku widziałam mijane miasta i wsie, pola i lasy, a wszystko stawało się dla mnie obce i nieznane. W tym smutku i monotonii zdarzały się niekiedy scenki niespodziewane i dowcipne. Na przeciwko nas była rodzina z dwoma małymi chłopcami. Młodszy nazywał się Edzio. Był bardzo pocieszny i zabawny. Zakładał pas swego ojca, brał czapkę i wołał, że jest Edward Śmigły Rydz i krzyczał "bacność", "czapki z głów" itd. Czasami biedny "Śmigły" dostawał tym pasem lanie, gdy nie chciał iść spać, ale nie często to się zdarzało. Ojciec Edzia zapalał i gasił latarnię, gdy była pora na sen. Pewnego wie-

czoru ojciec Edzia, jak zwykle, zgasił latarnię, ale Edzio wcale nie chciał spać. Zaczął więc prosić ojca: "Tato, tato zapal lampę", ale ojciec nie odzywał się, Edzio nie dawał za wygraną i znów prosił: "Tato, tato zapal lampę". W końcu, po którymś razie proszenia, ojciec pdezwał się: "Śpij synu, nie ma lampy". A Edzio z płaczem: "Jest, jest, wisi nad "kozą". - "To nie lampa, to torba" - odpowiedział ojciec. A wtedy Edzio rezolutnie: "Tato, tato zapal torbę".

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Choćwolno, to jednak zostawialiśmy za sobą Polskę i coraz bliżej byliśmy rosyjskiej granicy. Często były postoje i przestoje, dłuższe i krótsze, przewidziane i nie przewidziane. Wtedy "striełki" otwierali drzwi i wołali: "progułka, progulka". Mama tłumaczyła, że to spacer. "Biegnijcie rozprostować kolanka" - mówiła do nas - "a nie zgubcie się tylko".

Wybiegaliśmy, ale oczy nawykłe do ciemności piekły i bolały, łzawiły od patrzenia na iskrzący się śnieg. Było nam zimno. Spotykaliśmy znajomych i z przerażeniem patrzyliśmy na siebie - my na nich, a oni na nas. Wszyscy wyglądaliśmy jak brudne, wychudzone diablęta z zaropiałymi, czerwonymi oczami. W milczeniu i smutku wracaliśmy do swego wagonu.

Tato stawał się coraz smutniejszy i cichszy. Siadał na pryczy, brał nas z siostrą na kolana, przytulał głowę do naszych policzków i milczał, czasami bezsilnie jęczał.

Wtedy nauczył nas kochać Polskę, nauczył nas historii. Mówił o swoich ukochanych Tatrach, o Gdyni, o morzu i o umiłowanym Wołyniu, o Komendancie, dzięki któremu stał się panem.. i zesłańcem. O tym, jak mężnie bili się żołnierze o Polskę, o Gdańsku i Westerplatte. Dowiedziałyśmy się w bydlęcym wagonie

od swego tata, gdy wieziono nas straszną zimą w nieznane, na zagładę.

Postoje były również i po to, by wynosić z wagonów trupy, bo niestety ludzie umierali. Czasami wynoszono kobiety, które miały lada moment rodzić. Wtedy po raz pierwszy słyszałam krzyki rodzących kobiet. Na noszach zobaczyłam naszą dalszą sąsiadkę p. Nadie, też niesiono ją do szpitala na poród, ale na posiołek przyjechała bez dziecka. Umarło. Przeważnie kobiety do-
syłano do mężów na posiołki, ale bez noworodków, podobno wszystkie umierały. Zresztą jak mogły żyć?

Nareszcie dojechaliśmy do Zdołbunowa. Striełki biegali, walczyli kolbami w drzwi i kazali przesiadać się do rosyjskich wagonów. Znow zebrałiśmy nasze brudne tobołki i wyszliśmy na siarczysty mróz. Tutaj spotkała nas wielka radość, bo gdy tak staliśmy na zimnym peronie zobaczyliśmy naszych najbliższych sąsiadów Berchertów. Wszyscy - i my i oni zaczęliśmy prosić strażników, by nas dano do jednego wagonu. Striełki przystali na to. Zajęliśmy jeden wagon. Wydawało się nam, że jest tutaj czysto i przestronnie. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Było nas tylko dwie rodziny, a nieg, jak w poprzednim. Wagony nie różniły się od poprzednich: też były bydlęce z pryczami, dziurą na ustęp i "kozą" po środku. Ale nam było wesoło i radośnie, bo Berchertowie ^{byli} razem z nami - to jakby na osadzie.

Mama trochę doprała pościel i nas pomyła, doprowadziła do ludzkiego wyglądu. Nie trzeba też było bardzo długo czekać na ugotowanie zupy, bo co dwie rodziny do jednej "kozy", to nie osiem. Największym szczęściem było dla nas to, że nie było z nami "ciotki", którą znienawidziłam serdecznie. Nareszcie sami na pryczy, nareszcie nikt nie sypie śmieci na głowy, ani do talerzy, nikt nie pałkudzi i nie leje na nas.

Co za ulga! Nie było nam tak bardzo smutno jak w poprzednim wagonie, bo byli nasi koledzy i koleżanki. Była Jadzia, Bronia Berchartówny, był Edek i Włodek. Zarówno my jak i bracia mieliśmy się z kim bawić, rozmawiać i czytać. Nasze lalki, książeczki i książki przechodziły od nas do nich i od nich do nas.

Granica polsko-rosyjska była tuż tuż. Wolno dojeżdżaliśmy do Szepietówki, zapanowała głucha cisza. Wszyscy patrzyliśmy przez okna i drzwi na polskie słupy graniczne, wyrwany szlaban i przewróconą biało-czerwoną rampę.

Nagle w tej absolutnej ciszy rozległ się śpiew "Pod Twoją obronę" i wielki płacz. Striełki walili kolbami i wołali: "priekratit`pienje, priekratit`pienje". W naszym wagonie płakali rodzice, płakali Berchartowie - więc my z siostrą, także...

Znów lokomotywa szarpnęła z całą złością i rozpaczliwie zawyła "u hu huuu" i pojechaliśmy, już nie po polskich torach, nie po polskiej ziemi...

Obydwoje rodzice bardzo się zmienili, i mama i tato prawie się nie odzywali. Mama często płakała, tato sadzał nas na kolana i uczył "Polski", recytował wiersze i nucił drogie jego sercu legionowskie piosenki. Dzięki tatowi poznałam i pochałam polską historię.

Wtedy nie zastanawiałam się nad tym, bo jak każde dziecko uważałam, że mój tato jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie, lecz teraz zapytuję sama siebie: skąd mój tato znał tak dobrze historię Polski, kiedy i gdzie się nauczył tego wszystkiego? A umiał bardzo dużo.

Wiem, że był samoukiem, dużo czytał, kształcił się, miał piękną bibliotekę, prenumerował różne czasopisma, ale przecież uprawiał ziemię, zajmował się pracami społecznymi, Kiedy więc posiadał tę ogromną wiedzę jaką miał?

Zawsze na biurku u taty leżał "Plon" i książki mówiące o pszczołach, sadach, kwiatach i upiększających krzewach. Pamiętam nasze wieczory w domu. Mama coś cerowała lub przeglądała naszą odzież, bo na chłopcach "paliło" się, . . . Nowa rzecz otrzymana rano, wieczorem wyglądała jak dziadowski łachman. Miała mama zawsze pełne ręce roboty. Tato brał książkę i czytał nam na głos. Ja, co prawda, bawiłam się w kątku swoimi lalkami, ale mama słuchała uważnie tego co czytał tato. Te wieczory wspominam jak coś cudownego, coś, co widzę do dziś jeżeli przysłonię oczy i zamyszę się.

Do mojej głowy też coś tam wpadało, bo od razu udawałam Olenkę lub Danuskę, gdyż byłam blondynką. Zawsze chciałam być taka jak ostatnia bohaterka, o której czytał tato.

Nasz tato umiał wszystko sam zrobić. Tylko u nas było radio. Było ich zresztą kilka, a jedno nawet "głośne", jak się u nas mówiło. W całej osadzie widoczne były nasze wysokie tyczki od anteny.

Wieczorami na wiadomości przychodzili do nas sąsiedzi. Te radia tato sam konstruował i doskonale odbierały program z Warszawy czy Lwowa. Lubił gdy chłopcy interesowali się tym, co robił. Najzdolniejszy był Emil. Nawet jak coś popsuł "pomagając" tatowi, nigdy tato za to nie nabił go. Za "ciekawość" nigdy nas nie bił. Kiedyś rozłożyłam na drobne czynniki kryształkowe radio, bo Gienio powiedział, że w środku siedzi człowieczek i mówi to wszystko, co my słyszymy. Chciałam bardzo zobaczyć tego człowieczka i radio już się nie "złożyło". Bałam się strasznie i cichutko powiedziałam mamie o tym. Mama tatowi, a tato roześmiał się i powiedział: "zuch dziewczynka, zawsze bądź taka ciekawa" i pogłaskał mnie po głowie.

Kiedyś moja siostra poszła do szkoły, a ja chodziłam nadgóra

po podwórzu i nie wiedziałam co mam zrobić ze sobą. Mama mówiła mi, abym zniosła najmytom jedzenie i picie, bo gorąco, ale ja nie chciałam iść, bo żałowałam nowych pantofelków. Zobaczyłam, że stary Kozioł - tak go wszyscy nazywali - poszywa snopkami dach na chlewie, podeszłam i spytałam, czy coś chciałby ode mnie. Poprosił o picie. Pobiegnęłam do domu i mama dała mi kwaśne mleko w dzbanku. Szczęśliwa przybiegłam i podałam mu pełną dumy i szczęścia, że mogę się przydać. Kozioł wziął dzbanek, przechylił i pił aż mu po brodzie kapało. "O dobra jesteś, rośnij wielga, jak ta tycka, co tam stoi" - chodziło o tyczkę od anteny. Cała radość z dobrego uczynku prysła jak bańka mydlana. Byłam bardzo wrażliwa na swoim punkcie. Chciałam być najpiękniejsza i najmądrzejsza, a tu taki "komplement". Z opuszczoną główką usiadłam na ławce koło wiśniowego sadu i płakałam, zawsze płakałam cichutko, wstydziłam się płakać głośno. Nadszedł tato i spytał kto mnie skrzywdził. Poskarżyłam się tacie na "pochwałę" Kozioła. Mój kochany tato poderwał mnie jak piórko i podrzucając do góry pedagogicznie powiedział: - "Trzeba było mu odpowiedzieć - a ty żebyś zgarbił się we dwoje". Bardzo mnie to podniosło na duchu, chciałam powiedzieć Koziołowi to następnym razem, ale już nie nadarzyła się taka okazja. Bardzo bałam się rozbić nos, bo mama mówiła, że jak będę ciągle biegać i padać, to rozbiję nos i żadem chłopiec mnie nie zechce, bo będę brzydka. Dbałam więc o sukieneczki, o buciki, o nos, o kolanka, ale tylko wtedy gdy sobie o tym przypomiinałam. Niestety, zapomiinałam bardzo szybko o nowych rzeczach, bo nowymi były 1-2 dni, nie więcej. Jeżeli któryś z braci musiał sprzątać po mnie, to nie omieszkał dokuczyć mi, że buciki leżą powywracane i "ryczą", bo już są stare, już nie stoją na "papierku" jak wtedy, gdy mama przyniosła je od

Berka. Miałam zwyczaj swoje nowe rzeczy zabierać do łóżeczka i spać z nimi, nie ważne czy były to buciki, sukieneczka czy rękawiczki. Głaskałam je i całowałam. Potrafiłam w nocy wstać i patrzeć, czy nie pospadały z łóżeczka. Starych i brudnych bucików nie czyściłam, bo nie lubiłam tej roboty. Jeżeli mi kazał Gienio lub Euzebiusz to robić z płaczem szłam do mamy i skarżyłam się, że ja jestem "pańskie dziecko", a oni zmuszają mnie do roboty, a pora taka, że "powinnam" już spać. Mama uśmiechała się i mówiła, że faktycznie czas już najwyższy, abym poszła spać. Buciki czyścił mi Iwańku nawet nie dlatego, że mu mama kazała. Wtedy on nas lubił, a mnie szczególnie.

Nasze dzieciństwo było po prostu cudowne, a wszystko to zawdzięczamy naszym wspaniałym rodzicom, mądrym i szlachetnym. Gospodarka była olbrzymia i - jak sięgnę pamięcią - zawsze coś kalekiego wychowywało się u nas, nigdy nie zabijano tych zwierząt. Siostry i moim obowiązkiem było opiekowanie się tymi ofiarami losu. Raz było to cielę z pokrzywionymi nogami, innym razem kurczak z nóżką wyrwaną ze stawu, bo mu krowa nastąpiła na nią, a to głupie chciało się wyrwać. Jeszcze innym razem było pisklę kawki, które wypadło z gniazda i rodzice nie przyjęli je z powrotem, to znaleziony zajaczek. Zawsze czymś trzeba było się opiekować. Nie było wolno nam niczego zabić. Psy i koty umierały własną śmiercią od starości lub choroby.

Moja i siostry opieka nie była najdoskonalsza, byłyśmy małe i choć miałyśmy dobre serduszka, zapominałyśmy o obowiązkach.

Z tymi "kalekami" też nam nie wyszło, no bo cielaka trzeba było w końcu sprzedać Żydowi, kurczaka do reszty zdeptała krowa, a my kopałyśmy "grobek" i płakałyśmy nad dolą nieszczęsnego. Enil siedział na płocie i dokuczał nam, że biedny kurczak

miał trzy matki i dobrze, że krowa wybawiła go spod takiej opieki. Za to kawka tak się rozpanoszyła, że podczas obiadu łąziła po stole i nie pozwalała się spędzić. Czyja ręka wysuwała się, aby ją zrzucić, odwracała się błyskawicznie i z całej siły waliła dziobem. Zajaczek wychowywał się z... psami. Kiedy wnoszono jedzenie psom i ktoś zawołał, zajaczek pierwszy dopadał miski i zjadał pokarm. Gdy zaczynało padać i psy chowały się do mieszkania lub budy, zajaczek chował się razem z nimi... Tyle było cudownych wspomnień z "chwilki" jaką przeżyłam tam na Wołyniu z najlepszymi pod słońcem rodzicami.

Teraz wieziono nas w nieznane i z nieznanych powodów, a zima i mróz stawały się coraz okrutniejsze.

W wagonie nie było zimno, bo w "kozie" paliło się na okrągło, całą dobę. "Spacery" przy pociągu nie trwały dłużej niż 10 minut. W naszych paletkach i bucikach nie sposób było wytrzymać dłużej na powietrzu. Poza tym bolały nas bardzo oczy i wolałyśmy z siostrą siedzieć i patrzeć w okienko do późnej ciemności niż biegać.

Jechaliśmy bez końca. Mijaliśmy miasta i wsie, lecz rzadko w dzień, zwykle w nocy. Widocznie "prykaz" był taki, żeby przez miasta przejeżdżać w nocy. Zresztą nie interesowały mnie te miasta i wsie. Było po prostu smutno, bo krajobraz również stawał się coraz smutniejszy.

Jakoś zdarzyło się raz, że w dzień zatrzymaliśmy się w mieście. Słysząc było głośnie bicie dzwonów i widoczne były kopuły cerkiewne. Mama wychyliła się i spytała, co to za miasto, jakaś kobieta powiedziała, że Woskresieńsk i że jesteśmy 60 km od Moskwy. Wszyscy chcieliśmy zobaczyć Moskwę, ale nie dojechalismy do niej.

Czasami staliśmy po kilka lub kilkanaście godzin bez powo-

du w szczerym polu czy głuchym lesie. Nigdy nie było wiadomo jak długo pociąg będzie stał.

Jeżeli staliśmy we wsi lub w miasteczku, to biegaliśmy po "kipiatok" - wrzątek, bo na każdej stacji "kipiatok" był za darmo. Braliśmy ten wrzątek w co kto miał i biegliśmy z powrotem, bo byliśmy nie tylko spragnieni czegoś gorącego lecz mama myła nas i robiła drobne pranie. Już prawie niczego czystego nie mieliśmy w zapasie.

Kiedyś mama odsunęła przykrywkę nad kotłem i omal nie zemdląła. W gotującej się wodzie przewracały się długie, białe glisty. Od tego momentu mama przestała pić herbatę, my piliśmy.

Bardzo bałam się wychodzić z wagonu, bo obawiałam się, zgubić lub nie zdążyć na czas do pociągu, gdyż nigdy nie było wiadomo jak długo będziemy stać.

Zdarzało się, że pociąg ruszał z nienacka i wtedy wszyscy biegli z powrotem bez "kipiatoka", aby dopaść swego wagonu lub zaczepić się gdzie kto mógł. Dzieci płakały, dorośli wymachiwali rękami i nogami - wołali, aby maszynista zatrzymał pociąg, bo mnóstwo ludzi zostało, ale było to bez skutku. Wiele ludzi pogubiło się, byli dosyłani do eszełomu, ale ileż było rozpaczy, ile tragedii, to tylko my wiemy.

Głupi, bezmyślni "strzeżki" stojący na stopniach stróżówek śmiali się widząc przerażone twarze i wołali: "biegi, biegi bystreje". Była to dla nich swego rodzaju rozrywka w ich monotonnej służbie - pilnowaniu nas, jakbyśmy mieli dokąd uciec.

Nie wszyscy tak się zachowywali. Niektórzy płakali ukradkiem razem z tymi, od których wynoszono nieboszczyka. Jeden powiedział do taty, że jego matuszka już od trzech miesięcy nie wie gdzie on się podziewa, bo nie ma jak wysłać listu. Stopnie do ich stróżówek były obłożone grubym lodem i śliskie i nie się dobrze uważać, aby przy wskakiwaniu nie wpaść pod pociąg.

Z jednym z konwojentów tato nawiązał "rozmowę". Podobał się tacie ten chłopiec, bo był inteligentny i bardzo grzeczny. Mówił skąd pochodzi i że ma już ukończoną diegiatiletkę i pójdzie na studia. Tato widział, że on ledwo stoi na oblodzonych stopniach i podał mu siekierę i łopatę, aby oczyścił stopnie. Ucieszył się jak dziecko z podarku. Oczyścił stopnie a na "szytku" podawał nam "rusckije pierożki", które podesłała mu matuszka. Chłopiec był miły, grzeczny i delikatny. Na postojach chętnie rozmawiał z tatem lub biegał z nami. Obie z siostrą już zaczęłyśmy go lubić i czekałyśmy z niecierpliwością by wyjść do naszego Borki. Ale tu znów spotkało nas rozczarowanie, a zaskoczenie odjęło naszą mowę. Na pierwszym postoju wybiegłyśmy do stróżówki, gdy drzwiczki otworzyły się zobaczyłyśmy ospowatego gbura. Borki nie było. Tato spytał gdzie się podział, ale striełok rozdziawił gębę i spytał: "czywo tiebie?" Tato wziął nas za ręce i poszliśmy razem. Potem do mamy powiedział: "Biedny chłopiec, odpowie za to, że był człowiekiem, szkoda dzieciaka".

Czasami tuż na następnych torach zatrzymywały się eszelony z żołnierzami radzieckimi. Jechali, jak my, w towarowych wagonach, ale u nich drzwi były pootwierane, a oni grali na harmoszkach, śpiewali, żartowali, pytali nas skąd i dokąd jedziemy. Litowali się nad nami, podawali nam herbatniki i karmelki. Nam, oczywiście, wydawało się, że obie podobamy się im.

Szczególnie jeden taki eszelon utkwiał mi w pamięci, z młodymi wesołymi żołnierzami. Długo stały nasze wagony tuż przy sobie. Oni zaczęli rozmowę z mamą, pokazywali nam różne sztuczki, dawali cukierki, śpiewali i tańczyli. Śmiali się i wołali: "Prygajcie k nam dzievuszki". Nagle ich pociąg ruszył, a wtedy oni wołali do nas: "Żditie nas skoro wierniomsia". Po

chwili i nasz pociąg ruszył, ale w przeciwnym kierunku. Byliśmy bardzo smutne, że ich nie zobaczymy więcej. Wtem nasz pociąg zatrzymał się i ruszył, ale jakby za tamtym. Nie poszliśmy spać lecz długie godziny wypatrywałyśmy "naszych" żołnierzy. Ale niestety, nam tylko wydawało się, że wracamy. Jechaliśmy ciągle na północ dalej i dalej od Polski.

Lokomotywy zmieniały się /poznawałyśmy po "płaczu", że to już inne/, a myśmy ciągle jechali. Minęliśmy /w nocy/ Woroneż^z, Charków^z, Wołogdę, Kirów, Murasze i wiele innych miast i wsi.

Po niekończącej się podróży i męce dotarliśmy do dużego gwarne go miasta. Nie znałam prócz Beresteczka, Dubna, innych miast w Polsce. Dubno szczególnie utkwilo mi w pamięci, bo tam po raz pierwszy miałam być w szpitalu z powodu silnego bólu żołądka. Ponieważ bardzo się bałam, więc doktorzy poradzili tacie zamieszkać ze mną w hotelu. Doktor, pod którego byłam opieką, codziennie mnie odwiedzał, lecz ja i tak tęskniłam i płakałam za mamą.

Punktualnie o oznaczonej godzinie doktor przyjeżdżał, badał mnie dokładnie, zalecał lekarstwa, głaskał po główce, chwalił i odjeżdżał. Pezyzwyczaiałam się do kłapania podkówek jego konika i zawsze poznawałam, kiedy pan doktor jechał. Często płakałam, zwłaszcza wieczorami było mi bardzo smutno za mamą i za rodzeństwem. Kiedy więc oznajmił pan doktor, że mogę wracać radość moja była niezmierna. Nie wiem skąd wiedzieli w domu, że wracam, ale gdy wysiadałam z autobusu wszyscy na mnie czekali, a każdy miał dla mnie prezent i miłe słowo. Ja odrazu poskarżyłam się mamie, że "ja pakał, pakał zia mamom, a tato mnie bił,bił". Oczywiście nie była to prawda. Tato mnie nie bił, ale chciał na "duś" usypiać mnie.

Wieczorem wysiedliśmy z pociągu i po ciemnym wagonie

oświetlone i gwarne miasto zrobiło na mnie wrażenie. Stacja była olbrzymia z dużą ilością spoconych i sapiących lokomotyw. Podwodami wieziono nas przez duże miasto do specjalnie przygotowanej dla nas szkoły... Rozlokowaliśmy się znów na pryczach i czekaliśmy na dalsze losy. Rano mama powiedziała: "to miasto nazywa się Kotłas - jesteście już tysiące kilometrów od domu, czy kiedy wrócimy...".

Wtedy nie wiedziałam, że tutaj spotka nas pierwsza tragedia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miasto Kotłas - tułaczki ciąg dalszy

Znów zajęliśmy szkołę, tylko że tutaj już czekali na nas. We wszystkich salach były przygotowane prycze z desek.

Tutaj nas nikt nie pilnował, bo stąd nigdzie nie można było uciec. My natomiast pilnowaliśmy naszych rzeczy, bo - jak już wspominałam - Polacy kradli jedni u drugich. Mama mówiła, że nie robią tego osadnicy, a hołota, która nie wiadomo skąd się wzięła. Dorośli przypuszczali, że byli to ci, do dobrowolnie jechali budować miasta na Syberii.

Mieliśmy już komendanta - Rosjanina, który ostrzegał Polaków, aby nikt o zmierzchu i w pojedynkę nie wychodził, bo zdarzają się napady i pobicia. Mamy poczekać parę dni na podwozy i pojedziemy do posiołków, gdzie czekają na nas ciepłe domy i dobra praca. Te parę dni zamieniały się w tygodnie i końca czekania nie było. Okazało się, że nie było proste rozmieścić taką ilość ludzi w posiołkach o paru barakach. O tym jednak nie wiedzieliśmy jeszcze.

Tutaj spotkaliśmy prawie wszystkich naszych sąsiadów i znajomych. Wymienię tych, których znałam, choćby ze słyszenia. Byli więc: Berchertowie, Ślufikowie, Borkowie, Tkaczykowie, Guzikowie, Piskorscy /ich malutki synek już nie żył/, Januszowie i inni.

Nie mając co robić, chodziliśmy to z mamą to z tatą oglądać miasto. W oczy rzucała się duża i piękna przystań, a Kotłasanie szczycili się, że jest piękniejsza niż w Archangielsku.

Dziwnym wydawało się tatowi i to, że całe miasto miało niską budowę, domki, przeważnie parterowe i drewniane. Drewniane były także i chodniki w mieście. Czasami wpuszczano nas do domów /mama mówiła, że drzwi otwierają nam nasze okrycia gdyż nie wyglądaliśmy na "bradziagów", a pełno ich tutaj wałęsało się. Uciekali z zesłań.

W mieszkaniach ściany były "tapetowane" gazetami lecz podłogi były śnieżnobiałe. Widziałam, jak kobiety myły je. Przyносиły duży kawał kamienia mieniącego się od miki i /chyba/ kwarcu, rzucały nim o podłogę, polewały wodą i szorowały zdartymi miodłami aż furczało. Te podłogi to jakaś mania tamtych kobiet. O nic tak nie dbały jak o czystość podłóg, toteż w każdym domu pachniało lesem i świeżością, bo podłogi były sosnowe.

Stare kobiety patrzyły na nas z litością i łzami w oczach. Z mamą rozmawiały grzecznie i ze smutkiem kiwały głowami. Były to kobiety "błagorodnyje" /kulturalne/, bo prawdziwe sybiraczki. Zapraszały mamę by usiadła, wycierały przy tym fartuchem i tak czyste ławki i częstowały nas kartoflami zalanymi mlekiem i wyprażonymi w piecu w "czugunnych" garnkach. Te kartofle bardzo mi smakowały, ale wprost pyszne były szańgi. Piekły je w specjalnych foremkach w piecu i to też był produkt kartoflano-owsiany, ale wyśmienity. Żegnając się i nisko kłaniając przed ikonami wypytywały mamę skąd nas wiozą, dokąd i dlaczego. Mama odpowiadała, że nie wie dlaczego wyrwano nas w środku surowej zimy i powieziono tysiące kilometrów na zatrącenie. Po prostu taki los. Wtedy one znów zamasyście żegnały się trzema palcami i kłaniały do ziemi ikonom. Współczuły nam i były dobre, ale tylko starsze kobiety. Komsomołki patrzyły na nas i z wielką niechęcią, a nawet z niewolniczym. Często mówi-

ły, że przyjechaliśmy ich "chleb zrat". Nie udało się mamie wytłumaczyć im, że nie na zaproszenie tutaj przyjechaliśmy ani nie z własnej woli.

W Kotłajie zobaczyłam wnętrza takich domów. Muszę przyznać, że dziwiły mnie, ale i podobały się. Była to swego rodzaju egzotyka.

Domy ich były nieduże, drewniane, kolorowe, z gankiem o rzeźbionych kolumnkach, balustradkach i dachu. Kolorowe i rzeźbione były również okiennica i zakończenia dachów. Do takiego domku wchodziło się najpierw na ganek, potem do sieni i do obszernej izby. Zwykle była to jedna izba. Przy wejściu stał duży biały piec chlebowy. Na wprost drzwi kwadratowy lub prostokątny stół z narożnymi ławkami z dwóch stron i krzesłami z dwóch następnych. W kącie nad stołem wisiały poczerniałe ze starości, w srebrnych lub złotych oprawach ikony z zapalonymi lampkami przed nimi. Ile razy wchodził kto do izby, zęgnął się po trzykroć, nisko kłaniał przed ikonami.

Bliżej drzwi przy ścianie stało żelazne pięknie posłane łóżko. Przed nim na podłodze leżał ręcznej roboty kolorowy dywanik. Łóżko przykryte było jakby "halką" haftowaną i wyszywaną, która wyglądała spod pięknej narzuty, a dopiero na wierzchu ułożona była sterta poduszek, też w pięknie haftowanych poszewkach. Oczywiście, to łóżko nie było do spania, to była "ozdoba". Nad łóżkiem zaś były tzw. "połati" - drewniane prycze pomalowane na orzechowy lub bordo kolory. Na połatiach spała cała młodsza generacja, miejsce na piecu zajmowali dziadkowie. Taka była tradycja.

Okna w tych domach nie były duże, na noc zamykano okiennice. W oknach wisiały ręcznie wykonane firanki tak piękne, jak dawne welony /w znacznych domach/ lub wykonane z papieru

/u biedniejszych/. Za takim domkiem każdy ^{gospodarz} miał swoją "banię" czyli łaźnię lub saunę jak kto woli. Co sobota szła rodzina do "bani", tam wyparzali się aż siódme poty po nich spływały, a potem zasiadała rodzina przy stole i piła "goriaczyj kriepki i bez sacharu czaj" - gorącą, mocną i bez cukru herbatę, pozdrawiając się nawzajem "s logkim parom", co oznacza jakby życzenia miłego, lekkiego oddechu.

Widziałam również domy biedoty, tzw. "obszczeżytia" - to był koszmar.

Bardzo mnie zaskakiwały stroje kobiet. Było to całkowite novum. Nosiły one tzw. sarafany zakładane na białe, suto marszczone i haftowane bluzki. Czoła przewiązane miały do połowy błyszczącą lub kolorową chustką, na to nakładały wysokie czepce. Na wszystko patrzyłam z zaciekawieniem i podziwem. Było to dla mnie niespotykane.

Stroje młodszych kobiet i dziewcząt nie podobały mi się zupełnie. Chyba była to ich domorośla "moda" lub przymus życiowy. Chodziły w walonkach na gołe nogi, perkalowych spódnicach, a na wierzchu miały watowane kufajki /teraz nosi się takie na całym świecie/.

Prosiły mamę o pończochy, bo u nich nie było. Patrzyłam na ich walonki i podobały mi się bardzo. Potem te walonki, to było moje ciągle niedościgłe marzenie, jak również piękne, białe, cieniusieńkie lecz jakże ciepłe, duże chusty z jagnięcej wełny. Wszystkie te "cuda" robili domorośli artyści u siebie w domach na własnych warsztatach, czy krosienkach. Wtedy Kotłas dosyć mi się podobał z jego niedużymi, schludnymi domkami, drewnianymi płotami i chodnikami. Wszystko tu budowane było z drewna.

Nigdy nie mieszkałam w dużym mieście więc, wielkie wrażenie robili na mnie domy z potężnymi miedzianymi i żelaznymi wspaniałymi

tw. "dworniki". Stali groźni i ze złością patrzyli na chodzących po chodnikach ludzi, gdyż nanosili śnieg, który oni musieli sprzątać. Dozorcy też byli swego rodzaju pejzażem. Sam ich ubiór świadczył o tradycji. Byli w walonkach, kożuchach, czapkach, uszankach i w białych fartuchach skrzyżowanych na plecach. Ich potężne miotły były postrachem dla miejskiej szpany /chuliganów/ - oba te słowa tam poznałam.

Mimo zapowiedzi "gław-komendanta", że szybko pojedziemy na posiołki, pobyt nasz w Kotłasiu przeciągał się. Znowu pojawiły się choroby brudnych rąk. Panowała czerwonka, tyfus planisty,

Umierały dzieci, umierali dorośli, Ludzie domagali się mydła i możliwości wymycia się, ale bez skutku. U Berchertów umarł dziadek, u Ptaków - matka. Wszy i brud doskwierały straszliwie. Polacy szemrali coraz głośniej. W szkole pojawiło się więcej enkawudzistów. Zaostrzyły się rygory a podwojdy jak nie przybywały tak nie przybywały. Choroby dziesiątkowały polskie rodziny. Ciągłe wynoszono kogoś do szpitala lub do kostnicy.

Codziennie komendant obiecywał, że dziś napewno część ludzi pojedzie, ale przychodził wieczór, a sań nie było. Dorośli mówili, że na pewno tutaj wszyscy zarazimy się i poumieramy.

W pewnym momencie zaczęto dawać nam olbrzymie ilości zapalek. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć. Komendant wyjaśnił, że zapalki rząd przysyła po to, aby podczas jazdy saniami palić pochodnie i ogniska, by tym sposobem bronić się przed stadami wilków. Znowu blady strach padł na ludzi. Mówili: "czego nie dokonały choroby, dokończą wilki," ale tubylcy /Rosjanie/ śmiało się i zaprzeczali jakoby tutaj były wilki. Mówili; "to nie prawda, tu nie ma żadnych wilków. Zapalki dają wam po to, żebyście radzili sobie sami w tajdze, bo kiedy wywiozą was do

tajgi to rzucają pod drzewem i żyjcie jak potraficie. Będziecie się bronić przed mrozem i zimą, a nie przed wilkami, bo ich tutaj nie ma. Nie mają dokąd was zawieźć, bo nie ma żadnych posiołków, jest tylko tajga. Tak postępowali już z „sylvnymi” rosyjskimi w 1921 i w 1932 r. i tak zrobią z wami”.

Polaków ogarnęła panika. Komendant zaprzeczył temu, twierdził, że to potwarz, że mówią to „wrogowie” ludu i trzeba takich tępić i że on ma gorącą prośbę wskazać milicji tych co sieją panikę i zamęt. Rezultat był taki, że Sybiracy na głucho zamknęli przed nami swoje drzwi. Oczywiście wszyscy Polacy skłonni byli wierzyć Kotłasanom niż komendantowi. Tymczasem choroby robiły swoje...

Po, jak nam się zdawało, niekończącym się czekaniu, w końcu pojawiły się podwody, komendant wyczytywał nazwiska, a wyczytani ładowali na sanie swój coraz nędzniejszy dobytek i machając rękami tym co zostali, ruszali ku swemu przeznaczeniu. Nas komendant nie wyczytał. Wszystkim wyjaśnił, że mając na uwadze „dobro” ludzi, najpierw pojedą rodziny z małymi dziećmi i staruszkami. Nie zaliczaliśmy się do tej grupy. Teraz byliśmy duzi /nie będzie tak po dwóch latach, ale to potem/.

Z płaczem żegnaliśmy odjeżdżających Berchertów. Lubiliśmy się bardzo i po tylu latach rozdzielono nas /jak się potem okazało na zawsze/. Z zalem żegnał śliczną czarnooką Jankę Berchertównę nasz późniejszy komendant Tropin. Nieraz widziałam jak Tropin wpadał do naszego kąta, gdzie dzieliliśmy prycze z Berchertami i zapraszał Jankę na „progułku” /spacer/. Janka zakładała paltko na zgrabne plecy, granatowy berecik na główkę i uśmiechając się zalotnie wychodziła z komendantem. Po takim spacerze wracała z cukierkami, które natychmiast między nas rozdzielała. Przypadła Tropinowi do serca, a i on nie był jej

obojętny. Kiedy wyczytano ich nazwisko i zaczęli się pakować, do Ust'Zaruby przybiegł Tropinⁱ jak oszalały prosił Jankę, by się nie pakowali, bo on „załatwił”, że pojedą tam, gdzie on będzie komendantem. Tak tylko mu się zdawało, że coś „załatwił”. Widocznie nie był w łaskach u „starszyny”. Wrócił biały jak kreda /tak określiła go mama/, wziął Jankę za rękę i długo trzymał i całował jej delikatne palce i cichym głosem mówił: „Praszczaj Janina Janowna, bolsze my už nie uwidimsia, z taboju” - patrzył jej w oczy i uśmiechał się smutno.

Myślę, że to złośliwość „gławki” /naczelnego komendanta/ rozdzieliła tych dwoje. Tropin dostał „prykaz” gdzie indziej, a Jankę z rodziną wysłano gdzie indziej. Nie było na to rady...

Potem, już na Obilu, wypytywał naszą mamę o Jankę, chciał o niej wszystko wiedzieć, nie mógł o niej zapomnieć, a jak go brano na front powiedział do mamy: „Proszę Janinę Janowną pozdrowić ode mnie i powiedzieć jej, że nigdy o niej nie zapomnę”.

A my ciągle czekaliśmy. Byliśmy nieludzko brudni, zawsze- ni i schorowani... Nie myśliśmy się już ponad 6 tygodni. Zapasy żywności były na wyczerpaniu, a jeżeli było jeszcze trochę kaszy czy grochu, nie było gdzie tego gotować. Doświadczylam jeszcze jednego uczucia - głodu. Nie byłam głodna w pociągu, ale tutaj - tak. Nie rozumiałam, że mama nic ma dla nas nawet chleba do syta. Brud, wszy, choroby i jeszcze głód, to było ponad moje dziecięce siły. Położyłam się na pryczy i całymi dniami nie wstawałam. Było mi źle i byłam głodna. Bolał mnie brzuch, miałam wymioty i biegunkę - to był koszmar, nie było gdzie prać lepiących się od brudu rzeczy. Mama też ledwo żyła. Trzymała się resztkami sił, a ludzie umierali...

Podobnie, przeżywały, komendant wypytywał nazwiska, jako-

ła pustoszała, a myśmy czekali...

Pewnego wieczoru przyszedł Tropin i oznajmił, że jutro wszyscy pojedziemy, bo przybywa cała kawalkada podwód. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam zbierać swoje fatałaszkę i zabawki, chciałam już jechać, natychmiast. Tropin powiedział, że rząd bardzo się „troszczy” o Polaków i dlatego zebrano taką ilość sań, by wszyscy się na nie załadowali, gdyż trzeba jechać póki mróz trzyma, bo jak puszczą lody nie dojedziemy do miejsca przeznaczenia. Nie ma innej drogi. Można jechać tylko po zamarzniętych rzekach. Rankiem z radością /tak!/ i ulgą układaliśmy nasze tobołki na saniach. Mróz i zamieć były nie do zniesienia, ale myśmy nie zwracali na to uwagi. Wozacy natomiast byli źli i z nienawiścią na nas patrzyli. Jeżeli ktoś o coś się zwrócił do któregoś z nich, oni nie odpowiadali lecz matiugali się /klęli/. Pamiętam jak mama po usłyszeniu takiej wiązanki stanęła jak wryta i powiedziała: "Boże, a to co takiego!" - ale oni nie zwracali uwagi, klęli dalej. Wtedy to po raz pierwszy dowiedziałam się, że istnieją aż tak straszne słowa. Przed wojną nigdy ich nie słyszałam. Uszy już nie puchły, a po prostu odpadały /teraz nasza ulica, miejsce pracy, szkoła, rozbrzmiewają także takimi słowami/. Zapas tych porno-słów u wozaka był tak wielki, że mógł bez zająknięcia kląć godzinę i więcej. i nie powtórzyć się ani razu.

Mama była porażona. Nie wiedziała co ma robić, abyśmy tego nie słyszały, ale my dokładnie wszystko słyszałyśmy i nawet to nas bawiło.

Wiedziałam, że mamie coś nie daje spokoju, więc kiedy już jechaliśmy spytała woźnicę, dlaczego tak strasznie klną, dlaczego nie wstydzą się dzieci i kobiet. Spojrzał na mamę i powiedział, że jak pótyje tutaj dłużej to się dowie i też nauczy.

Dowiedziała się lecz nigdy nie nauczyła się kląć, za to ja - tak!

Podobały mi się ich sanie, były inne od naszych na Wołyniu. Niziutkie, na cienkich płozach. Drabinki rozszerzały się do tyłu w kształcie wachlarza. Robiono je takie, by nie były wywrotne. Można było zaprzęgać do nich po jednym koniu, gdyż miały dwa dyszle zakończone "długojem" /kabląkiem/. Konie też były ciekawe, również niezbyt duże i włochate, jak młode cielęta. Patrzyłam na nie z ciekawością i zdziwieniem, że takie mogą być koniki, nasze były piękne, duże i błyszczące. Woźnica powiedział, że są przystosowane do klimatu, ale pomimo swego małego wzrostu są bardzo silne i wytrzymałe. Największą ich zaletą jest to, że nie muszą dużo jeść. Były ładnie utrzymane i tłuste, co stwierdziła moja mama, a mama doskonale znała się na koniach. Uprząż była ozdobiona, a zawieszona wysoko na kabląku dzwoneczki wydawały melancholijne, jednostajne dźwięki podczas kłusu.

Woźnice wyraźnie dbali o konie czym zyskali uznanie w oczach taty. Na każdym postoju przyczepiali im torby pod pyski i przykrywali derkami i rogożami. Nie widziałam, aby któryś z wozaków bił konie. Trzymali w rękach ozdobione, krótkie basty, lecz były one dla parady nie do popędzania koników.

Po rzece, między wysokimi brzegami biegły koniki truchciakiem, jeden za drugim i nie trzeba było poganiacza. Jeden wozak miał pod swoją pieczęcią 10 par sań, reagowały na jego pohukiwania i cmokania.

Załadowaliśmy cały nasz dobytek, mama okutała nas w koce i futra i czekaliśmy na znak do wyruszenia. Idąc do sań spojrziałam na niekończący się tabor i mocniej ścisnęłam mamina rękę. Kiedy już wszyscy usadowili się na saniach, woźnica

wszedł na pierwsze sanie i dając znak rękę krzyknął: "Trogaj" /ruszaj/. Drgnęła cała kawalkada. Wszyscy - Rosjanie i Polacy, przeżegnali się, a nasz woźnica, żegnając się splunął parę razy za siebie.

Przy delikatnych smutnych dźwiękach dzwoneczków zjeżdżały na Dwinię sanki jedne za drugimi. Choć było już ~~około~~ połowy marca, Dwina ani myślała ruszać i pękać. Mama spytała, czy nie grozi nam utonięcie, bo to już marzec, ale woźnica zaśmiał się tylko i powiedział, że lód jest tak gruby, że absolutnie nic nam ze strony rzeki nie grozi. Niebawem przekonaliśmy się, że Dwina jest skuta bardzo grubym lodem. Chcąc napoić konie musieli woźnicy długo toporami i kilofami rąbać lód, by dostać się do wody. Przeręble zamarzały prawie natychmiast, gdy tylko odchodziły od nich konie.

Wtedy też okazało się, że ci woźnicy wcale nie są tak złymi ludźmi, jak nam się wydawało. Oni klęli na swoją dolę i bezsilność. Tak potężnej bezsilności nie było można w żaden ludzki ani boski sposób pokonać. Woźnice rzadko sami siadali na sanie, przeważnie szli obok. Sprawdzali czy jest nam ciepło, a nachylając się nad nami pytali: "nie proziab?" - nie przemarzłeś? Otulali nasze nogi i uśmiechali się do nas. Szczególnie dbali o Gienia, który bez słowa skargi leżał na saniach bo trawiła go niemiłosierna gorączka. Czoło miał rozpalone a ręce i nogi lodowate. Woźnica patrzył na Gienia i mówił do mamy - "Barynia, wasz syniszka pomriot, ostaw'cie jego w bolnice", ale mama w milczeniu zaprzeczała ruchem głowy. "Nie, on pojedzie razem z nami" - mówiła, ~~gdy~~ woźnica powtarzał po kilka razy swoje zalecenia.

Po drodze Genio nie umarł, ale przemarzył tak strasznie, że ze ślad tego pozostał mu na całe życie.

Woźnice z troską patrzyli na konie i jeżeli który zbyt mocno parował wycierali go wiechciami słomy i okrywali grubymi rogóżkami.

Nasz woźnica przeważnie szedł obok nas, a jeżeli przysiadł na sanie to owijał się w olbrzymi tułub /kożuch/ i nucił tęskne piosenki albo rozmawiał z mamą, wypytując dokładnie o życie w Polsce, o zwyczaje i obyczaje, a słuchając tego co mama opowiadała, cmokał wargami i świszcząc przez zęby kłął cicho: "Wot żyli ludi jeti jego mat" - "oto jak żyli ludzie, psia jego mać, a my...? takaja ogromnaja strana, wot jeti...". Tato jechał na ostatnich saniach, pilnował tego co nam zostało i chciał być czynny. Mama czasami schodziła z sań i biegła obok chcąc rozprostować i zagrzać stopy, bo choć trzewiczki były sznurowane i wysokie a na nich założone śniegowce, to nic one nie znaczyły wobec takiego mrozu jaki tam był. Wtedy woźnica patrzył na mamę i mówił, że mama jest zbyt delikatna, żeby mogła tu wyżyć, bo klimat jest straszny, zwłaszcza na wiosnę nie można wytrzymać, ziemia kiepska, mało co rodzi, więc czego nie zrobi klimat, pomoże mu głód, tak czy siak będzie koniec. "Żałko was, barynia, wy takaja chrupkaja, nieznaja, kak dziewczonka, kak że wy żyt' budietie średi etowo chamia" /taka pani krucha, taka delikatna jak dziewczynka, jakże pani będzie żyć wśród tego chamstwa/. Mama odpowiadała, że z Bożą pomocą jakoś wyżyje, aby tylko wrócić z dziećmi do Polski. Woźnica gwizdał przeciągle i nie odpowiadał.

Jechaliśmy po rzece od wczesnego ranka do późnego wieczoru. Z wąwozu nie było nas widać i wysokie brzegi Dwiny chroniły nas przed wiatrem. Wokół widniał tylko las i las, czasami pojawiał się pusty dom bez okien z wyszczerbionym dachem, ze stukającymi żałośnie okiennicami. Takie widoki napawały mnie stra-

chem. Niesamowicie wyglądała karawana wieczorem, gdy na wszystkich saniach paliły się pochodnie. Dawało to jakiś przedziwny obraz. Posuwały się naprzód ruchome cienie ni to ludzi, ni to duchów. Mimo zapewnień woźniców, że nic nam od strony rzeki nie grozi, były wypadki pęknięcia lodów, ale nie było to jeszcze groźne ani dla ludzi ani dla koni, a zresztą jeżeli będzie prawdziwe niebezpieczeństwo, to pierwszy koń zatrzyma się, bo „wyczuje” - mówił woźnica. Szkoda, że nie zainteresowałam się tym skąd ten koń będzie „wiedział” o niebezpieczeństwie, ale byłam za mała.

Muszę przyznać uczciwie, że tej „podróży” nie traktowałam tragicznie. Po prostu wszystko mnie ciekawiło i już myślałam o tym, jak to będę opowiadać babuni o tej niesamowitej drodze jaką przebyłam. Jakie to szczęście, że byłam dzieckiem. Teraz nie mogę sobie wyobrazić jak czuły się, jak wytrzymywały bez mycia, bez zmiany bielizny kobiety i młode dziewczyny.

Mnie podobał się ciągnący sznur, sań z zapalonymi pochodniami i jednostajnie dzwoniące dzwoneczki.

Wilków faktycznie nie spotkaliśmy ani razu.

Na noclegi zatrzymywaliśmy się w wiejskich chatach, które z zewnątrz jak i wewnątrz podobne były do domów w Kotłasie. Komendant wprowadzał nas do tych chat, a kobiety bez słowa sprzeciwu stawiały dymiące samowary na stołach, zapraszały do kąpiatoka, ale nam chciało się przede wszystkim spać. Przynoszono więc słomę, rzadziej siano i ścielono nam na podłodze. Padaliśmy na nią i zasypialiśmy natychmiast. Nie obchodziło nas ani mycie, ani jedzenie, choć byliśmy brudni i głodni. Zresztą na stole stał tylko samowar.

Rano z płaczem wstawaliśmy i z płaczem szliśmy na siarczysty mróz, by jechać dalej. Rosjanki stały na gankach i zeg-

nając się po trzykroć, wycierały oczy fartuchami. Wiatry nie tak bardzo dawały się we znaki, gdyż przed nimi chroniła nas tajga i wysokie brzegi Dwiny.

Woźnica nasz był gadatliwy, a mama przeważnie smutna i zamysłona, więc wydawało mu się, że słucha go z uwagą. Czasami mama też coś powiedziała, a wtedy on ożywiał się i zadawał mamie mnóstwo pytań.

Pod wieczór, kiedy koniki były zmęczone całodziennym truchtem i szły same, bez pohukiwania na nie, woźnica po zapaleniu pochodni siadał na sanie i zaczynały się jego opowieści o duchach. Wtedy ja naciągałam mamine futro na głowę i naprawdę się bałam. Chciałam zawołać tata, ale gdy tylko podnosiłam głowę i zobaczyłam migocące płomienie i wydłużone cienie, natychmiast chowałam głowę i prawie nie oddychałam. Zatykałam uszy by nie słyszeć tego o czym oni rozmawiają.

Kiedyś jechaliśmy bez postoju wyjątkowo długo. Byłam zmęczona i głodna, cierpły mi nogi, było mi zimno, marudziłam i płakałam, byłam zmarznięta i chora. Zrobiła się późna noc a my ciągle jechaliśmy, bo była tu całkowita głusza i wioski jedna od drugiej oddalone były o kilkadziesiąt kilometrów. Nie było gdzie zatrzymać się na nocleg. Zaczęłam płakać i prosić mamę o coś dobrego do jedzenia. Mama niczego nie miała i ja wiedziałam o tym, ale byłam zła i żądałam tego. Mówiłam: "chcę jabłko" i coraz natarczywiej - "chcę jabłko". Mama rozzłościła się i skrzyczała mnie, kazała leżeć cicho i być grzeczną.

Wtedy /pamiętam to jak dziś/ woźnica przeżegnał się trzy razy i trzy razy splunął przez ramię. Ostro powiedział do mamy, że w nocy, w dodatku w lesie nie wolno krzyczeć na dzieci, bo właśnie o tej porze nad uchem dzieci przycupają "leszacichy" i one to namawiają je by dokuczały rodzicom, bo właśnie o to

chodzi "leszacichom". Rozgniewana matka przeklnie dziecko, a wtedy leszacicha capnie je i ucieknie. Odda je potem niby to samo, ale nie jest to to co było przedtem. Zostaje podobieństwo, ale dusza już u leszacichy. Właśnie z takiego dziecka wyrastają potem leszaki i leszacichy.

On sam miał takie przeżycie. Pewnego razu matka jego piekła chleb, a on to drzwiczki otworzy i żar podłogę wypali, to wodę rozleje, to tak huśta kołyską, że braciszka z niej wyrzuci. Matka nie wytrzymała, wytarła ręce i zpałała go za kołnierz, już już miała uderzyć go i zakląć: "A podieri tiebi@ leszyj", ale wstrzymała się. Popatrzyła na niego, a tu kukułka wyskoczyła i zakukała 11 razy. "Aha, myśli matka - pora duchów się zbliża, pewno leszacicha jakąś szparą wcisnęła się do chaty". Przygarnęła go do siebie i powiedziała: "Czto ty' ditiatko, boh\$ teboj" i przeżegnała go, a tu "klap" stuknęły drzwi, ahq to leszacicha uciekła, bo usłyszała słowo boże, a gdyby tak przekleństwo?! Oho, już by nie był dobrym człowiekiem, a tak ot jest, pracuje i Boga chwali.

To opowiadanie tak mnie przeraziło, że przestałam płakać, tylko skurczyłam się i jeszcze mocniej zamknęłam oczy. Bałam się otworzyć oczu, by nie zobaczyć leszacichy.

Mama opowiadając to tatowi, śmiała się i mówiła, że chyba jednak ta leszacicha zrobiła swoje, bo jak się koń zaplętał w postronki, to ten "dobry człowiek" tak klął, że mamie zrobiło się słabo.

Gienio leżał cichutko i żył.

Po wielu męczących dniach i nocach dotarliśmy do malutkiego, zagubionego w tajdze miasteczka /też drewnianego/ Czerewkowa. Nie był to jednak kres naszej "podróży". Czerewkowo - to miasto, a naszym przeznaczeniem był posiołek w tajdze.

Znów zawieziono nas do szkoły. Można by pomyśleć, że dzieci rosyjskie dzięki nam, miały permanentnie... wakacje. Nas zjadały wszy, niszczyły choroby i brud. Dorośli mówili, niech będzie co ma być, ale niech dowiozą nas w końcu tam, gdzie Stalin nam wyznaczył miejsce, bo powymieramy wszyscy po drodze. Faktycznie ciągle kogoś grzebano w śniegu na brzegu rzeki w pośpiechu i naprędce. Rodzina wbijała w śnieg krzyż wiązany z gałązek i karawana posuwała się dalej.

Nasz woźnica pożyczył nam "szczęścia", zabrał swoje koniki i pojechał z powrotem. Mróz, zimno, głód dały się bardzo we znaki. Wszyscy byliśmy chorzy. Leżeliśmy cisi i spokojni na swojej pryczy. Jedna mama nie położyła się, chodziła przy nas wszystkich, choć była też chora i wymizerowana, karmiła nas i przebierała w suche ubrania, tuliła, całowała i pocieszała jak mogła. Chodziła do ludzi, wymieniała rzeczy na kartofle lub cebulę i starała się odżywić nas "witaminami".

Tym razem nie czekaliśmy zbyt długo. Po kilku dniach przyszły podwoły, zwlekliśmy się z pryczy i pojechaliśmy po zamarznętej rzece dalej w głąb tajgi. Poczułam się trochę lepiej, więc nie leżałam na saniach, a podparta poduszką siedziałam i przyglądałam się na pół brodatym świerkom, których wierzchołków nie mogłam dojrzeć. Takich drzew nie widziałam w Polsce. Samo słowo "tajga", którego nie rozumiałam, robiło na mnie wrażenie.

Konie zapadały się po brzuchy w śniegu i ledwo ciągnęły przeładowane sanie po nieprzetartej drodze. Wiało zimnem i grozą. W niektórych miejscach lód był już cienki i wozacy klęli, że będą musieli jechać brzegiem po zawianej i zaniesionej śniegiem drodze, której żaden z nich nie znał. W chłopskiej izbie tato długo siedział zamyślony i smutny. Kładąc się w ubraniu na rzuconą słomę, powiedział: "Jesteśmy już tak daleko od Polski, że

uwierzyć trudno, byśmy jeszcze kiedyś wrócili". A Euzebiusz dodał: "Marszałek też był na zesłaniu i wrócił, my też wrócimy" - "Obyś powiedział to w dobrą chwilę, synu" - westchnął tato i zamyslił się. Biedny tato...

Koniom było bardzo ciężko i wozacy kazali dorosłym i zdrowym iść, bo inaczej nie dojedziemy. Prawie wszyscy byliśmy chorzy. Szli więc przy saniach tato, mama, Marysia i Emil. Z kolei my we troje leżeliśmy. Oni też nie mogli iść zbyt długo, bo nie mieli odpowiednich butów. W ich trzewiczki nasypywał się śnieg, zapadali w zaspy, co chwila ktoś padał. Tato zdenerwował się i kazał wszystkim usiąść na sanie, mamie też. Woźnica klął i ciskał się, ale tato kazał mu milczeć i wozak zamilkł. Tato szedł obok mamy i mówił: - "Straszna tu zima, a u nas już przedwiośnie, pewno skowronki przyleciały...".

A mama dorzucała: -"I nasze bociany gniazdo poprawiają na stodole, a Kozioł ciągle obręczy ~~starej~~, nie zmienił...". Milkli obydwójce i patrzyli smutno w ciemny, bez początku i końca las. Tam, w domu nastawała pora przeglądania maszyn rolniczych i pługów, szykowania się do orki i zasiewów. - "Co tam dzieje się z moimi pszczołami" - pytał tato chyba siebie, a mama, chcąc mu przerwać smutne myśli zaśmiała się i powiedziała: "Pamiętasz jak poszedłeś z dzieckiem /chodziło o mnie/ do pszczół : sprawdzać jak przeżyły zimę, a dziecko przybiegło po chwili i z płaczem woła: „mamo, tato zabił pszczołom mamunię, a one poskładały rączki i tak płaczą" - pocieszne było to dziecko". Obydwójce uśmiechnęli się i zamilkli. Jakichś czas nic nie mówili, ale tata coś męczyło, bo znów zaczął mówić ciągle jakby przed siebie czy do siebie: "Moje dzieci, tyle miałem planów, tyle nadziei i co, co będzie z naszymi dziećmi, ta tajga pochłonie je...".

Drogi, najdroższy tato... myśmy wrócili okaleczeni, zagubieni i osieroceni...

Któregoś wieczoru zobaczyliśmy poprzez gęste świerki migoczące światełka. Wszyscy ożywili się, zaczęli zeskakiwać z sań i biec w kierunku świateł. Za parę chwil wjechaliśmy do mikroskopijnego, otoczonego lasem osiedla. Koniki parskały i prychały i chyba jak ludzie, przyjęły z ulgą kres wędrówki.

Kiedy pozostałe sanie dobiły do nas, Tropin przybiegł /jechał na ostatnich saniach/ i zacierając ręce powiedział: "Wot dojechali, sława Bohu, eto posiołek Obil i rieka toże Obil".

Mama rozejrzała się i spytała z lękiem: "Gdzież nas pomieszczą, ja tu widzę parę baraków".

Istotnie baraków było sześć czy siedem, a rodzin chyba z sześćdziesiąt. Tropin wyczytał kto do jakiego baraku przydzielony i kazał "rozgościć" się i pobiegł obejrzeć komendanturę.

Weszliśmy smutni do baraku i staliśmy bezradni, to nie był dom dla nas, to był wspólny, z ohydnyimi narami, pusty barak. Byłam przerażona, bo co tu mówić, całą drogę wyobrażałam sobie, że dostaniemy śliczny /taki jak nasz/ domek, będę mieć pokój z Marysią i będzie nam dobrze...

Pierwszy połapał się Emil. Dał susa i zajął dla nas górną pryczę, on jeden przypomniał sobie w porę nasze udręczenie z "ciotką" i nie dał się nikomu wyprzedzić.

Byłam przygnębiona i apatyczna. Niczego mi się nie chciało. Nie byłam jeszcze całkiem zdrowa. Położyłam się i błyskawicznie zasnęłam.

W środku nocy zbudziło mnie głośnie szłochanie. Odrazu otrzeźwiałam, serce waliło mi jak młot, bo... to płakała mama. Nigdy nie słyszałam mamy tak płaczącej, siedziała z głową schyloną na kolanach i płakała jak małe skrzywdzone dziecko.

Mama płacze?... Zaczęłam także płakać, zbudziła się Marysia i też się rozpłakała.

Tato tulił mamę i cicho uspokajał. Nie wiedziałam co się stało. Na wszystkich pryczach pozapalano lampki, okazało się, że nikt z dorosłych nie spał. Ciągłe nie wiedziałam o co chodzi aż tu nagle przy zapalanej latarni zobaczyłam niezliczony rój czerwonych, ohydnych robaków pełzających po pościeli, poduszkach, kołdrach, suficie i gdzie spojrzałam, wszędzie łaziły te robaki.

- "Co to?"- krzyknęłam przerażona, a że bałam się wszelkiego paskudztwa, zaczęłam krzyczeć w niebogłoso.

- "To pluskwy" - odpowiedział Fajfer, nasz sąsiad z dołu. "Niech pani nie płacze - mówił do mamy, niech pani je tłucze". Patrzyłam na to ruszające się i pędzące gdzieś paskudztwo z obrzydzeniem i wstrętem. Było po prostu czerwono od nich. Mama najpierw je tłukła, potem rozcierała jakąś szmatą, a kiedy stwierdziła, że nie da im rady, załamała się i rozpłakała.

Rozgniecione robactwo wydzielało ohydny smród, od którego robiło się nam niedobrze. Zawsze byłam wrażliwa na zapachy, a ten wrywał mi wewnątrzności, krztusiłam się i dusiłam. Widząc to mama przestała płakać, zniosła mnie i położyła na naszym kufrze. Trochę się uspokoiłam. Tato cicho, łagodnym głosem uspokajał Marysię. Zaczynałam zasypiać. Mama nie spała. Całą noc zrzucała robactwo z naszych twarzy, bała się, że powochną nam do uszu.

Tak wyglądała pierwsza noc w miejscu naszego przeznaczenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

"Miejsce przeznaczenia - posiołek Obil"

Następnego dnia okazało się, że w tych kilku barakach pomieszczano 60-70 rodzin, co znaczyło około 400-450 osób. Warunków do życia nie było żadnych. Nie było umywalki, ani nawet miejsca na nią. Po prostu niczego. Potem każda rodzina stawiała przy swojej pryczy wiadro z wodą, a na kuchni gotowała coś z zapasów z Polski, ale doczekać się tego nie sposób było, bo płyta maleńka a rodzin w naszej połowie baraku było pięć. Powietrze było ciężkie, nie do zniesienia, a okna nie otwierały się, gdyż były na głucho zabite gwoździami. Zresztą przy takim mrozie nie wytrzymałoby się przy otwartym oknie dłużej niż 5 minut.

Niektóre dzieci chorowały na zapalenie płuc, grypę i gardło. Ja nie chorowałam długo.

Wstałam rankiem i z przerażeniem patrzyłam, że nie ma się w czym umyć, ani nie wiem w co mam się ubrać. Byłam głodna i zła. Ktoś powiedział, że jest czynna stołówka, więc Emil pobiegł i przyniósł jakąś strasznie czarną polewkę, ale nie była do zjedzenia. Cuchnęła z daleka i żadnej krupki ani kartofla z niej nie wyłowiłam. Mama dała nam chleba z miodem i przegotowaną wodę do picia - to było śniadanie.

Mama chciała choć trochę domyć nas i przebrać w coś czystego. Przeglądała rzeczy, a wówczas zjawiła się jakaś wredna, ciężarna Rosjanka i kazała kobietom z dziećmi iść do "bani" - łaźni. W puszcze po konserwie przyniosła brudno-szarą maź i powiedziała, że to jest mydło. Było to tak śmierdzące, że sam nos odkręcał się w drugą stronę. Poleciała również wziąć

wszystkie rzeczy z podróży do dezynsekcji, czyli do pomieszczenia obok łaźni, gdzie miało być około 100°C. Miały tam zgiąć insekty, które nawieźliśmy z Polski, bo u nich panuje czystość i porządek i "parazytów" nie ma. Ona jest tutaj od tego, by dbać o higienę /!/ w posiołku i ona dopilnuje, że będzie tutaj czysto.

Bez słowa zwinęliśmy naszą pościel, palta i inne rzeczy i poszliśmy za nią. Pod lasem /zresztą dookoła był wyłącznie las/ weszliśmy do sieni drewnianego domku, z których jedne drzwi prowadziły do łaźni, a drugie do pakamery na dezynsekcję. Stałam i bez ruchu patrzyłam na mamę i Rosjankę układające nasze rzeczy na półkach. Dezynsekcja miała trwać do pół godziny, a my z mamą miałyśmy się wymyć w łaźni.

Rosjanka wrzasnęła na mnie i Marysię, żebyśmy się rozbierały. Po tej okropnej nocy wszystko co miałam robić napawało mnie przerażeniem i grozą. Rosjanka otworzyła drugie drzwi i wtedy buchnęła na nas gorąca para. Bałam się, że wypali mi oczy i nic wokół nie widziałam. Stałam golutka przy drzwiach, trzymałam się za oczy i głośno płakałam. Za nic nie chciałam wejść do środka. Rosjanka chciała mnie wciągnąć, lecz ja opierałam się i kasałam, ale ona była silniejsza. Wciągnęła mnie do wewnątrz /nie mogłam jej bić, bo musiałam trzymać się za oczy, ciągle bałam się, że mi ta para wypali je/ i jak szczeniaka rzuciła na dolną półkę. Wyszła i zamknęła drzwi za sobą. Wtedy ja zerwałam się, szarpałam drzwi, krzyczałam, ale drzwi nie puściły. Poślizgnęłam się i upadłam, darłam się więc jeszcze głośniej. Mamie udało się jakoś wejść do środka, podniosła mnie ze śliskiej podłogi i rozcierała moje potłuczone kolanko. Ta wiedźma wyrwała mnie z rąk mamy i znów wepchnęła na półkę i kazała mamie natychmiast rozbierać się i wchodzić, bo "bania" wystygnie.

Mama odpowiedziała, że u nas nie było takiego zwyczaju, by dorośli myli się razem z dziećmi, ale ona kazała mamie czym prędzej rozbierać się i wchodzić. Chwyła maminą halkę i zciągnęła ją z mamy. Przy czym cały czas rugała mamę, że nawieśliśmy tutaj "parazitów" i obdarzamy nimi Rosjan. U nich "jest czystota i pariać". Wtedy mama powiedziała: "a kłopy" omal nas nie zjadły dzisiejszej nocy". Na co ona odpowiedziała, że one są same z siebie, a w ogóle to szkoda, że nas nie zjadły, przeklętych Polaków. Mama umyła mi włoski i czesała, czego ja strasznie nie lubiłam, lecz mama powiedziała, że jak nie będę się czesać, to wszy uplotą warkocz z moich włosków i zciągną mnie do Obila. Pozwoliłam mamie uczesać i podciąć sobie włosy.

Wzięłyśmy nasze rzeczy z desynsekcji i wróciłyśmy do baraku. Nie wiem ile tam było stopni, ale mama nie stwierdziła, by był jakiś skutek. Owszem, wszy wygrzały się, odżyły i teraz wzięły się za zjadanie tego co nie zdążyły pluskwy. Przeglądała mama nasze rzeczy, wyjmowała wszy i topiła je w wiadrze na brudy. Nie krępowała się, robiły to wszystkie kobiety.

Tymczasem komendant zwołał wszystkich mężczyzn /od 16 roku życia/. Powiedział, że wszyscy go znają z Kotłosa i że on jest mianowany na komendanta nad Polakami i ze wszystkimi sprawami należy się do niego zwracać przez starostów baraków, których sami sobie wybierzemy, bo u nich jest swoboda i on nikogo narzucać nie będzie.

Rozdzielił prace. Mężczyźni zdrowi i młodzi będą pracować w lesie, jako "lesoruby", a kobiety i "parniszki" - czyli 16-letnie chłopaczki - jako "izwozczyki". Będą zwozić budulec, bo trzeba stawiać nowe domy. Ci co znają się na budowie, mogą po pracy w lesie budować dla siebie, bo budulca nie zabraknie

jeśli drwale będą dobrze pracować. Jest oczywiście dzienna norma na ścięcie i wywóz drzew, lecz jeżeli ktoś będzie się starał to może zostać "stachanowcem". Dostanie premię i lepsze jedzenie. Ci, co mają średnie wykształcenie i znają rosyjski, zwłaszcza dziewczęta, inwalidzi i chorzy, mogą pracować w kantarze w przedszkolu i żłobku. Ci, co nie znają języka /chorzy/ będą markirowczykami /oznakującymi drzewo/. Brygadzystami będą póki co Rosjanie, później mogą zostać i Polacy. Nie ma co czasu tracić na darmo i jeżeli nie ma pytań, trzeba brać się za robotę, bo wszystkim potrzebna "zarплата". On chce, żeby był spokój i subordynacja. Nie wolno uciekać stąd, tworzyć tajnych organizacji ani wychodzić na "zabastowki" /strajki/. On życzy, aby wszystkim było "dobrze". Rząd "dba" o ludzi pracy i o ich zdrowie. Właśnie tutaj nad zdrowiem wszystkich czuwać będzie Marusia - felczerka. Marusia była Tatarką, miała skośne oczy, wystające policzki; była czarą, malutką i drobniutką o przemiłym, ujmującym uśmiechu, ale leczyć nie umiała i nie miała czym. Był absolutny brak lekarstw.

Na koniec komendant życzył dobrego pobytu i kazał rozejść się i sposobić do pracy, bo trzeba zarobić na chleb.

Na to wystąpił Staś Herba i powiedział, że on nigdy nie podporządkuje się temu na znak protestu za gwałt, jaki uczyniono na Polakach przywożąc ich tutaj. Z zebrania nie poszedł do baraku, lecz w stronę Siennik, krzycząc głośno, że ucieka do Polski. Po dwóch dniach enkawudziści przywieźli p. Stasia, ale ten na nowo wykrzykiwał, że jak tylko podleczy rany jakie zadali mu czerwoni bandyci, znów ucieknie. Enkawudziści odjechali groźni i źli, a pan Staś w biały dzień, na oczach wszystkich - "uciekł". Widział to i komendant, lecz nie reagował. Znów przywieziono p. Stasia. Tym razem dłużej leczył pobite

ciało i gdy tylko poczuł się na tyle dobrze, że mógł chodzić, wziął laseczkę i "poszedł" do Polski. Więcej p. Stasia nie przywieziono na Obil, ani hikt z rodziny nigdy o nim nie sły-
szał i nie widział go. Co biedny, stary ojciec nachodził się do komendanta, co nabłagał, by mu zwrócono syna, niestety, ka-
mien w wodę. Przepadł p. Staś i słuch o nim zaginął.

Za to młodszy brat pana Stasia, Tomek, od razu poczuł się komunistą i stachanowcem. Wychwalał ustrój i to, jak mu tutaj dobrze i bardzo szybko wziął "rozpiskę" /ożenił się/ z Maru-
sią /felczerką/. Była ona prawdziwie oddaną żoną. Z tego dobro-
bytu Tomciu miał długie wyroki za kradzież "socjalistycznego"
mienia - czyli paru kilogramów pszenicy. A Marusia... cierpiała dole i niedole. 10 lat czekała wiernie na męża, pracowała, wo-
ziła paczki i studiowała medycynę. Po odsiedzeniu wyroku zabra-
ła Tomcia i natychmiast wrócili do Polski. Dokończyła medycy-
nę i była lekarzem na Górnym Śląsku. Tomciu był górnikiem i zginął w katastrofie górniczej. Piszę o nich więcej, bo od Obila ciągle jesteśmy blisko siebie.

Dorośli i ~~nie~~dorośli poszli do pracy. Ciągłe trzymał ostry mróz. Do baraków przychodziła nauczycielka /ruda i dziobata po ospie/ i spisywała dzieci w wieku szkolnym. Mnie zapisała do pierwszej klasy, a Marysię do trzeciej.

Emil zdecydował, że będzie zwozić drzewo, nie będzie się uczył, bo tato na wszystkich nie zapracuje.

Gienio ciągle leżał, był bardzo słaby i chory, prawie nie odzywał się.

Euzebiusz został "markirowczykom". Z powodu chorej nogi nie mógł być leSORUBEM, ani wozakiem. Numerował brygadam ścię-
te przez nich drzewo, lecz przy tej pracy musiał nachodzić się i namarznąć, wracał więc chory i straszliwie zmęczony.

Praca jego nie trwała długo, nadwężana ciągle noga spuchła i rozboleła go tak, że położył się na długie miesiące.

W baraku paliło się przez cały dzień, więc było ciepło. Za to w nocy można było oszaleć. Pluskwy jak wampiry, wypijały z nas resztki krwi. Byłam tak pokąsana przez nie i tak się drapałam, że wkrótce moja twarz wyglądała jak jedna wielka jęcząca się rana. Mama prowadziła mnie do "ambulatorium" Marusi, ale ona prócz szczerego współczucia niczego więcej nie miała. Smarowała mi twarz "margancorką" /rozpuszczone kryształki kali/ i uśmiechała się litościwie. Nie pomagało mi ani smarowanie, ani zażenowany uśmiech Marusi. Krosty zaogniały się, podchodziły ropą i pękały. Zalewały mi twarz i kleiły oczy. Wyglądałam jak nieboskie stworzenie /określenie jednej mieszkanki baraku/. Nikt nie mógł na mnie patrzeć bez obrzydzenia. Jedynie mama przecierała mi twarz czystymi szmatkami, tuliła, całowała i płakała gorzkimi łzami.

Widziała jak marniejemy, a ona jest bezradna wobec nędzy, brudu, głodu i pluskiew, na które nie było sposobu. Toteż tematem numer jeden były rozmowy, jak „obłaskawić” te gady. Jedni mówili, aby nie zabijać ich, bo one nie gryzą tych co je nie zabijają, inno radzili by przy szparach w ścianach i pryczach trzymać zapalone latarnie całą noc—to nie wyjdą, a inni jeszcze co innego, ale wszystkie te spekulacje nie zdawały się na nic.

Pluskwy szalały, a ja tak bardzo bałam się nocy, że pod wieczór dostawałam jakiejś trzęsionki i drgawek. Płakałam, nie spałam i innym nie dawałam zasnąć. Mama padała na twarz. W dzień mogłam pospać, bo opite krwią wampiry kryły się we mchu między belkami. Za to w dzień miejsce pluskiew zajmowały "tarakany" /karaluchy/, które wystawiały swoje odwłoki z każdej szczeliny, a było ich tyle, że wyglądały jakby nanizane na sznurku korale

rozwieszane na ścianach. Gdy tylko podnosiło się pokrywkę nad gotującą się zupą, jak grad wpadały do garnków i mimo głodu nie było się w stanie jeść takiej zupy. Brzydziłam się i bałam tego panicznie.

Wszyscy czekali na wiosnę i lato, bo wtedy będzie można spać na dworze czy strychu /Rosjanie mówili, że wiosna i lato są upalne/, bo tam nie będzie pluskiew. Nie mieliśmy pojęcia jeszcze, jaka plaga czeka nas na wiosnę.

Ludzie masowo chorowali. Moja twarz nie goiła się również. Bracia leżeli. Zaczęły wypadać mi mlecza i mama martwiła się tym, jakie będą moje stałe zęby przy tak straszliwej awitaminozie. Na dodatek złamała mi się szczoteczka do zębów, a o kupieniu nowej nie było co marzyć. Sprzedawca w ogóle nie wiedział, że coś takiego istnieje na świecie, jak szczoteczka i proszek do zębów. Przestałam zupełnie myć zęby.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Praca ponad siły

Natychmiast po rozmieszczeniu nas w barakach, dorośli musieli podjąć pracę. Panowało hasło: "Kto nie rabotajet, tot nie jet"; kto nie pracuje, ten nie je. Oczywiście było to tylko hasło i jak wszystkie hasła nic wspólnego z prawdą nie miało. Komendant nie pytał o to co kto umie. Wszyscy zdrowi - mężczyźni, kobiety i młodzież /od 16 lat/, mieli pracować w lesie.

Co sprytniejsi złapali lżejszą pracę, choć mieli to być ludzie po pięćdziesiątce, chorzy lub inwalidzi.

Niestety, nasza mama, mimo znajomości języka i bardzo słabego zdrowia została przydzielona do lasu. Była ładowaczem. Na siarczystym mrozie /tylko -35° mogło zwolnić ludzi z pracy na powietrzu/ bez spodni, bez ciepłych butów i rękawic pracowała z innymi kobietami nakładając potężne kłody syberyjskich świerków na sanie. W krótkim czasie miała naderwane i spuchnięte ręce. Bolały ją do tego stopnia, że nie potrafiła sama zapinać guzików, czy utrzymać łyżki. Od ciągłego bólu w plecach przestawała się prostować. Odmroziła sobie twarz i ręce. Kaszlała i pluła krwią. Z niedożywienia wypadały jej piękne zęby. Mając niewiele ponad czterdzieści lat, w parę miesięcy wyglądała jak staruszka.

Gienio ciągle leżał. Dziw, że go pluskwy i wszy żywcem nie zjadły. Euzebiusza ciągle bolała nadwerężona od upadku za Ostrowem, noga. Kolano puchło, a w pachwinie zrobiły się ropne, cuchnące rany.

Felczerka Marusia patrzyła bezradnie na jego cierpienie i mówiła: "Eto tubierkuloz pani Taiś". Leków nie było. Brata

męczyła gorączka. Czasami mama nie szła do pracy. Opiekowała się chorymi synami.

Euzebiusz jęczał z bólu. Tracił świadomość, a wtedy odmawiał po łacinie całą mszę /był przed wojną ministrantem/. Kiedyś gorączka opadła. On zbudził się i patrzył przytomnie na nas. Mama nachyliła się nad nim, a on powiedział, że śniły mu się dwa aniołki. One stały po jednej stronie Obilu, a po drugiej on. Zawołał do nich, żeby przeniosły go na swój brzeg, lecz one bez słowa odfrunęły bez niego. Mama obejmowała go i mówiła: "Będziesz żył synu, nie umrzesz".

Tata prawie nie widzieliśmy. Wychodził w nocy i w nocy wracał. Nie odzywał się do nas. Z jego oczu wycierała rozpacz. Często pracował po dwie zmiany w ciągu dnia, by utrzymać rodzinę. Było to ponad jego siły. Widział, że mama niknie w oczach, więc nie chciał, by pracowała. Mama zawsze była wątła i szczupła. Teraz zaś były to kości powleczone skórą.

Czasami tato kategorycznie zabraniał iść mamie do pracy, wtedy "diesiatnik" wpisywał "progół" /leserowanie/ i potrącał procent z „zarplaty” /wynagrodzenia/.

Tato mówił: "Nie martw się, wystarczy jak ja pracuję po dwie zmiany. Ty lepiej leć do Siennik i zamień coś na jaki kartofel czy cebulę. Dzieci nam giną". Nazajutrz mama zrywała się skoro świt i biegła do siennickiego kołchozu, nie bacząc na mróz czy zawieję. Pod wieczór przynosiła wiadro kartofli, garnek cebuli czy kwartę mąki. Stęsknieni i głodni rzucaliśmy się na mamę, całowaliśmy ją i płakaliśmy ze szczęścia, że wróciła i coś przyniosła. Jakaś kobieta utopiła się w roztopach, a mężczyzna zginął w lesie.

Rzadko, ale zdarzało się, że jakaś Rosjanka częstowała mamę szaligami lub pieczonymi kartoflami, ale mama ich nie jadła.

Przynosiła nam. Nigdy nie była "głodna".

Pewnego razu przyniosła mi szarobure waloneczki. Cieszyłam się nimi jak najdroższym prezentem. Wkładałam je na przemian to na ręce to na nogi, biegałam po baraku i głośno krzyczałam "Mama przyniosła mi walonetki" - z dumą i radością pokazywałam je dzieciom. Ale one zazdrościły mi i odtąd przezywały mnie "walonetki" /nie umiałam wymówić waloneczki/. Tak została popsuta moja radość. Walonki były różne: od płaskich szaro-burych po piękne czarne lub białe na ślicznym obcasie. Byłam nimi oczarowana i marzyłam, żeby mieć takie, ale nigdy nie było nas stać na nie. Mogły je nosić zamożne elegantki. Z zawiścią patrzyłam na ich nogi. Im było ciepło, a nam zawsze zimno.

Regularnie, raz w tygodniu, chodziła mama do Siennik, Wymieniała co lepsze rzeczy na żywność. W taki sposób poszły nasze kochane krakowskie serdaczki, srebrne łyżeczki, sztucce, poduszki, kołdry, pierzyny, co lepsze sukienki, palta, mamine nocne koszule /piękne, z lejącego się jedwabiu, w jednej z nich widziałam naszą nauczycielkę na zakończenie roku szkolnego/. Wymieniła mama co tylko się dało, by ratować nas przed głodową śmiercią. Zresztą był to rynek bez dna. Choć było tu potwornie zimno, wymieniła mama swoje futra, nasze paltka i - na koniec - obrączki.

Dostawaliśmy po pół kilograma chleba na dobę. Byliśmy tak głodni, że mogliśmy zjeść dwa lub trzy razy tyle.

Chleb pieczony był w formach. Była to ciężka, kleista masa. Pół kilograma to mały kawałeczek. Każde z nas chciało "całuszka", czyli pierwszą kromkę, bo była przypieczona skórka, a i jeść można było ją dłużej. Kromki środkowe połykało się natychmiast. Byłam zawsze głodna. Ja, która w domu, na widok pełnego

talerza płakałam i miałam odruch wymiotów, teraz patrzyłam sępimi oczami na kromki, które podawała nam mama i płakałam, jeżeli nie była to przylepka. Kłóciłam się o to, że ktoreś z nas dostało grubszą kromkę od mojej. Nie była to prawda. Mama zawsze dawała mi więcej jedzenia niż innym. Byłam przecież najmłodsza. Mama dzieliła swoje kromki między nas. Bez słowa wyciągałam rączkę i zjadałam maminą dolę. Bracia krzyczeli na mnie, że jestem bez serca, a mama mówiła: "Ja już jadłam". Wiedziałam, że nic mama nie jadła, ale miałam spokojne sumienie

Czasami chodziłam do stołówki, aby zjeść to, co zostawili Rosjanie, ale takich amatorów jak ja było więcej. Rodzice nie wiedzieli o tym, a tato chyba nigdy się nie dowiedział. Mama zobaczyła mnie kiedyś, gdy zjadałam resztki, jak pies i zalała się łzami. Poszłyśmy do pań Plusteckich /matka i córka były kucharkami/ i mama poprosiła, aby dawały mi coś z kotła, żebym nie zbierała z talerzy. Panie Plusteckie były bardzo dobre i miłe dla nas. Co mogły to dawały nam, ale nie było z czego. Musiały wyliczyć się z porcji. Obie panie podobały mi się, były syte, pracowały w cieple, wyglądały więc pięknie, nie tak jak kobiety pracujące na siarczystym mrozie, jak moja mama. Pani Plustecka była już po pięćdziesiątce, ale wyglądała młodziej od mojej mamy. Patrzyłam na nią i żałowałam, że tutaj nie pracuje moja mama.

Panna Plustecka była śliczna: wysoka, szczupła blondynka o pszenicznych włosach i oczach jak chabry. W Polsce była studentką. Poważna i grzeczna dla wszystkich zachowywała jednak dystans.

Nigdy nie wypędzała mnie ze stołówki, ani nie krzyczała na mnie. Co mogła wsuwała mi do rączki i kazała szybko zjeść. Memie też cichaczem nalewała więcej zupy niż się należało.

Zalocał się do niej Sienek Kęsek - syn piekarza - też Polak,

a ona, chyba z braku wyboru /mamie tak się zdawało/ tolerowała go, a może się zakochała? Mnie Gienek . się nie podobał, choć starał się być dobry dla mnie, zwłaszcza wtedy, gdy chciał żebym sobie poszła ze stołówki. Marzyło mu się pobyć sam na sam z panną Gienią. Dawał mi kolorowe karmelki /był to przydział zamiast cukru/ i grzecznie wyprowadzał za drzwi.

Dzięki pani Gieni i Gienkowi, mama dostała pracę w piekarni. O, było to zupełnie co innego niż praca w lesie. Nie musiała już stać tyle godzin na mrozie. Sprzątała piekarnię i przynosiła z rzeki wodę. Wykonywała tę robotę sumiennie i dokładnie, choć nie raz płakała nad zamrzniętym przerębem. Nigdy niczego nie wzięła. Dlatego też Kęsek cenił mamę i chwalił przed komendantem. Kęskowa dała mi sukieneczkę po swojej córeczce. Ona nie musiała wymieniać rzeczy na żywność. Ani ona ani jej dzieci nie chodziły głodne.

Ja też przychodziłam z mamą do piekarni. Siadałam na progu /była wywieszka: "Postronnim wchod wospreszczon"/ i czekałam aż mama upora się z wiadrami z wodą. Nie było łatwym przyniesienie wody pod górę w dwóch ciężkich, oblodzonych wiadrach. Brzegi były strome, mama ślizgała się, padała. Przeręb był zamrznięty, trzeba było niemałej siły aby dostać się do wody. Woda chlupała na boki, wlewała się do trzewików, mokre ręce marzły i pękały na mrozie, odmawiały posłuszeństwa. Musiała mama obracać kilka, a nawet kilkanaście razy, aby nanosić dostateczną ilość wody. Nie skarżyła się. Przeciwnie. Bała się bardzo, aby nie stracić tej "posady". Rodacy zawistnym okiem patrzyli jak to Taisowej jest "dobrze".

Oboje Kęskowie lubili, gdy byłam w piekarni. Wypytywali mnie o różne rzeczy, a ja opowiadałam im o naszym życiu, o panu Żechaku, o pszczołach, o tym, że byłam "pańskim dzieckiem", że mnie kiedyś koń pobił i... płakałam. Kęsek, żeby mnie po-

cieszyć dawał mi kawałeczek chleba lub "podpałka" /żytni placek

- "Zjedź - mówił - tylko żeby kto nie zobaczył, bo będę miał nieprzyjemności".

Tym razem nie zjadałam, tylko ścisnęłam w rączce „prezent” i czekałam na mamę, żeby się z nią podzielić. Coraz częściej zdawałam sobie sprawę, że mama jest głodna. Czasami wyprostowując się padała, tak kręciło jej się w głowie i ciemniało w oczach.

Mama przeważnie nie brała ode mnie ani kawałka placka.

- "Zjedz sama, ja nie głodna" - mówiła zawsze.

Pewnego razu, gdy tak siedziałam na progu i cichutko płakałam, przyszedł sklepowy Żeńka. Piekący się chleb tak pachniał, że nie wytrzymałam i zaczęłam płakać coraz żałośniej. Żeńka popatrzył na mnie i splunął. Z obrzydzeniem i narastającą złością klął i pluł na mnie. Zagroził Kęskowi, że jeżeli natychmiast nie wypędzi tego "parazita" /mnie/ z piekarni, to pożegna się z robotą tutaj. Krzyczał, że ja swoimi parchami zarazę cały posiołek. Wyrażał się takimi słowami i tak się rozwścieczył, że omal nie umarłam ze strachu. Nadbiegła mama. Zasłoniła mnie i starała się temu rozjuszonemu psychopacie coś wytłumaczyć, ale nie było sposobu. Wypchnął nas obie za drzwi. Długo słyszałyśmy jego ohydne wyrazy i wstrętne plucie.

Mama objęła mnie, przycisnęła do siebie. Delikatnie wycierała łzy i ślinę z mojej chorej twarzy. W baraku posadziła mnie na kufrze i roztworem kali przemywała mi twarz. Teraz to rzeczywiście mogłam dostać jakichś parchów. Obie gorzko płakałyśmy. Wieczorem poszła posprzątać piekarnię, ale Kęsek powiedział mamie, że już tutaj nie pracuje. Poszła do komendanta prosić go, żeby przywrócił ją do pracy w piekarni, ale nic nie pomogło. Siedział rozparty w krześle i ze złością mówił:

- "Wy że gramotnaja..." - pani umie czytać, a tam jest wywieszka - "obcym wstęp wzbroniony", a pani przyprowadziła chore dziecko. Niech pani się cieszy, że kary nie płaci. Stała biedna, zastraszona i przerażona, ale odważyła się i spytała: - "A Żeńka, jemu też nie wolno wchodzić, a był i pluł na podłogę".

- "Ach Żeńka" - i komendant machnął rękę. Żeńka był sklepowym, czyli wszystkimogącym...

Jego chamstwo porażało Polaków. On nie umiał mówić, on klął zawsze i wszędzie. Niestety, nauczyłam się tych słów i używałam także.

Kiedyś stałam z tatem po chleb. Była duża kolejka. Staliśmy na dworze, mżył lodowaty deszcz i zacinał wiatr, marzliśmy. Właśnie Kęsek przyniósł chleb do sklepu, a Żeńka liczył go rzucając na półki, jakby to były kartofle. Coś mówił i śmiał się pokazując żółto-czarne zęby i klął aż uszy puchły.

- "Wiesz Żeńka - mówił Kęsek - mój Gienek chce się żenić, a ja uważam, że jest za młody, co ty na to?"

Żeńka bez namysłu i najmniejszej żenady odpowiedział:

- "A ty weź jego h... i przeciągnij do dupy, jak dosięgnie, znaczy dorosły, może się żenić" - i zarechotał z własnego dowcipu.

Po incydencie w piekarni, Kęsek bał się Żeńki i starał się dla niego być miłym. Chcąc się przypochlebić też się zaśmiał. Lecz nikt z kolejki nie zawtórował im. Wszyscy - i kobiety i mężczyźni - milczeli. Zaległa cisza. Żeńka widząc, że nikt się nie śmieje wrzasnął:

- Czto nie ~~n~~rawitsa wam, polskije pany?!" - tu puścił wiązankę bez końca i ważył chleb w takim tempie, że nikt nie widział ile faktycznie pokazuje waga.

Strasznie bałam się Żeńki, więc do sklepu nie weszłam, a na zewnątrz czekałam na tata. Moja twarz nie goiła się zupełnie, a na skutek drapania czyraki roznosiły się po głowie i całym ciele. Było mi zimno, a tato ciągle nie wychodził. Myślałam sobie, że w Polsce nigdy po nic nie stałam w żadnym sklepie. Nie znałam słowa "kolejka". Tego doświadczyłam tutaj. Czasem chodziłyśmy z siostrą po coś do sklepu, ale nikt na nas nie krzyczał, nie oszukiwał...

... Szłam z mamą w Beresteczku, a Żydówki wysuwały głowy z nad lad i wołały do mamy:

- "Pani Taisowa, niech pani wejdzie i zobaczy co ja mam dla córeczki. Ach, jaka to śliczna panienczka, ona musi to mieć, ny, niech pani patrzy" - i zakładały mi piękne palteczka z pomponikami, zamiast guzików, albo prześliczne czerwone buciki, albo mufkę, albo czapeczkę z puszystym kutasikiem. Ja zażenowała i szczęśliwa okręcałam się przed lustrem. Na gest mamy mówiły: "Ny, po co płacić, pieniądze nie zajęc, do lasu nie uciekną, czy ja pani nie znam? Czy pani mnie nie zna?".

... Teraz stałam na zimnie chora i głodna, prawie bosa i nędznie odziana. Czekałam na tata, aż kupi chleb i uszczknie mi kawałeczek gdy będziemy wracać...

Ciągle chorowaliśmy. Śmierć, póki co, omijała naszą rodzinę, ale wokoło dorośli, dzieci i młodzież umierali. Zbieraliśmy się w baraku gdzie był nieboszczyk i wspólnie się modliliśmy. Dziewczęta robiły wianki z jedliny, a chłopcy krzyż z brzózek i w płaczu rodziny /i nie tylko/ niesiono sosnową trumnę na wysoki brzeg Obilu i chowano biedaka. Jedni płakali, że nigdy nie zobaczy Polski, a inni, że jego dusza już jest w Polsce. Za Polską tęskniliśmy wszyscy. Mogił było coraz więcej: dużych, małych i jeszcze mniejszych.

Z naszych znajomych umarła pani Guzikowa /Guzikowie byli osadnikami na Pleszowej/ zostawiając dwóch synów i niemowlaczka który niedawno się urodził. Jej śmierć pamiętam dokładnie. Byłam u nich w baraku. Pani Guzikowa trzymała dzieciątko na rękach i coś do kogoś mówiła i nagle wypuściła je, upadła i już nie żyła. Mówili, że był to "rozryw" serca. Pan. Guzik nosił syneczka na rękach i płakał, potem malutki też umarł.

Umarł Cwajnow /też z Pleszowej/, przystojny mądry syn - gimnazjalista. Pani Cwajnowa łamała ręce w rozpacz i mówiła: - "Chowam taki kwiat, moją radość i dumę, moją nadzieję, a kaleka żyje" /jej drugi syn/. Biedna matka w swojej bezdennej rozpaczy krzywdziła drugie dziecko, bo też była to rozpacz bez granic. Pani Jamuszowa podtrzymywała ją i mówiła: "Cicho, nie mów tak. Nie kuś losu". Umarła Wandzia Fajfrów - naszych sąsiadów z dolnej pryczy, a także sąsiadów z przed wojny. Chyba była to niedziela na przedwiośniu. Było dosyć jasno. Leżeliśmy na pryczach, gdy nagle usłyszeliśmy pukanie. Zupełnie wyraźnie ktoś pukał w okno. Może to był ptaszek, może gałazka uderzała w szybę, ale ludzie mówili, że to aniołek przyszedł po duszyczkę Wandzi. Dziecko miało zapalenie płuc. Rzęziło kilka dni i nocy i nad ranem umarło.

Na palcach można było policzyć rodziny, w których przez półtora roku nikt nie umarł. Dzięki mamie i ciężkiej pracy tata jakoś trzymaliśmy się. Praca była bardzo ciężka, a z powodu niedożywienia stawała się ponad siły. Głód i nędza siały spustoszenie wśród Polaków. Za to nie było narodzin. Jeżeli u kogoś urodziło się dziecko było ono poczęte jeszcze w Polsce. Nie zastanawiałam się nad tym, teraz wiem. Z ciężkiej pracy i niedożywienia /wręcz głodu/ kobiety nie miały okresu. Muszę powiedzieć, że zachowanie Polaków na Obilu było pełne godności.

Piękne polskie dziewczęta były głodne, oberwane lecz dumne. Zjadały ich wszy i pluskwy, ciężko pracowały, ale nie dawały się. Niektóre miały swoich chłopców, lecz była to miłość idealna.

Pamiętam i ciągle dobrze wspominam choćby pannę Gienię Plutecką. Jakaż ona była piękna i wykształcona i gdyby chciała nie musiałaby usługiwać rugającym się drwalom. Niejeden "naczałnik" gonił za nią wzrokiem, bo też była jak magnez. Jednak nigdy nikt nie powiedział na nią złego słowa, panna Plutecka była poza wszelkimi podejrzeniami.

Jedna tylko Stasia Abokończykówna nie miała dobrej sławy. Więcej złego niż było prawdy zrobiły ludzkie języki. Stasia sprzątała komendanturę. Była młoda i z temperamentem. Komendant Tropin też był młody. Często i z westchnieniem wspominał Jankę Berchertównę, ale... był młody, a Janka Bóg wie gdzie. Stasia nie była do pogardzenia. Malutka, krągłutka o dużych orzechowych oczach i bujnych ostro-rudych warkoczach wyglądała jak świeży pączek. Stasię musiało się kochać. Ona wyłącznie do tego była stworzona. W odróżnieniu od panny Gieni, Stasia była zawsze pogodna. Często się śmiała ukazując drobne, białe ząbki i śliczne dołeczki w różowych policzkach. Stasia miała 16 lat i niewiele w kształtnej główce. Ludzie obmówili ją dlatego, że jako pierwsza Polka wyszła za mąż za Rosjanina. Kiedy Tomciu Herba wzenił się z Marusią nikt niczego złego o nim nie mówił. Podśmiewali się tylko. Stasia miała wrogów. Dlaczego? Nie wiem. W ogóle Polacy na Obilu cieszyli się dobrą sławą. Nie było donosicielstwa, przypochebiania się ani służalczości. To samo dotyczyło nas, dzieci. Dzieci polskie uczyły się wspaniale. Nauczycielki /były dwie/ nie mogły się wprost nas nachwalić. Były zdumione naszą dobrą nauką. I kiedy zbliżał się i moja

czy 7 listopada, polscy uczniowie zagarniali wszystkie nagrody. Może dlatego, że były to "prianki" /herbatniki/ i cukierki, a nam ciągle chciało się jeść. Tak czy owak byliśmy pierwszymi uczniami w siennickom sielsowietie.

Nie wiedziałam o tym, że niektórzy młodzi ludzie /przeważnie byli studenci lub oficerowie/ zbierali się i naradzali nad ucieczką stąd. Zdawali sobie sprawę, że przy takim tempie umierania niedługo nie będzie na Obilu Polaków. Podobno wszystkim było przygotowane do ucieczki. Narady i spotkania odbywały się w największej tajemnicy. Znalazł się jednak ktoś, kto doniósł komendantowi o tych tajemniczych spotkaniach za cmentarzem. Jakież przerażenie ogarnęło Polaków, gdy pewnego wiosennego dnia zjawili się na koniach enkawudziści. Wchodzili do baraków i wyciągali "podejrzanych". Pamiętam płacz matek, żon i siostr. Widzę ich czołganie się koło końskich kopyt i błaganie, by nie zabierali im mężczyzn. Lecz tamci siedzieli wyprostowani w siodłach i trzymali nagany w rękach. Nawet nie spojrzeli na zrozpaczone kobiety. Sporą grupę młodych mężczyzn potaszczyli za końmi. Matki i żony biegły po gliniastym błocie i wołały drogie im imiona. Wołały też do Boga o zmiłowanie.

Zabrano wówczas sporo młodych mężczyzn, może osiem osób, może więcej. Ja pamiętam nazwiska dwóch: Majkę i Sierockiego. Wcześniej uciekł Staś Herba i przepadł, podobno został zastrzelony.

Komendant wyszedł do rozpaczających ludzi i powiedział, że wszystkich to spotka, jeżeli nie przestaną działać przeciwko władzy radzieckiej. Kazał rozejść się i poszedł. Ktoś zobaczył Stasię i krzyknął, że to ona jest donosicielką. Chciano ją ukamienować. Ktoś czymś w nią rzucił. Stasia próbowała uciec. Poślizgnęła się i upadła, a wtedy rzucono na nią zmarzniętymi grudami, błotem i czym kto miał. Stasia kłóczyła w błocie, wznosiła

siła ręce do nieba i klęła się na wszystkie świętości, że to nie ona. Lecz doprowadzone do ostateczności kobiety nie słuchały jej zaklęć. Byłyby pewnie ją zabiły, gdyby nie nasza mama. Widząc na co się zanosi krzyknęła: - "Zostawcie to dziecko, czy nie widzicie - ona jest niewinna". Wyskoczył Tropin z komendantury i strzelił w niebo. Wszyscy stanęli jak wryci. Mama podnosiła Stasię a ona całowała mamine ręce i zalewała się łzami. Wstała z kolan i poszła na komendanturę. Ktoś potem powiedział, że wyglądała jak Magdalena tylko, że była jeszcze piękniejsza. Ludzie zaczęli rozchodzić się w ciszy i spokoju. Komendant też wrócił do siebie.

Zaczęło pachnieć wiosną i Obil puściła. Ze wszystkich pagórków i wzniesień powoli spływał śnieg z lodem do rzeki. Obil stawała się wielką, groźną i brzydka. Strach mnie ogarniał, kiedy patrzyłam na jej żółte, spienione wody. Mężczyzn zabrano z lasu. Teraz spławiali drzewo duże bale. Jak wróble przeska-kiwali z bali na balę i długimi bagrami /harpunami/ popychali piętrzące się kłody. Tato też spławiał drzewo. Widziałam jak mężczyźni wpadali do lodowatej wody, przygniatały ich kłody, a inni spieszyli im na ratunek. Wydobyci z wody często dalej pracowali, nie "czuli" zimna, ale były to tylko pozory. Taka "kąpiel" robiła swoje. Taką kąpiel przeszedł Bolek Lis /nasz sąsiad z baraku, młody, delikatny chłopiec/. W nocy wywiązało się zapalenie płuc, potem dostał gruźlicy. W siedem tygodni nie było już Bolka. Wszyscy z baraku płakali za nim. Był to wyjątkowo miły i dobrze ułożony chłopiec. Lisowie wszyscy byli grzeczni i kulturalni. Starszy brat Bolka umarł w parę miesięcy po nim. Podobno nerki mu się oberwały. Piszę tak, jak tam wtedy mówiono, nie wiem czy to jest możliwe - tam było to możliwe. Rzucano nim tak strasznie, że trzęsły się wszystkie prycze

a nieszczęśliwy miał całkiem poraniony język. Pani Lisowa trzymała na kolanach ciała to jednego, to drugiego syna i z bezdenną rozpaczą, suchymi oczami patrzyła im w martwe twarze. To była Pieta. Zostali jej jeszcze Bronka i Mietek.

Prawdziwa wiosna długo nie przychodziła, ale gdy tylko się pojawiła opanowała i zmieniała tajgę nie do poznania. Jeszcze leżał śnieg, a czeremcha już rozsiewała dokoła swoją niepowtarzalną woń. Najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniejsze "zadomowiały" się ptaki. Można było chodzić do lasu po zeszłoroczną żurawinę i grzyby. Chodziliśmy do lasu, bo prócz żurawin pojawiły się grzyby. Ludzie mówili, że to są smardze. Mnie one przypominały purchawki. Zbieraliśmy te grzyby, gotowali, jedli i strasznie chorowali. Mama zabroniła nam zbierać je. Kiedyś poszłam do lasu z grupką dzieci i z Marynią. Była to bardzo wczesna wiosna. Gdzieś leżał śnieg, ale już pachniało wiosną. Zbieraliśmy żurawiny i "smardze". Nie wiem kiedy odłączyłam się od dzieci. Nagle zobaczyłam, że jestem sama. Zaczęłam wołać, oglądać się, biegałam w kółko i krzyczałam, ale nikt nie odpowiadał. Przeraziłam się. Tajga była straszna i groźna w swej potędze. Jak oszalała biegłam przed siebie. Nie myślałam absolutnie dokąd biegnę i co będzie ze mną, jeżeli nie znajdę posiołka. Przerazały mnie powyrywane z korzeniami potężne świerki, w ich wyrwach gnieździły się niedźwiedzie, wtedy o tym nie wiedziałam. Drogę zastąpiło mi jakieś gliniane jezioro bez dna. Skręciłam byle gdzie i dalej biegłam płacząc w niebogłosość. Potężne drzewa szumiały strasznie i groźnie. Myślałam o mamie, bałam się, że oni wyjechali do Polski, a mnie na pewno zjedzą niedźwiedzie czy wilki. Byłam u kresu sił, cała mokra od kałuż, śniegu i łez. Upadłam, a kubeczek potoczył się gdzieś dalej. Wzrost go nie szukałam. Widziałam, że zapada

już zmierzch. Myślałam tylko o mamie, głośno ją wołałam. Nagle usłyszałam stęknienie. Przystanęłam, spojrzałam w stronę skąd dochodziło mnie sapanie i zdrętwiałam. Wyraźnie zobaczyłam jakby ziewającego niedźwiedzia. Nie przysięgnę teraz, że był to istotnie niedźwiedź, ale wtedy widziałam wyraźnie w wertepie jego paszczę. Rzuciłam się do ucieczki na oślep. Nie wiem skąd wzięłam nowe siły, ale biegłam i biegłam. Znow na drodze stanęła mi brązowa woda, znow skręciłam i biegłam dalej. Potknęłam się, czy poślizgnęłam i upadłam. Nie miałam siły wstać, a z kolana lała się krew. Usiadłam na mokrym mchu i obejmowałam rozbitą nogę. Niedźwiedzia nie było. Nie wiem czy w istocie był to miś, ale jeżeli nawet był, to chyba uznał, że za takimi małymi kosteczkami nie warto biec.

Wstałam i pokuśtykałam dalej. Widziałam, że robi się ciemno, a ja jestem sama, zagubiona, głodna i obolała w straszliwej tajdze. Byłam całkiem zrezygnowana. Szłam przed siebie byle iść.

Po jakimś czasie zobaczyłam baraki, a na jednym z nich wisiała flaga. Napotkaną kobietę zapytałam, co to za posiołek. Odpowiedziała, że Obil. Znow zaczęłam płakać. Ona podeszła do mnie i spytała:

- "A ty czyja jesteś?" - była to Rosjanka.

- "Ja biegnę do mamy, zgubiłam się w lesie". - powiedziałam i pobiegłam. Nigdy w tej stronie posiołka nie byłam jeszcze, więc nie poznałam Obila, Poszliśmy na jagody w zupełnie innym kierunku za cmentarz, a wróciłam z przeciwnego. Nie wiem jak wielki zrobiłam krąg. Krzyczałam ze wszystkich sił "mamo" i biegłam do naszego baraku. Nagle ktoś odwrócił się daleko pod cmentarnym wzgórkim i stanął. Byli to mama i Emil. Poznałam, a raczej wyczułam, że to oni. Mama miała ciepłą chustkę na ręk

i zawiniątko z chlebem. Szli szukać mnie tam dokąd udaliśmy się rano. Usłyszeli moje wołanie. Emil biegł do mnie, a mama stała. Chwycił mnie i przyniósł do mamy. Spojrzałam i nie poznałam mamy, miała całkowicie spuchniętą od płaczu twarz. Trafiałam na posiołek jakimś cudem inaczej nigdy by mnie nie znaleźli. Nie przyszłoby im do głowy szukać mnie w zupełnie innym kierunku niż tam, gdzie wskazywała Marysia. Tato nie wrócił ze spławu. Euzebiusz i Gienio byli chorzy, a Marysia leżała na pryczy, gdyż wróciła przemoczona i trzeba było wysuszyć jej jedyne ubranie. W lesie, gdy tylko spostrzegła, że nie ma mnie razem z dziećmi, wołała i szukała, robili to wszyscy, ale bez skutku. Szybko wrócili na Obil, odnaleźli mamę na birży i powiedzieli co się stało. Mama zostawiła pracę, a że Emil wrócił już z lasu, wzięła go i szli mnie szukać. Wtedy ich zauważyłam i zawołałam. Mama przeraziła się śmiertelnie, bo już kilka osób nie wróciło z tajgi i nikt ich nigdy nie widział.

Wieczorem okazało się, że tato jest ciężko chory. Był naderwany. Przy spławie drzew nadwyczerzył się jeszcze bardziej, i tak go bolał brzuch, że ledwo dowlóknął się do baraku. Podwiązywał się pasami, które sam sobie robił z uprzęży, ale niewiele to pomagało. Przepuklina stawała się niebezpieczna. Marysia wypisała mu skierowanie do Siennik do bolnicy /szpitala/, ale poleżał dwa dni w domu i poszedł znów do roboty. Na wiosnę zabrano kobiety z birży na sianokosy. Jak bardzo przedtem czekaliśmy na wiosnę tak teraz znienawidziliśmy ją. Wraz z promieniami słońca pojawiły się komary. Oczywiście łąki były pełne kwiatów-olbrzymów, a las ptaków, ale na te uroki wiosny nikt nie zwracał uwagi. Plagi komarów można było jakoś znieść. One gryzły tylko wieczorem, moszki natomiast na okrągło. "ba-

raku od duchoty i pluskiew nie można było spać, a na strychu meszki wyjadały oczy, włożyły do ust i nosa. Było to jakieś przekleństwo. Od tej plagi nie było sposobu się obronić. Moskitiery...? Rosjanie nie wiedzieli nawet co to w ogóle jest! Wszyscy drapali się, rozdrapywali ukąszenia, które zamieniały się w rany. Nie było żadnych leków! Nieszczęsna Marusia smarowała "margancówką" wszystko, co kogo bolało, niczego więcej nie miała. Z nędzy i niedożywienia, z ciężkiej, ponad siły pracy, dorośli /potem dzieci też/ dostawali kurzej ślepoty. W naszej rodzinie, prócz mnie, wszyscy byli na to chorzy. Na polecenie Marusi komendant wypisywał wątrobę /miała leczyć kurzą ślepotę/, ale skąd ją miano brać?

Kiedys starosta naszego baraku wrócił od komendanta i powiedział do taty, że ma się zaraz stawić w komendanturze.

Był wieczór, tato nic nie widział, zresztą leżał już na pryczy po ciężkim dniu. Starosta nalegał. Tato ubrał się i powiedział do Marysi: "Zaprowadź mnie tam córeczko". Marysia wzięła go za rękę i poprowadziła jak ślepcę. Sama też zaczynała dostawać kurzej ślepoty. Poszłam z nimi i ja. Komendant był zły, wrzasnął więc na tata:

- "Dlaczego nie posyłasz dzieci do szkoły?"

Tato nie miał pojęcia, że nie chodzimy do szkoły. Nie mieliśmy w czym. Powiedział do komendanta, że jemu to nie w głowie, że myśli o tym, iż wszyscy jesteśmy chorzy, że dwaj starsi synowie od tygodni nie wstają, a on chciałby wszystkie dzieci dowieść do Polski, a w ogóle to razem świń nie paśli i tato dla niego "pan" i byle "co" nie będzie na niego głosu podnosić.

- Snitsia, tybie twoja gniłaje Polska, znaju ja was izmieszczykow /zdrajców/. Uwidzisz ty jejo kak swojo ucho.

Ponad wszystko tato kochał Polskę. Słowa komendanta śmiertelnie zraniły jego uczucia. Poderwał się, przez biurko chwycił komendanta za klapy i rzucił nim o ścianę /mimo głodu i wycieńczenia był bardzo silny/. Wtedy komendant złapał nagan i wycelował w tata. Narobiłyśmy krzyku. Wbiegła Stasia, krzyknęła "broś, broś" i stanęła między tatem a komendantem.

- "Panie Tais, niech się pan uspokoi" - błagała tata. Bez oporu poszedł tato do aresztu /sąsiedni zakratowany pokój/, a my z płaczem do mamy. Następnego dnia tato wrócił do baraku. Nie wiem czy to nie Stasi zasługa, ale NKWD nie przyjechało.

Głód dokuczał bardziej i bardziej. Nie miała już mama co wymieniać na żywność. Wycieńczenie, gruźlica i szkorbut dziesiątkowały całe rodziny. Niemal stałym gościem była śmierć. Założony na wysokim brzegu cmentarz rozrastał się coraz głębiej w tajgę. Ludzie, jak się wówczas mówiło, padali jak muchy.

Mama dowiedziała się, że Łukijka /kołchoźnica w Siennikach/ potrzebuje niańki. Poszłam więc niańczyć jej panieńskie dziecko. Kołysałam je i płakałam za mamą. Wcale nie byłam mniej głodna niż u mamy. Łukijka wydzielala mi porcje. Mieszkała z ojcem /wydawał mi się starcem, a miał podobno 44 lata/ i niewiele starszym ode mnie debilnym bratem. Ojciec i syn nie odzywali się do mnie. Było mi smutno i strasznie. Najbardziej bałam się kiedy Łukijka z ojcem kłócili się. Obrzucali się takimi wyzwiskami, że ja żegnałam się przerażona. Głęboko zapadały mi te słowa w pamięć. Jakby mało było tych plugastw, Łukijka wypinała goły tyłek na ojca i kazała się właśnie tam całować. Ojciec nie pozostawał dłużny, rozpinał rozporek, wkładał rękę i mówił: "na poşosi da tri goda nie prosi".

Dziecko darło się jakby obdzierane ze skóry, ja płakałam, a brat, czy syn /jak kto woli/ zaśmiewał się, śliniąc się

obrzydliwie. Bili się i wyzywali niemal codziennie. W noc ojciec zląził z pieca, załatwiał się do wiadra w kącie izby i laził na połati do córki. Nie krępowali się mnie zupełnie. Słyszałam jak Łukijka mówiła: "Ty stary diable, znów mi zmachasz bajstruka" i gzili się aż połati trzeszczały. Ja miałam miejsce na ławce pod ikonami. Tu spałam, aby mieć dziecko w zasięgu ręki, gdy będzie płakać. Miałam już dosyć tego życia.

Rankiem, poczekałam aż Łukijka poszła do pracy, cichutko wyszłam, zamknęłam drzwi na miotłę i z płaczem biegłam 12 kilometrów z powrotem do mamy. Nie zastanawiałam się co stanie się z dzieckiem. Sama byłam straszliwie doświadczonym dzieckiem. Takich scen nigdy nie słyszałam, ani nie widziałam u nas na posiołku czy w baraku. Tato wziął mnie na kolana, rozcierał przemoczone nogi i milczał. Tylko powiedział do mamy, że w mamie odżywa się krew jej babki, chłopki pańszczyźnianej, z którą ożenił się szlachcic, ale ona wciąż miała duszę niewolnicy i to przeszło na mamę. Mama zapłakała i odpowiedziała, że wolała oddać mnie w niańki niż żebym zebrała. Zresztą nie doszłoby do tego, gdyby nie następujący incydent, który się wydarzył.

Tato jadł śniadanie, jakąś straszną czarną polewkę ze stołówki, a ja siedziałam i patrzyłam jak tato podnosi łyżkę do ust. Tato połykał zupę, a ja ślinę. Nagle rozplakałam się. Tato spytał: "Czemu płaczesz?" a mama odpowiedziała ze złością: "Bo głodna". Tato odłożył łyżkę, pochylił głowę na ręce i płakał.

Jakoś w niedługim czasie mama znalazła mi to miejsce u Łukijki. Nie zdawała sobie sprawy, że to takie straszne bagno. Ikona wisiała w kącie nad stołem - był tylko ojciec i mały syn, myślała, że to normalna rodzina.

Tymczasem kobiety poszły na cały tydzień z domu kosić

łaki. Mama też musiała iść z nimi. Nie umiała kosić, meszki i komary wyjadały oczy, a „diesiatnik” krzyczał i popędzał. Nawet w pańszczyźnie nie odnoszono się do ludzi tak jak tam. Od ukąszeń meszek robiły się krwawe rany. Nogi mamie puchły jak kłody, głowa bolała, miała zawroty i omdlenia, ale musiała kosić. Wiosna i lato są krótkie, więc trzeba się spieszyć z zebraniem siana. Nic nikogo nie obchodziło to czy ktoś może pracować, czy nie. Trzeba było i koniec.

Zostaliśmy sami i zrobiło nam się bardzo smutno i bardzo źle. Nie mogliśmy się doczekać, żeby mama wróciła, żeby już była sobota, choć był to dopiero poniedziałek, czy wtorek. Marzyliśmy, że jak wróci mama zaraz coś dobrego ugotuje, może upiecze. Po tygodniu wracała, a nam trudno było ją poznać. Oczy, nos i usta były spuchnięte. Usta i nos duże, a oczu nie było prawie widać. Nie było co jeść. Mama zabierała nas i razem szliśmy do lasu na poziomki lub jagody. Chcąc nasze myśli odsunąć od jedzenia opowiadała nam o sobie. Może to wydać się dziwne, ale najwięcej opowiadała o pierwszej wojnie światowej, Była jak Dasza z „Drogi przez mękę” A. Tołstoja - młoda i piękna i z głową w chmurach.

Była wtedy młodziutka, a we dworku mieścił się austriacki sztab dowodzenia. Pomimo, że zajęto im dom i bitwy były tuż tuż, mama wspominała to wszystko z wielkim rozrzewnieniem. Oficerowie byli wybitnie grzeczni i kulturalni. W niedzielę razem jeździli na mszę do Beresteczka, a wtedy oni podawali mamie święconą wodę i razem słuchali mszy. Wszyscy ją adorowali. Była zachwycająca. Gdzież te czasy, gdzież te lata - myślała głośno mama. Czasami śpiewała nam piosenki z tamtych lat. Szkoda, że się ich nie nauczyłam.

Albo żniwa u nas w naszym majątku. Tato zaprzęgał konie do drabiniastego wozu i jechał do Beresteczka po żeńców. Tam na rynku z sierpem na ramieniu stała przodownica Bernacka z zastępem dobranych żniwiarek i czekała na tata. Nigdy nie przekupił jej ani połowy od łasina /hrabia/, ani od dziedzica Sokołowskiego. Ona czekała na pana Taisa. Nie ma co się dziwić, u nas zarabiała 16 kg zboża na dzień. Łatwo policzyć ile zarabiały kobiety za okres żniw. Z robotą nie marudziły. Zboże musiało być zebrane do Matki Boskiej Zielnej, oczywiście u dobrego gospodarza, a tata takim był. Każdego wieczoru tato odwoził kobiety do domu, a następnego dnia znów przywoził. Wieczorem dawał im miodu do domu i po wiadrze wiśni. Ani u hrabiego, ani u dziedzica tak nie miały.

Na 15 sierpnia żniwa /przeważnie/ były skończone. Wtedy owijały tata w wieniec zbożowy i śpiewały piosenki chodząc w korowodzie. Bardzo lubiłam to święto. Życzyły zdrowia i szczęśliwego spotkania w roku przyszłym...

Wieczorem wróciliśmy do obskórnego baraku. Kłódki na kufrze nie było. Chleba w kufrze też...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

"Czyżby odwilż"

Po długiej, ciężkiej zimie, wiosna w tajdze zjawia się od razu.

Biały śnieg zmienia się w żółte, gliniaste bajora i błoto, wolna od lodów przyroda nadrabia stracony czas. Powietrze staje się przesycone zapachem czeremchy, kwiatów i wszelkiego zieleń. Roślinność wyrasta ogromna i wybujała. Las pełen ptaków. Może byłby to piękny czas, gdyby nie całkowity brak jakichkolwiek warunków do życia. Z mokradeł i bagien wylęgają się chmary żarłocznych meszek i komarów.

Komu chciało się zachwycać przyrodą i węchać kwiaty, gdy głód skręcał kiszki i brakło najniezbędniejszych środków do istnienia, a meszki i komary wyjadały oczy, nozdrza i wżerały się w ciało. Ludzie wyglądali jak cienie, osłabieni, chorzy, brudni i obdarci. Nie było nawet tej śmierdzącej, mydlanej mazi jaką jeszcze kilka miesięcy temu kazała nam się myć Rosjanka od "higieny".

Rzeczy przywiezione z Polski „poszły” do Siennik za bylejaki kartofel lub cebulę. Te co zostały nie było czym pocerować ani połatać. Pogubiły się i połamaly igły, skończyły się nici, a tutaj nie było tego w ogóle.

Zrozumiałam znaczenie słowa "przednówek", choć dla nas "przednówek" trwał okrągły rok. Posiołek zamienił się w mętno-rude jeziora. Ludzie i konie grzęźli w błocie. Nie można było stąpnąć, by nie wybrudzić nóg po kolana.

Emil wracał z pracy niepodobny do człowieka. Błoto kapało z niego. Mama pomagała zdjąć mu lepiące się waciaki i mówiła: "Synku, jak ty wyglądasz, znów koń wywrócił tielegę?"

- "Znów" - odpowiadał nasz mały zgarbiony braciszek, od łez łamiącym się głosem. Brudnymi dłońmi zakrywał twarz i płakał.

Nie było ani gdzie prać, ani gdzie suszyć zabłoconej odzieży. Jedyne piec w baraku, na noc oblepiony był brudnymi i ciężkimi od wody kufajkami i waciakami. Rano trzeba było wkładać wilgotną odzież i iść do roboty. Ludzie przeziębiali się, chorowali i umierali.

Na dzieci także czyhało wiosną więcej niebezpieczeństw. Dzieci same szły do lasu, szukały żurawin, grzybów, bo głód wypędzał je z baraków. Znalezione grzyby piekły na płycie i jadły. Zanim ktokolwiek wracał z pracy, wiły się w konwulsjach i nie było ratunku.

Nasza mama kategorycznie zabroniła nam jeść te grzyby. Jedliśmy więc żurawiny, lebiodę, szczaw i dziki szczypiorek. Można było nazbierać tego ile kto mógł zjeść, ale człowiek nie krowa, samą trawą nie może żyć. Mimo wszystko tym zielonym "witaminom" zawdzięczam to, że moje nowe zęby wyrosły zdrowe, białe i równe.

W lecie trochę się polepszało. Tajga wynagradzała srogą zimę i głodną wiosną. Dawała z siebie ile mogła. Leśnym owocom nie było końca.

Pierwsze pojawiały się poziomki, łany poziomek. Brzegi obilnie czerwieniły się od nich; potem były borówki /czarne jagody/, maliny /w których częstym gościem bywał niedźwiedź/ - duże, soczyste, a obfitość ich była nieprzebrana; dalej, niebieskiego koloru tzw. "gołubika" - jagoda podobna do bórówki, nieco większa i twardsza. Pod koniec lata brusznice i "mencorka" z liści

jak u maliny, rosnąca na trzęsawiskach i bagnach o żółtych, bardzo słodkich owocach. Do wczesnych mrozów zbierało się żurawinę. Nie zebraną można było także zrywać wiosną. Las "przepełniony" był grzybami. Grzyby obrzydły mi tak bardzo, że jem je wyłącznie w uszkach na wigilię Bożego Narodzenia.

Do lasu na jagody chodziliśmy całą rodziną. Mama brała chleb do koszyczka i szła z nami. Nauczona smutnym doświadczeniem nie zostawiała już chleba w baraku. Nasze bańki po miodzie szybko napełniały się jagodami. Siadaliśmy na słonecznej polanie, mama dzieliła między nas chleb i jedliśmy go z jagodami. Brak cukru uniemożliwiał zrobienie zapasów na zimę. "Lesoruby" /Rosjanie/ uczyli tata jak konserwować brusznicę i żurawiny bez cukru, ale były one zbyt kwaśne, aby można je jeść.

Na szczęście tato nie był taki smutny jak w zimie. Siadał między mną a Marysią, głaskał nas po główkach i opowiadał o sobie, o legionach, o spotkaniach z Komendantem, a przede wszystkim o Wołyniu. Kochał Wołyń, jakby to była jego rodzinna ziemia. Tam był cenionym i szanowanym gospodarzem, własną pracą, umysłem i energią z danej mu działki stworzył dla nas dobrobyt.

Zamyślał się, po czym mówił co należałoby już zmienić, udoskonalić, dokupić. Wzdychał, że o tej porze roku matka-samożwańczyni podkrada pszczoły i odlatuje z rojem. O pszczołach myślał i mówił do końca...

Znów się zamyślił. Po chwili powiedział: "Szkoda, że zrzekłem się swojej ojcowizny w górach, dzieci zostaną bez ziemi. Na Wołyń już nie wrócimy".

Mama pochyliła się i płakała.

W barakach trochę się rozluźniło. Ci, co budowali, pierwsi dostali nowe izby wyłącznie dla swojej rodziny. Bardzo zazdrościłam im, że byli sami. My ciągle dzieliliśmy barak z wieloma

rodzinami. Co pewien czas przenoszono nas z baraku do baraku, aby przeprowadzać desynsekcję, ale na pluskwy nie było rady. Jakiś Sybirak powiedział, że pluskwa wytrzymuje $+100^{\circ}\text{C}$ i -100°C i może 20 lat przewegetować i będzie żyć!

Na Obil zaczęły przychodzić listy z Polski. Ludzie pisali do krewnych i otrzymywali listy i paczki. My też pisaliśmy do dziadunia o swojej nędzy, o głodzie i chorobach, ale długo nie było żadnej odpowiedzi, ani paczki. Było nam bardzo smutno i ciężko, że nic nie otrzymujemy. Myślałam sobie, że dawniej tacy dobrzy dla nas dziadunio i babunia, zapomnieli o nas zbyt szybko. Wiedziałam jak bardzo dziadunio cenił i szanował naszego tata. Był z niego dumny, gdyż mama nasza, choć najpóźniej wyszła za męża, miała najlepiej ze swoich sióstr. Tato, jako jedyny zięć, nie upominał się o maminy posag. Do dziadunia mówił: "Pieniądzy mi nie trzeba, a ziemia Stefuni niech będzie, bo ziemia jest zawsze potrzebna". Mógł więc dziadunio uprawiać mamina część, bez płacenia tacie.

- "Wasz tato, to pan" - z dumą mówił dziadunio do nas -
"Dobrze wydałem córkę" - zapominał, że to nie on a mama sama wydała się za tata.

Ciągle nie było dla nas żadnego znaku z Polski. Ze spuszczoneymi głowami i pustymi rękami wracaliśmy od listonosza do baraku. Skarżyliśmy się mamie, że dziaduniowie zapomnieli o nas, że już nas nie kochają i nie myślą o tym, że jesteśmy tak bardzo głodni, oberwani i chorzy. Mama pocieszała nas jak mogła i mówiła: "Zobaczycie, że pewnego dnia my też dostaniemy dużą paczkę i długi list".

Faktycznie, na wiosnę 1941 roku dostaliśmy paczkę! Nie potrafię opisać naszej radości.

Enil wziął ostrożnie paczkę z rąk listonosza i niósł ją

przed sobą na wyciągniętych rękach. Marysia i ja chciałyśmy chociaż ją dotknąć. Bez słowa usiedliśmy dookoła mamy i patrzyliśmy, jak mama rozpakowuje ten skarb. Była to istotnie duża paczka. Przysłali dziaduniowie mąkę, cukier, słoninę, jakieś kiełbaski i chustkę na głowę dla mamy. Mama pisała - że nieosiągnięta przed słońcem głowa bardzo mamę boli. Głowa bolała mamę często jeszcze przed wojną. Było lekarstwo - jodoform dla Euzebiusza i dla mnie na czyraki i oczywiście był list napisany przez dziadunia.

Z listu dowiedzieliśmy się, że dziaduniowie nic już prawie nie mają, że żyją pod strachem i grozą śmierci. Ukraińcy rozgrabili ich cały majątek a im kazali zabierać się ze dworku, bo jeżeli nie to sami ich wyrzucą. Dziaduniowie zostali sami we dwójkę, bo wujka Mikołaja /najmłodszego brata mamy/ wraz z wujenką i córką cioci Anastazji, Felą /ciocia już nie żyła/, wywieźli Niemcy na roboty. Wujek Boles² został aresztowany i nie wiadomo co dalej się z nim stało. Oni są teraz sami w dużym dworze otoczeni wrogimi Ukraińcami, Niemcami i Rosjanami.

Mama tak strasznie płakała, że nie mogła czytać. Euzebiusz wziął list od mamy i wolno czytał. Usłyszeliśmy, że nasze domy /stary i nowy/ zrównane zostały z ziemią, stodoła, obory i zabudowania rozwalone i wywiezione. Pełna trupów studnia zawałona kamieniami; sad wycięty w pień, cały inwentarz roztaszczoney, lipowa aleja podzieliła los sadu. Nic a nic nie zostało z naszego pięknego majątku.

Dokonało się to "morderstwo" na naszym gdzieś jeszcze wówczas, gdy trzymano nas pod konwojem w Tysłuchowie i Zdołbuzowie. Byliśmy zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od domu. Wszystko, co z takim trudem budowali rodzice przez 17 lat wspólnego życia, rozsypało się i przepadło w ciągu paru dni,

jak po trzęsieniu ziemi. O tym wszystkim opowiedział dziadunom Lupa - Ukrainiec - dzierżawca majątku naszego sąsiada Kossowskiego, który potajemnie odwiedził ich nocą.

Obie z Marysią płakałyśmy za jabłonką rosnącą tak blisko naszego pokoiku, że mogłyśmy zrywać soczyste jabłuszka wyciągając ręce przez okno. Gałązki "wchodziły" do pokoju.

Dom nasz budowany był bardzo mądrze. Były dwa wejścia, jedno "paradne" od wiśniowego sadu, a drugie kuchenne od podwórka. Z dwóch stron otaczały dom sady wiśniowo-morelowy i jabłkowy. Na wiosnę, w otoczeniu kwitnącego sadu, dom wyglądał jak zaczarowany. Tato kochał swoje drzewa. Podczas budowy nie pozwolił ściąć dwóch lip rosnących niedaleko jedna od drugiej. Kazał wkomponować w nie ganek. Majster krzywił się i kręcił nosem, ale majstrów było dużo, a domów budowało się niewiele. Mógł tato tak kazać budować, jak sobie wymarzył. Żadnego drzewa nie pozwolił wyciąć, nawet z sadu, toteż jabłonie i wiśnie nachylały się do okien.

Tato miał wielkie poczucie estetyki. Był zamiłowanym ogrodnikiem i sadownikiem. Zwoził sadzonki rzadkich drzew, krzewów ozdobnych i kwiatów. Sam je sadził i doglądał. Tatowe klomby słynęły w okolicy. Przyjeżdżał podziwiać je pan prof. Żechok. Chodził, oglądał, cmokał i odjeżdżał z nową szczepionką czy sadzonką.

A teraz niczego nie ma z tego, co było "zawsze". Przeleciał cyklon i zdmuchnął wszystko z ziemi, zostały zgliszcza i popiół.

Euzebiusz czytał, a mama płakała coraz bardziej. Żałowała, że oszczędzała, że nie kupiła sobie tego, na co miała ochotę, że nie jeździła tam, gdzie chciała być, że życie uciekło itd.

Tato siedział smutny lecz starał się mamę pocieszyć, próbował nawet wprowadzić trochę humoru, bo przypominał mamie, że

różnie bywało z tym kupowaniem. Mama lubiła ubierać się ładnie i ilekroć wyjeżdżała do Dubna czy Łucka, zawsze coś ładnego sobie wypatrzyła i przywiozła. W domu okazywało się, że to nie to co miało być. Tam w pięknie oświetlonym salonie wyglądało inaczej. Mama ubrana w piękną suknię czy kostium oglądała się w kryształowym lustrze i... kazała pakować. W domu przymierzała jeszcze raz i już nie była zachwycona. Spódnica mogłaby być dłuższa, a żakiet za luźny w pasie, et, niepotrzebnie straciła pieniądze. Niezadowolona wieszala nabytek do szafy i czekała sposobności komu by gą wcisnąć.

Za nabywcą, a raczej nabywczynią rozglądała się w kościele. Ze swojej ławki, ukradkiem lustrowała sąsiadki i myślała: "choć by za pół ceny wypchnąć to z domu, szkoda, że nie kupiła tego szafirowego kostiumu, był ładniejszy i elegantszy, a może by Borkowej wetknąć ten, ona jest tęższa i niższa, na nią będzie w sam raz". Łapała się na tym, że zamiast się modlić "handluje" - zasłaniała ręką usta, bo ogarniał ją śmiech.

... Teraz płakała, bo wszystko minęło, wszystko przepadło i nie odrobi się tego nawet jakby już wracali do domu, ale czy wrócą?...W Polsce zostały 17 lat pracy i wyrzeczeń.

Ile razy wyrzucała tatowi, że wyjeżdżał na spotkania z Marszałkiem i legionistami, tracąc na to furę pieniędzy. Niech by stracił nawet wszystko, przecież to co mieli zawdzięczał wyłącznie Marszałkowi, nie ojcu, nie rodzinie, a właśnie Jemu, Komentantowi, co potrafił docenić oddanych mu żołnierzy. A teraz nie ma do czego wracać, wszystko obrócone w perzynę. Tam szaleje terror i pożogi, a tutaj głód, choroby, wszy i pluskwy, komary i meszki wyżerające oczy i ciało do kości.

Tato pocieszał mamę, że gdy tylko wrócą weźmie się ze zdwojoną energią do pracy i wszystko raz dwa odbudują i odrobią.

"Jak i za co" - pytała mama, nie była pocieszona. - "Jesteśmy schorowani, słabi, a młodość uciekła. Jesteśmy bezsilni jak liście na wietrze, czyś ty widział, żeby raz zerwany liść wrócił na to samo drzewo? Wiatr kołuje i miota nim tak długo, aż upadnie i zginie zdeptany, z dala od swego pnia. Tak będzie z nami. Co my zrobimy bez pomocy i pieniędzy z chorymi synami? Euzebiusz będzie kaleką, Gienio dzieckiem, a Emil jeszcze nie wyrósł, a już zgarbaciał od pracy ponad jego siły. Jakie życie nas czeka? Co damy naszym córkom? Tobie potrzebne operacja i odpoczynek. Czarno i smutno za nami i przed nami".

Na swoje dziecięce lata, Emil pracował najciężej. Ciągle zwoził drzewo, lecz nie radził sobie ze złośliwymi szkapami. Ładował olbrzymie bale sosen na sanki czy tielegę i kiedy już była pełna, i należało tylko umocować powróżami drzewa, konie z nienacka ostro szarpały tielegę i cała ciężka praca chłopca momentalnie znajdowała się w błocie. "Zadowolone" bydlęta uciekały kilkanaście metrów i stawały. One wiedziały, że nie prędko pociągną ciężar, także ponad ich siły. Emil płakał, bił je, starał się cofnąć wóz do zwalonego drzewa, lecz na próżno. Konie również ratowały się przed zagładą. Musiał biedny chłopczyzna brnąć po pas w śniegu czy błocie i zrywać swoje wążki ramiona potężnymi kłodami. Ileż on się napłakał, ile namęczył, a „brygadir” zapisywał „progół” i nic go nie obchodziło, że dziecko nie radzi sobie z końmi. Chciał pracować, niech pracuje "Moskwa slezam nie wierit".

Więcej paczek nie dostaliśmy.

W Polsce dowiedzieliśmy się, że wkrótce po tym liście dziadunio wie zmuszeni byli uciekać z majątku. Dziadunio zachorował na zapalenie płuc. Ktoś z Ukraińców uprzedził, że mają ich zabić w nocy, żeby uciekali. Zwlólk się dziadunio z

pościeli i poszli oboje pod osłoną nocy z Białego Ługu na Janówkę do dalszej rodziny. Babunia przypomniała sobie, że Bobuś - podhalański olbrzym, został na uwięzi, wróciła i spuściła psa. W tym momencie zaskoczyli ją Ukraińcy i zamordowali, pozostawiając ciało na podwórzu. Dwa dni leżała nie pogrzebana, i tylko rozpaczliwe wycie psa zwiastowało tragedię. Potem, czyjeś litościwe ręce pochowały babunię w majątku pod lasem. Dziadunio niedoczekawszy się babuni, umarł w parę dni później.

Babunię zabili ci, których znała i wspomagała, karmiła, nosiła upominki, gdy się żenili, modliła, gdy umierali. Razem z nimi przeżywała ich radości i smutki. Chodziła do ich kurnych chat z dobrym słowem, lekarstwami i wsparciem. Wycierała nosy i leczyła kaprawe oczy u dzieci i starców, uczyła czystości, parzyła ziółka. Gdy zmęczeni wracali z pola wносиła im na drogę swoje przepyszne "pampuszki", hładyszke śmietany. Pozwalała rwać owoce w swoim sadzie, wspierała na przednówku. Ci ludzie zamordowali ją i ciało zostawili na poniewierkę.

Zamordowani zostali ciocia Marcesia i jej mąż. Ciocię i wujka zamordował mleczny syn cioci. Wykarmiła go własną piersią, bo jego ukraińska matka zachorowała i straciła pokarm, gdy się urodził, dziecku groziła śmierć. Ciocia miała małego Witka, więc karmiła obu. Reszta rodziny rozbiegła się po Polsce lub została wywieziona do Niemiec.

Po płaczu i wspomnieniach mama uspokoiła się, była jednak zrezygnowana i apatyczna. Tato znów zamknął się w sobie. Na wszystko był obojętny. Bezsilność odbierała mu chęć do życia. Chodził do roboty do lasu, brzuch go bolał coraz częściej i coraz dłużej, męczyła gorączka, a on pracował i nikomu się nie zalił. Jakby nas nie zauważał. Przychodził z lasu, jadł coś obrzydliwego i kładł się na pryczę, nie mogąc długo zasnąć.

Ja zrobiłam się zła i klęłam. Biłam się z dziewczynkami i chłopcami, wyzywałam ich plugawymi słowami, oni mnie także. Kiedyś bawiłam się z Zosią Nockówną. Tę "zabawę" zobaczył i usłyszał tato. Stał długą chwilę i słuchał jakimi słowami wyraża się jego "pańskie dziecko". Przekleństwa znałam świetnie w dwóch językach. Podszedł do mnie i cicho zawołał. Zatrzymałam swego "konia" /Zosia była narowistym koniem, a ja wozakiem i nie mogąc ją zaprzęć klęłam tak samo jak to czynili wozacy w takich chwilach/.

Na dźwięk tatowego głosu drgnęłam, chciałam zapaść się pod ziemię. Rzuciłam "lejce" i puściłam się przed siebie. Nie bałam się bicia, lecz było mi wstyd, było mi tak strasznie wstyd, że chciałam nie żyć niż spojrzeć tacie w twarz.

Tato dogonił mnie i wziął na ręce. Usiadł na kłodach i mocno trzymał mnie na kolanach. Długo nic nie mówił. Szarpnęłam się, chciałam uciec, ale tato nie puścił mnie. Po trosze uspokoiliam się i zrezygnowałam z ucieczki. Tato przyciskał swoją twarz do mojej - mokrej od jego łez... Kołysał mnie i cicho mówił: "Moja córeczka, moje pańskie dziecko", a jego łzy kapały mi na włosy i szyję. Nie wiem jak długo tak siedzieliśmy. Na koniec tato powiedział: "Chodźmy, bo mama ugotowała już coś dobrego". Trzymał mnie za rękę i razem weszliśmy do baraku. Mama spojrzała na mnie i nie odezwała się. Wiedziała, że klnę, nie gorzej od koniuchów, lecz nie zwracała mi uwagi. Sądziła, że szybciej zapomnę. Tacie nigdy nie mówiła o naszych winach. Marysia załamywała ręce i modliła się do różnych świętych od tych spraw, by ratowali zagubioną duszyczkę jej małej siostry. Ją też przezywałam najordynarniejszymi słowami. Kompletnie nie rozumiałam ich znaczenia. Ani modlitwa, ani płacz i załamywanie rąk nie pomagały. Biłam się ze wszystkimi i o byle co.

Zresztą dzieci bardzo mi dokuczały z powodu moich ropnych czyraków na twarzy.

To "dobre" co mama ugotowała, to była lebioda z grzybami zabelona resztką babuninej mąki. Znienawidziłam grzyby i "dobrowolnie" nie zbieram ich nigdy. O lebiodzie nie wspomnę. Widmo głodu znów stało przy nas.

Aż tu nagle dowiedzieliśmy się, że pomiędzy Związkiem Radzieckim a Niemcami wybuchła wojna. Nastroje wśród Polaków były różne, przecież istniał ów sławetny pakt...

Ogłoszono powszechną mobilizację. Nawet tutaj pojawiły się plakaty: "Mat'rodina zawiot". Jeden z pierwszych poszedł komendant Tropin, poszli lesoruby i koniuchy.

Po długich dyskusjach i naradach wielu Polaków zgłosiło swój akces pójścia na wojnę. Lepiej zginąć na wojnie niż w tajdze od głodu, zimna i chorób. Podniósł się płacz; ludzie obawiali się, że pogubią się i nie odnajdą. Władze jednak nie bardzo przyjmowały Polaków do "doblesnoj krasnoj...".

Stasia aż do Czerewkowa odwiozła swego Tropina. Wróciła i nadal sprzątała komendanturę. Kobiety mówiły, że Rogaczow, nasz nowy komendant, kulawy i bez oka - też jest młody...

Tato nadal pracował w lesie, a mama na sianokosach.

Mama zrobiła się niepodobna do naszej mamy z domu /myśląc o Polsce, mówiliśmy w domu/. Była chuda, bez zębów, siwa i przygarbiona, ciągle kaszlała, bolało ją w piersiach i bez ustanku - głowa. Ledwo żyła.

Euzebiusz, pomimo zaawansowanej gruźlicy kości, numerował drwalom ścięte przez nich drzewo. Powłóczył lewą nogą i nie skarżył się. Wieczorami dostawał gorączki. Mama zasypywała mu cuchnące rany w pachwinach jodoformem i całowała jego baniaste kolano.

Gienio rzadko wstawał z pryczy. Wychudzony był do tego stopnia, że nawet ja mogłam objąć go w pasie. Emil ciągle zwoził drzewo. Wszyscy byliśmy chudzi, tylko nam brzuchy ster-
czały.

Marysia i ja chodziłyśmy do szkoły. Siedziałam w jednej ławce z Kola Szabanowym. Był to miły i delikatny chłopczyk, pożyczał mi kredki i ołówek i nie dokuczał mi ze względu na moją chorą twarz. Czasami dawał mi kawałek czarnego placka upieczonego po prostu na płycie. Kiedyś dał mi piękną czerwoniutką dwukopiejkową monetę. Bawiłam się nią i gdzieś mi się zgubiła. Zaczęłam szukać i nie mogąc jej znaleźć płakałam ciężkimi łzami. Za dwie kopiejki nic a nic nie można było kupić ale były moje, a ja niczego własnego nie miałam. Bardzo chciałam mieć dla siebie do zabawy te dwie kopiejki. Nauczycielka zainteresowała się czemu tak płaczę i cała klasa szukała moich dwukopiejek. Za nic na świecie nie chciałam się przyznać, że płaczę po stracie bezwartościowej monety. Kola jednak twierdził że właśnie z powodu tej straty tak płaczę. Dzieci dawały mi swoje dwie kopiejki i nawet trzykopiejkowe monety, ale nie chciałam niczyjej, zależało mi na mojej i dalej szlochałam. Nagle ktoś odsunął ławkę. Zobaczyłam śliczną błyszczącą monetę, chwyciłam i... połknęłam i już nigdy jej nie odnalazłam...

Kola i ja rywalizowaliśmy o stopnie. Byliśmy "otlicznikami" Zależało mi na dobrych stopniach, bo na koniec roku dostawałam ciastka i cukierki w nagrodę.

Kola chwalił się, że jego tato jest "brygadirom" i że bardzo lubi mojego tata, bo najlepiej pracuje.

Nasz tato mówił, że Szabanow to "ludzki" człowiek i nie pracuje tutaj z własnej woli. Nie był w łagrach, lecz musiał tutaj w tajdze odrabiać "przewinienie".

Czasami przynosiłam tatowi jedzenie jakie mama zrobiła lub ze stołówki, jeżeli tato nie pracował zbyt daleko w lesie. Zwykle były to grzyby z lebiodą lub lebioda z grzybami. Tato mieszał łyżką i wolno jadł jakby mu rosło w ustach. Obok siedział Szabanow i poważnie o czymś rozmawiali. Tato nie nauczył się rosyjskiego, ale porozumieć się potrafił z każdym i nawet przedstawić swoje racje. Z Szabanowem rozumieli się równie dobrze. Szabanow patrzył, że tato nie może przełknąć jedzenia, które przyniosłam i spytał dlaczego mama tak źle gotuje. Tato zachnął się i wykrzyknął: "Człowieku, moja żona gotując barszcz dodawała aż 30 przypraw, to był barszcz sławny na całą osadę".

Pewnego ranka wstałam i powiedziałam, że miałam piękny sen. Śniło mi się, że jesteśmy w domu i były moje urodziny. Mama wzięła mnie i pojechałyśmy na defiladę do Dubna. Byli ułani na koniach i było mnóstwo biało-czerwonych sztandarów i chorągwi, a orkiestra grała marsza legionistów.

Tato i mama popatrzyli na siebie i na mnie, a tato powiedział: "Obyś miała proroczy sen, córeczko".

Nic jednak w naszym życiu nie zmieniało się. Nędza dziesiątkowała Polaków.

Brzydką, zimną jesienią przyszedł tato z lasu podniecony i radosny. W takim nastroju nie widziałam taty na posiołku. Mokrą uszankę rzucił na kufer, nie zdjął kufajki tylko chwycił mamę i okręcił dookoła. Patrzyliśmy na taty jakby urzeczeni, a Fajfer powiedział: "Co to Tais taki wesolutki, "wróbla" znalazł czy co?" /wróbel-rubel/.

Tato nic nie powiedział, wziął mnie z Marysią na kolana /dawno tego nie robił/, tulił i uśmiechał się. Wieczorem przybiegli starostowie z komendantury i zwoływali Polaków na zebranie. Rogaczow oznajmił, że będzie się tworzyć polska armia

i wszyscy chętni mogą do niej wstępować. Można też będzie wracać do Polski, jak tylko "niepokonana krasnaja armija przepędzi przeklętych gitlerowców". Nikt, z wyjątkiem bardzo małych dzieci, nie spał tej nocy. Wszyscy się cieszyli, palili ogniska, śpiewali i płakali. Zdawało się, że już, już, a będziemy w Polsce...

Tato już rano wiedział o tym od Szabanowa, stąd była ta radość, ale dał słowo, że nikomu o tym nie powie. To była tajna.⁴ Teraz cieszyli się wszyscy.

Tato zmienił się, odmłodniał, rozmawiał z nami, snuł plany, często uśmiechał się. Szykował się do powrotu gwizdząc swoje legionowskie piosenki. Nie wiedział, biedny tato, że to przedwczesna radość, jak zresztą zawsze. Można było "wracać", ale jak, czym, na czym i za co? Teraz nie było już ani podwód, ani żadnej organizacji, która by zajęła się sprawą powrotu, a tu wielkimi krokami zbliżała się syberyjska zima. Nie mieliśmy zapasów żywności, ani pieniędzy, ani butów, ani ubrań. Wszystko zaczynało się od "ani...". Jak więc wracać? O to już nie martwiły się władze. Rosjanie zdawali sobie sprawę, że Polacy lawiną ruszą z lasów, stepów, kto więc będzie pracował?

Niemcy parli "doblesnuju" w głąb kraju, kto mógł utrzymać karabin na parcianym sznurku, szedł na front, nawet "lżejsi zakluczonyje" też byli kierowani na wojnę.

Mimo to Obil ożywił się. Ludzie biegali jedni do drugich, szukali sposobów wydostania się z tajgi. A tu ciągle ktoś umierał. W naszym baraku umarło rodzeństwo Zająców - Czesio i Emilka. Zającowie mieli czworo dzieci: CZesława, Emilę, Emilkę i Czesię. Wszyscy wiedzieli, że Zajęcowa nie lubi Czesława i Emilki, bo byli podobni do jej rodziny. Faworyzowała Emilka i Czesię, gdyż ci z kolei podobni byli do rodziny męża i byli

ładniejsi. Dla mnie wszyscy byli paskudni, rudzi i piegowaci. Jeszcze zimą Czesław odmroził sobie nogi i palce zaatakowała gangrena. Marusia smarując je "margancówką" obcinała nożyczkami czarne paluchy nieszczęsnego Czesia, a on jęczał żałośnie i nieśmiało wołał: "Mamo, mamo" - a ta podchodziła do niego i mówiła: "Wstydzilibyś się, taki stary koń a mamy chce". Nie wytrzymała tego pani Bieniowa i leżąc ze złamaną nogą na prycy zawołała: "A cóż z pani za matka, nie widzi pani, że to dziecko umiera? Podejdz do syna kobieto, przytul jego głowę, niech umrze w wierze, że miał matkę".

Wszyscy spojrzeli na rudą tłąstą Zajacową, a ta podeszła do Czeska z miną jakby widziała rozjechaną ropuchę i mówiła: "Dobrze, już dobrze". Czesio zamknął oczy i umarł. Zagłodzona Emilka miała gruźlicę. Już nie mogła chodzić, leżała na dolnej prycy z nogami spuszczone w dół i mówiła pacierz. Głośno modliła się za wszystkich, a najczęściej wymieniała matkę. Matka siedziała na górnej prycy i nie odzywała się. Znow nie wytrzymały nerwy pani Bieniowej. "Pomóż umrzeć swemu dziecku, kobieto bez serca. Nie słyszysz, że modli się za ciebie. Od godziny woła, czy prócz serca uszu też nie masz?" Zajac zszedł z prycy i nachylił się nad Emilką, lecz ona już nie zawołała matki. W baraku nastała cisza. Wszyscy usłyszeli pytanie Zajacowej: "Już?". Głośno i dobitnie odpowiedziała pani Bieniowa: "Tak, już. Poszło to dziecko szukać Boga, bo matki nie znalazło"

Zajac podbiegł do prycy pani Bieniowej i chciał ją uderzyć, a wtedy zszedł z prycy Bień, bez słowa wyprostował się i stał jak halabardnik. Bień miał 2 metry wzrostu, a Zajac był malutki więc zakręcił się i wrócił.

"Ty tchórze" - zasyczała Zajacowa.

To nędza i głód zamieniały ludzkie serca w nicczuła głąb.

Odprowadziliśmy na górkę i Emilkę. Mogił przybywało codziennie, lecz żywi szykowali się do... Polski. Wtedy zebrał wszystkich Polaków pan Karoliński. Podawał się za siodlarza, lecz tato wiedział, że jest oficerem, gdyby to samo wiedzieli Rosjanie byłby z rodziną nie na Obilu, lecz w ciężkich łagrach. Pan Karoliński powiedział: "Wybieramy się do Polski, kto wróci, nie wiadomo. Co będzie z naszymi grobami? Pomyślmy o tych, co tu nad Obilem zostaną. Proponuję ogrodzić cmentarz i postawić wspólny krzyż".

Na ten apel zgłosili się wszyscy, jako że cechą naszą jest natychmiastowy odzew na apele. Mimo, że roboty na cmentarzu trzeba było wykonywać po całodziennej ciężkiej pracy w lesie, nie było ociągających się. Przez kilka dni do późnej nocy, przy kagankach i łuczywach rozlegał się stukot toporów i zawođenje pił. Na koniec poszliśmy na cmentarz pożegnać tych, co nie wrócą. Poprzez gałęzie drzew, z daleką, widniał biały sosnowy krzyż. Na ten cel wybrano chyba największe i najgrubsze drzewo w tajdze. Wkopany głęboko w ziemię i obłożony kamieniami, stał mocno i swymi potężnymi, rozpostartymi ramionami obejmował dziewięćdziesiąt sześć polskich mogił. U stóp krzyża przybito tablicę z nazwiskami i imionami tych, co zostali.

Zebrani stali i w milczeniu patrzyli na imponujący krzyż. Początkowo nawet nikt nie płakał, wszyscy byli pod wrażeniem. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, jak wielki jest ten nowopowstały cmentarz.

Ktoś ukląkł, a za nim klękali pozostali i głośno modlili się. Teraz ludzie płakali, pochylali głowy i boleśnie szlochali. Pierwszy z klęczek wstał pan Karoliński i drżącym głosem dziękował wszystkim za pracę i okazane serce. "Niech pozostają z Bogiem" - powiedział na koniec.

Był bardzo zimny wieczór, siąpił deszcz i wiał wiatr przenikając do kości. Z gorzkimi myślami wracali ludzie do baraków, trzeba było myśleć o wyjeździe z Obilu.

My także zaczęliśmy się sposobić do powrotu. Euzebiusz poprosił rodziców, aby puścili go samego, pójdzie do Taszkientu. Nie chce być dla nas ciężarem w drodze. Z Taszkientu chciałby przedostać się z Armią Andersa do Iranu i do Anglii, aby się leczyć. Biedna mama, coż mogła mu poradzić, co powiedzieć, czy miała coś na swoje usprawiedliwienie, że wysłała kalekę, chorego i bez pieniędzy w daleką, nie do przebycia, drogę. Tuliła jego kędzierzawą głowę do piersi, kreśliła znak krzyża na czole i płakała. Tato objął mocno podpartego kulami syna, swoją dumę i chlubę, postać chwilę i bez słowa wyszedł z baraku. ... Zgubiliśmy się na przeszło dziesięć lat. Nie szukał nas, spotkałam go przypadkiem. Studiował w Szkole Głównej Handlu Zagranicznego w 1952 roku.

Nie miał lewej nogi i nie był to mój kochany "Iziunio" jak nazywałam go w dzieciństwie. Zmienił się nie do poznania sam i zmienił swój życiorys... Już nie był synem legionisty... Mama nie mogła wybaczyć mu pochodzenia "małorolnego" chłopca. Długo cierpiała nad tym, że Euzebiusz, z którego tato był dumny do końca, wyparł się go. Potem wybaczyła, bowiem wiele wycierpiał, wiele przeszedł.

W nowej, powojennej rzeczywistości nie było miejsca dla dzieci osadników wojskowych z kresów Polski. On chciał się uczyć i pod tym względem nie zawiódł tata. My także mimo, że wiatr wiał nam w oczy...

Mój brat niewiele opowiadał o sobie. Ze strzępów jego słów dowiedziałam się, że w Taszkencie było istne piekło. Kazachstan, Uzbekistan - to nie rajka z jagodami i grzybami. To pustka

nia i piach; burzan i ciernie raniące stopy do krwi, zabójcza susza i pragnienie. Wysychające do bólu podniebienie i język. Tam wszystko co żyło cierpiało głód."Z głodem w Taszkencie nie można porównać głodowanie. na Obilu" - powiedział Euzebiusz do mamy. Ludzie nie byli ludźmi, nie liczyli się ani rodzice ani dzieci. Były to głodne stwory nienawidzące się nawzajem. Tam wymarła w większej części rodzina Berchertów: pierwsza umarła pani Konstancja Berchertowa, jej synowie Władek i Wicio, córeczka Felunia, siostra Antonina. Cudem przetrwali Janka, niespełniona miłość Tropina, Bronia, Jadzia i Edek. Ojciec zostawił ich i poszedł z Armią Andersa do Iranu, Bronia leżała w szpitalu, Jadzia i Edek wyjechali z polską ochronką do Anglii, a Janka poszła do następnej polskiej armii. Po wojnie Janka i Bronia zamieszkały w Dubnie, a Jadzia i Edek w Anglii.

Nie wróciło dawne życie i dawni sąsiedzi. Nigdy nie spotkaliśmy Ślufików ani Borków. Za Borkową mama tęskniła całe życie, to była jedyna prawdziwa mamina przyjaciółka.

Zamknęła się tamta epoka. Skończyło się cudowne dzieciństwo. Przepadło wszystko co było dobre...

... Polacy gremialnie opuszczali Obil. Po drodze bez krzyży i napisów, zostawały trupy.

W połowie października wyruszyliśmy i my. Nikt nas nie wiozł, co prawda nie było co wieźć z powrotem, ale i sił nie starczało nieść resztek tego, co zostało. Jak długo można iść o głodzie w chlupiących błotem łaptiach i w zacinającym w twarze deszczu ze śniegiem, wygłodzeni, zziębnięci i chorzy. Nieśliśmy w zgrabiających rękach toboły i padali ze zmęczenia. Wraz z kilkoma rodzinami udało się wynająć traktor, lecz tylko na parę godzin. Dalej traktorzyście nie było po drodze, wyrzucił

więc toboły w błoto i odjechał z całym zapasem naszych pieniędzy.

Wlekliśmy się noga za nogą i we czwórkę nieśliśmy prawie pusty kufer. Na noclegi nie wpuszczano nas. Gdziekolwiek pukaliśmy wszędzie słyszeliśmy jedną i tę samą odpowiedź: "nie!zia".

Gienio szedł z tyłu za nami. Był jak cień. Mama obawiała się, że tato może złościć się i bić go, że nie pomaga nam. Po cichu szepnęła mu, żeby szedł sam do Kotłasa, a po drodze niech wchodzi do chat i mieszkań. W ciepłe odpocznie i cha^ziajki¹ dadzą mu coś do jedzenia. Tato nawet nie zapytał, co stało się z synem. Był zamyślony i nieobecny. W milczeniu taszczyliśmy ciężki kufer i skrycie, przed tatem, płakali. Weszliśmy na most. Tato spojrział na naszą golgotę i zepchnął do rzeki stary, pamiątkowy kufer z resztką zawartych w nim wspomnień z domu.

Wszystkie drzwi nadal były na głucho zamknięte przed nami. Zrzadka otwierało się jakieś okienko i zły kobiecy głos przepędzał nas. Kazał się nam wynosić, bo przez nas będą mieli samą biedę. Był surowy zakaz wpuszczania Polaków i użyczania im noclegów za to, że nie chcieli zostać i pracować w tajdze. Wchodziliśmy potajemnie do opuszczonych szop lub baraków i tam szcękając zębami tuliliśmy się do siebie. Próbowaliśmy zasnąć. Głód i zimno nie pozwalały na to. Nie mieliśmy pieniędzy, nie było co jeść i co wymienić choćby na jeden kartofel. Mama wzięła mnie za rękę i poszłyśmy żebrac. Niewiele dostawałyśmy, ale choć trochę ogrzałyśmy się w ciepłych chatach. Stałam przy drzwiach na lśniaco czystej podłodze i łykałam ślinę ile razy młoda Rosjanka brała kęs do ust. Jej matka stała i patrzyła na jedzącą córkę /sama nie jadła/ i nie nam nie dała. Córka chcia-

ła szanę, wtedy matka powiedziała, że był tu jakiś młody "parniszka", który bez pytania wlażł na piec, ogrzał się, zabrał szanę i poszedł sobie. Córka ciągle jadła kartofle w mundurkach i powiedziała: "Widocznie był w biedzie, wziął szanę no i Boh z nim". Zdziwiłam się, że nie była wściekła. Po opisie mama domyśliła się, że to był Gienio. Z mizernym rezultatem wróciliśmy do szopy, gdzie szcękając zębami leżeli tato, Emil i Marysia. Zjedliśmy nasz "dobytek" i usiłowaliśmy spać.

Tato znów popadł w melancholię. Niósł toboły i milczał.

Zebrząc i kradnąc, lecz ciągle głodni i u kresu sił fizycznych i psychicznych dobrnęliśmy do Czerewkowa.

Okazało się, że tutaj jest pełno Polaków i władze zupełnie nie interesują się nimi. Nie wiedzieliśmy co ze sobą zrobić. Nie było gdzie się podziać, ani z czego żyć. Dorośli nie otrzymywali żadnej pracy. Byliśmy pozostawieni sami sobie. Zebrzących nie wpuszczano na próg, kradnących łapano i zamknięto w łagrach. Szkoły były zajęte. Odbываły się normalne lekcje. Tym razem dzieci rosyjskie nie miały już "wakacji" jak półtora roku temu.

Na dworze robiło się coraz zimniej. Drogi zanosło śniegiem, rzeki i bajora skuł lód. Zrozpaczeni rodzice nie mogąc zarobić, ani wyżebrać czegokolwiek opuszczali swoje dzieci. Takich dwoje płaczących na mrozie Ptaków - Bronka i Marysię, znalazł nasz tato i zaprowadził do NKWD by władze się nimi zajęły.

Sam biegał i szukał pracy. W szopach było nie do wytrzymania, a iść dalej nie sposób. W każdym urzędzie, kołchozie czy sowchozie odpowiadano: "raboty niet". Nie było możliwości przekroczyć nakazu nieprzyjmowania Polaków do pracy. Wyżebrane przeze mnie i mamę jedzenie, odwlekało głodową śmierć.

W jednym domu /też byliśmy po prośbie/, zła komsomołka po-

wiedziała do mamy, że trzeba pracować, a nie żebrać, bo to nie "prilicznno" i że u nich "nieśszczych niet". Ja słaśniałam się na nogach. Usiadłam na ciepłej podłodze i zakryłam rękami oczy. Nie mogłam patrzeć, że ona je pieczone kartofle. W środku skręcało mnie i mdliło, robiło mi się niedobrze.

Komsomołka dalej pouczała mamę, iż nie wolno tak wychowywać dzieci, co ze mnie wyrośnie jeżeli będę żebrać zamiast się uczyć i czemu to ja nie chodzę do szkoły.

Mama zamierzała ostro jej odpowiedzieć, iż widzi, że z tej pracy to stać ją jedynie na kartofle w "mundurkach" lecz zaniechała tego. Powiedziała tylko, że od przeszło tygodnia tato biega i szuka pracy i wszędzie odpowiadają, że nie ma roboty. Ona zrobiła zdziwioną minę i zaproponowała, żeby tato przyszedł rano do zawsowchozu /naczelnika/, gdyż brakuje im mężczyzn i na pewno tata przyjmą, że to jakieś nieporozumienie.

Rankiem pobiegł tato do biura sowchozu, w którym był kilkakrotnie przedtem i dostał pracę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

"W Czerewkowskim sowchozie"

Dzięki wstawiennictwu komsomołki zatrudniono tata przy krowach. Czyścił obory, wyrzucał gnój i woził mleko do mleczarni. "Gławka" /naczelnik/ dał "rozpisu" i kazał iść na mieszkanie do pewnej rodziny. Potem okazało się, że są to bardzo za-
możni zasiedziali od lat Sybiracy. Naprzeciwko wyszła straszna, sucha i wysoka starucha. Otworzyła drzwi do lodowatej przybudówki i powiedziała, że tutaj będziemy mieszkać. Nie było tam żadnych mebli. U góry, przy drzwiach były "połati" a dalej białe, ruski piec. Temperatura tutaj nie różniła się od tej, w szopie i choć był początek zimy, śnieg i mróz skrzyły się jednakowo na dworze i wewnątrz, na ścianach. Było czym palić i paliliśmy na okrągło, lecz to mieszkanie, z powodu zbyt cienkich ścian i północnej strony, nie było do ogrzania. Pomimo bezustannego palenia w piecu - szron z kątów nie ustępował.

Tato poszedł do sowchozu i przepracował bez przerwy dwie zmiany, by dostać zaliczkę i kartki na obiady dla siebie i dla nas. Już nie dostaliśmy po pół kilograma chleba na osobę, lecz po 300 gr. Zupa ze stołówki nie była lepsza niż na Obilu.

"Straszna babunia", jak ją nazwał Enil, na okrągło sprzątała. Codziennie odrzucała i zamiatała śnieg z drózek, schodów i dookoła domu. Czyściła sieni i złorzeczyła nam ile wlezie. Posyłała nas do wszystkich diabłów. Nazywała brudasami, niechlujami i jeszcze co najmniej stoma innymi określeniami. Baliśmy się jej wszyscy lecz ja najmniej. Bez zapraszania wchodziłam do ich domu. Do nich i do nas wchodziło się z jednej sieni, tylko

ze oni byli od południa i mieli grube, okrągłe bale za ściany, a my od północy i w letniej przybudówce. Podobało mi się u nich. Było czysto i ciepło i pachniało smakowite jedzenie. Razem mieszkały trzy pokolenia - "babcia", jej córka Zoja z mężem i z kolei ich córka, Tonia, której mąż był na froncie. Tonia była ładna, zła i w ciąży. Smutnie patrzyła w okno i nie okryta wybiegała, gdy tylko spostrzegła listonoszkę. Z progu wołała: "Jest dla mnie wiestoczka, jest?" Listonoszka, nie zatrzymując się przecząco kręciła głową i Tonia wracała wolno. Obie, babka i matka krzyczały na nią, że "goła" wychodzi na taki ziąb. Tonia bez słowa siadała przy stole i płakała. Potem dowiedziałam się, że mąż Toni od początku wojny zaginął i nie było od niego żadnych listów. Tonia była bardzo elegancka i ładna. Nosila prześliczne czarne lub bielusieńkie, na obcasach, waloneczki, miękkie futerko lub /gdy było b.zimno/ duży kożuch. Głowę zawiązywała wełnianą białą i miękką jak puch, chustą.

Te walonki i chusty to było ciągle moje marzenie. W ogóle gospodarze byli zamożną rodziną. Hodowali owce, krowę, świnia i mieli konia. Dobrze im się działo. Żyli zgodnie i dostatnio. Szczycili się tym, że zawsze byli wolnymi ludźmi; za cara nie było tu pańskich "dusz", pańszczyzna nie obejmowała tych terenów. Na samodzielnym chodnikach rozciągniętych na podłodze, bawił się mały Rudik i mimo czterech lat, prawie nie chodził. Mama mówiła, że jest rachityczny i potrzebny mu tran lub słońce południa. Rudik był późnym synem Zoi i ona wyraźnie wstydziła się tego. Zresztą Tonia nie miała więcej niż 17 lat. Miała "diesiątiletka" i przystojnego męża... na fotografii, za którym tęskniła. Zoja powiedziała naszej mamie, że pobrali się już po mobilizacji i Tonia nie zdążyła nacieszyć się nim, a kochali się jak bohaterowie u Turgeniewa czy Tolstoja. W tym sownicie

po raz pierwszy zobaczyłam ładne i eleganckie Rosjanki. Przychodziły do ojca Toni obstałowywać sobie walonki i kożuszki. Szczególnie piękna była Wala, mogłaby zostać miss świata lub graciadonny: ładne były Gala, Nina i inne. Opowiadały o swoich chłopcach i pokazywały listy z frontu. Stać je było na obstałowanie sobie "najnowszej" mody walonków i na piękne chusty. Na mrozie nie były sine jak my. Były ciepło i ładnie ubrane, syte, a siarczysty mróz tylko je upiększał. Śnieg radośnie chrupał i chrząścił pod ich ślicznymi, ciepłymi walonkami lecz i tutaj nie było zbyt wiele zamożnych rodzin. Wojna wszystkim dawała się we znaki.

Około Bożego Narodzenia mama też poszła do pracy. Nie została dojarką, musiała karmić świnie. Czasami przynosiła nam parę kartofli lub grysu, który mieszała z wodą i piekła "podpałki". Rzadko udawało się mamie uszczknąć coś świniom, bo kontrole były częste i znieścacka. Za parę kartofli można było również dostać odsiadkę. Zresztą kradła przede wszystkim "wierchuszka" a kontrolowali "czarnoraboczych".

Tato przynosił przewirowane mleko, którego nie mogliśmy pić. Śmierdziało gorzej od pomyj. Mama gotowała na nim bołtuszkę z grysu i tym się żywiliśmy. Byłam wiecznie głodna i chora. Po paru dniach Emil poszedł do pracy i jak tato wywoził gnój na pola i wykonywał najczarniejszą robotę. Było trochę pieniędzy, lecz należało oszczędzać je na dalszą drogę. Kupić za nie nie było co, gdyż w sklepach niczego nie było. Jeżeli coś się pojawiało to tylko na kartki.

W naszej izbie nie mieliśmy światła. Oświetlaliśmy łuczywem, ale kopcilo i nie było jasno, a oczy bolały. Potem Emil przyniósł trochę smaru do wozu i w bańce zrobił kaganek, który też niewiele oświetlał, na to rozbiłwał onydnny smród, więc za-

niechaliśmy i tego oświetlenia. Wobec tego najczęściej otwieraliśmy piec i jego blask jako tako oświetlał nasze schronienie

Siedzieliśmy kiedyś przy otwartych drzwiczkach i patrzyliśmy na trzaskające w płomieniach polana. Żałowaliśmy, że nie mamy kartofli do pieczenia. Każde z nas o czymś smutnie myślało. Mama poruszyła płonące drzewo, aż iskry wyskoczyły na podłogę i nie odrywając wzroku od paleniska powiedziała: "Dzisiaj jest Wigilia" - i rozplakała się. Zapomnieliśmy. Nie mieliśmy nawet grysu. Tato leżał na pryczy, a Emil i Marysia nieruchomo siedzieli przed piecem. Żadne się nie odezwało... Mama owinęła mnie w łachmany i wyszliśmy w siarczystą noc. "W cichą noc..." zebrać. Szłam skulona, prawie bosa, zziębnięta i głodna. W duchu myślałam: Boże Narodzenie a ja idę zebrać, ja "pańskie dziecko", rozpieszczana i kochana, oczko w głowie wszystkich domowników, idę i wyciągam zmarzniętą chudą rączkę po jeden kartofel, bo umieram z głodu. Pragnę wejść do ludzkiej siedziby i przez moment poczuć się człowiekiem, zobaczyć jak ludzie żyją, jak mieszkają, wdychać zapach pieczonych kartofli i gotującej się kaszy.

... Jakież to było piękne święto. Ile było radości i śmiechu przy ubieraniu choinki, przy ustawianiu snopa w tatowym pokoju, przy wysuwaniu bucików, żeby przypadkiem Święty Mikołaj nie przeoczył czyjegoś... Swoją wysuwałam pierwszy... U nas był zwyczaj wkładania prezentów do bucików, nie pod choinkę.

Ile dań, wypieków, ciast, ciasteczek, pierogów, gołąbków, ryb przeróżnego rodzaju, orzechów, rodzynek, owoców, łazanek z makiem, miodem i bakaliami i kuti. Za kutią przepadałam. Wszelkiego dobra było tyle, że stół się ugiął. Z naszego lasu była choinka, z naszego zboża snop, z naszej pasieki miód, z naszego sadu owoce, wszystko z naszego rajętku...

Na środku pokoju stał długi stół nakryty białym obrusem. Na głównym miejscu siedział tato, naprzeciwko mama i my obok, a dalej służący, którzy pomimo ukraińskiej narodowości zasiadali z nami do wspólnej wieczerzy.

Wszyscy byliśmy wypucowani, domyści, pięknie ubrani z krótko obciętych paznokciami. Najpiękniejsza jednak była mama. Miała na sobie długą, wąską z czarnego jedwabiu suknię, udrapowaną na piersiach z białym kołnierzykiem i mankietami. Na nogach jedwabne pończoszki i czarne lakierki. Uśmiechała się do nas i do tata /nareszcie był w garniturze/. Była gładko, z przedziałkiem po środku uczesana, a piękne warkocze upięte miała z tyłu głowy. Jej włosy błyszcząły w świetle lampy. Brała talerzyk w ręce i wszyscy wstawali...

Potem były kolędy śpiewane po polsku i ukraińsku. Dziewczyna trzymała mnie na kolanach i dźwięcznym głosem śpiewała: "Chrystus rodiłsia, Bohu mołyłsia...", ale ja wolałam inną, tę z dowcipnymi słowami: "Oj cupa, cupa, tut hroszy kupa, ja koladuju, bo hroszy czuju". Klaskałam w dłonie i prosiłam: "Śpiewaj, dalej, śpiewaj"...

Na bujanych krzeselkach, własnoręcznie zrobionych przez tatę w podarunku dla mnie i Marysi, siedziałyśmy, czekając na Świętego Mikołaja. Krzeselka nie były jednakowe, każde inaczej wyrzeźbione.

Patrzyłam jak mama szykuje się na pasterkę, zakłada swoje lśniące śniegowce, a my rzucamy się na wyścigi, które z nas pierwsze pozapina je. Stawała przed szafą i nie wiedziała, na które futro się zdecydować - "Podaj synu to z kapturem" - mówiła do Euzebiusza, owijała głowę szalem, wkładała swoje delikatne ręce w mufkę i siadała do półkoszek. Wołodka owijał mamine nogi płedem, tato smakał na konie i dźwięczne janczarki na kon-

skich karkach unosiły mamę do kościoła w mroźną gwiazdzistą noc. Potem cichły coraz bardziej, coraz bardziej, aż umilkły za zakrętem.

Bardzo chciało mi się spać, ale czekałam na Św. Mikołaja. Długo nie przychodził. Siedziałam, szeroko otwierałam oczy, póki litościwy sen nie skleił zmęczonych powiek. Rankiem Euzebiusz chwalił się, że tylko on widział Św. Mikołaja. Pytałyśmy: "Jaki był, co mówił?". Euzebiusz wyjaśniał: "Patrzę, z nieba spuszcza się drabina, a na niej..." - zawieszał głos, a my jedna przez drugą - "Co na niej, co?"... "Wielka dupa". "A fe, wstydź się tak mówić do dzieci" - karciała mama. W słowach nie był wybredny.

... Razem ze mną szła mama. Moja piękna i dumna mama w wigilię Bożego Narodzenia szła żebrać. Bez zębów, z siwymi włosami, pomarszczona... Moja elegancka mama szła w dziurawej burce, podpasana powrószkiem, w łaptiach na przemarzniętych nogach, drżała z zimna i płakała z upokorzenia. W "Świątą noc..." prowadziła swoje "pańskie dziecko" na żebrzy.

W ciepłych, schludnych chatkach mówiła do starych Rosjanek, że dzisiaj jest nasze "Roźdiestwo". One kiwały głowami i z litości dawały po kartoflu lub cebuli.

Mroźną, roziskrzoną gwiazdami nocą wracałyśmy do naszej zimnicy.

Emil i Marysia siedzieli przed piecem w pozach w jakich zostawiłyśmy ich kilka godzin temu. Marysia odwróciła głowę, zawołała "Mamo!" i zemdląła. Mama nie rozbierając się z łachów chwyciła ją na ręce, całowała i cuciała. Tato zszedł z połati i bez słowa wkładał do pieca polana. Usiadł, posadził Marysię na kolanach i w milczeniu kołysał ją.

Przed piecem na podłodze połatyłyśmy nasze datki i nie składając sobie rzymski wszystko zjedliśmy od razu.

Nie było ani Euzebiusza ani Gienia. Po co składać sobie życzenia? Żadne życzenie z przed wojny nie spełniło się...

Rano, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia poszła mama nakarmić sowchozowe świnie, a tato z Emilem do wywożenia gnoju. Zostałam tylko z Marysią. Milczałyśmy obie. Znow chciało się nam jeść. Drzemałyśmy na połatiach, nie było po co schodzić. W izbie było zimno, w piecu wygasło. Zeszłam z pryczy, zajrzałam do garnków, do pieca... Dawno nie obcinanymi, brudnymi paznokciami zdrapywałam mróz z szyb i zjadałam śnieżne kwiaty...

Znow zostałam niańką. Tym razem blisko, po przeciwnej stronie ulicy u Maruśki. Opiekowałam się chłopaczką, Witią. Witia miał około 4-ch latek. Chłopczyk i Maruśka byli mili dla mnie, ale ja nie lubiłam ich. Witia musiał bezwzględnie słuchać mnie, bo jeżeli nie słuchał, stawiałam go do kąta i nie pozwalałam ruszyć się. Kiedy matka wracała z pracy chłopaczek rzucał się jej na szyję i płakał, ale nigdy nie skarżył się na mnie. Wolał mnie niż brudny "dietsadik", skąd wracał głodny i smutny. Maruśka bardzo narzekała na przedszkole do mojej mamy. Maruśka nie była ładna. Kiedy się śmiała odsłaniała bardzo krótkie zęby i długie dziąsła. W przeciwieństwie do ładnej Toni otrzymywała listy od męża. Bardzo uważnie i długo czytała je i płakała cicho. Nie było mi jej żal. Jakoś nie mogłam jej polubić. Jej domek był nieduży, ale czystutki i ciepły. Oczywiście były pluskwy i tarakany, ale to było "przynależne" do krajobrazu. Te "lary i penaty" były w każdym, nawet najbogatszym domu. Nie było sposobu pozbycia się ich.

Widziałam rozpacz Rosjanek, kiedy drżącymi palcami otwierały trójkącik złożony z kartki papieru i czytały notatkę, że "gierojski pogib za rodinu i wiecznaja jemu sława!" Nie wzru-

szały mnie ani te słowa, ani niemy ból na twarzach kobiet. Do przesyty napatrzyłam się na tragedie Polaków. Rosjanie ginęli na froncie za ojczyznę, a Polacy za co? Przyznaję się, że nawet cieszyłam się /niech mi to będzie wybaczone, byłam dzieckiem, głodnym i bezdomnym/, gdy one w bezsilnej rozpaczynie tłukły pięściami w stół czy o ścianę i pochylały się przed obojętnymi ikonami, zanosząc modły, biły pokłony i błagały o litość.

Nasza rodzina też była okaleczona. Nie było z nami dwóch moich braci, nie chodziliśmy do szkoły, tato z nostalgii tracił poczucie rzeczywistości, a mama wypłakiwała swoje oczy. "Niech też cierpią" - myślałam w duchu. Nie wiedziałam wtedy jeszcze tego, że oni od początku istnienia swego "najsprawiedliwszego" państwa nie są pewni dnia ani godziny.

Od Maruśki uciekałam na niedzielę do domu. Nie mogłam przyzwyczaić się do niej, ani do Witi. Natomiast lubiłam Tonię i często do niej chodziłam, a mały Rudik przepadał za mną. Kiedy wchodziłam do ich kuchni umorusana twarz Rudika rozpromieniała się w uśmiechu, wyciągał do mnie chude rączyny, a ja uczyłam go chodzić. Jego nogi śmiesznie, jak u kaczki na lodzie, rozjeżdżały się po śliskiej podłodze.

Pewnego razu usłyszałam krzyk i płacz Toni. Nie wiedziałam co się dzieje. Wszyscy biegali po domu i potrącali się nawzajem. Ojciec Toni wyskoczył na dwór, zaprzęgnął konia do sanek, wziął Tonię na ręce i pojechali. W niedługim czasie wróciła Tonia ze śliczną Ałłoczka, którą ja bardzo polubiłam i chętnie kołysałam w kołysce zawieszanej pod sufitem na długiej, giętkiej żerdzi. Śpiewałam zasłyszane od jej prababki kołysanki i cieszyłam się, że nie pójdę do Maruśki.

Od pojawienia się Ałłoczki w domu, straszna babunia jeszcze bardziej na nas krzyczała: a to są trzepakami urwaniami, co to

tupiemy lub za głośno rozmawiamy i jej "ditiatko" nie może spać. Nazywała nas "leszakami" lub "czortowymi diet'mi". Zresztą krzyczała i rugała wszystkich, nie oszczędzała nawet malutkiej Ałłoczki. Zdarzało się, że dziewczynka zbyt długo płakała, a wtedy prababka wytrzeszczała oczy i nachylając się jak baba Jaga nad kołyską, syczała: "Spiiii że ty niemalionoje nie krieszczionoje czto orioszto, ty piewica iz pogorielewo tiea-tra" /Śpij ty nie przeżegnane i nie ochrzczone, co wydzierasz się, śpiewaczka ze spalonego teatru/. Tonia była komsomołką i nie pozwoliła babce ochrzcić malutkiej. Nie pamiętam ich nazwiska, a może z niej wyrosła Ałła Pugaczowa?

Stara ciągle na nas wrzeszczała i przeklinała, pomimo to wchodziłam do nich, kołysałam malutką. Na pomarszczonej twarzy Ałłoczki prababki pojawiała się coś w rodzaju uśmiechu. Podchodziła do mnie, dawała szańgę lub kartofla i nawet głaskała mnie po głowie.. Leciutko kołysałam w dół i w górę, w dół, w górę malutką Ałłoczka i śpiewałam jej własnej kompozycji kołysanki:

"Tisze, tisze, spit Ałła ditiatko
Ałła ditiatko, nie buditieko
Spi Ałłoczka aaa,
Spi Ałłoczka aaa."

Chyba Ałłoczka przyzwyczała się do moich kołysanek, bo zdarzało się, że długo krzyczała i nikt nie mógł jej utulić, stara wpadała do nas, chwytając mnie za rękę i zabierała do dziecka. Gdy tylko dotykałam kołyski i zaczynałam śpiewać malutka przestawała płakać. Wszyscy oddychali głęboko i chwalili mnie. Dziadek Ałłoczki obiecał mi nawet waloneczki, a stara dawała nam czugun kaszy zapiekanej w piecu. Było mi u nich ciepło i dobrze i zawsze ktoś z nich dawało mi coś do zjedzenia. Dwa-

sami była w domu tylko Tonia, bardzo lubiłam te chwile, bo ja siedziałam pod piecem przy kołysce, malutka spała, a Tonia wyjmowała zeszyt, kałamarz i obsadkę z piórem i pisała długie listy. Nie zwracała na mnie uwagi i pisząc głośno jęczała: "Boże, Boże moj, gdzie ty drużok moj serdecznyj, gdzie ty?". Zoja, matka, wpadała z nienacka, wyrywała Toni kartki, trzęsła nią i krzyczała: "Opamiętaj się, dura, suma sojdiosz, dzierży siebia". Czasami tuliła ją, nazywała "niebiesnym angielskim" i obie gorzko płakały. Patrzyłam na to i dość obojętnie opowiadałam mamie co dzieje się u gospodarzy.

Mimo pracy tata, mamy i Emila ciągle byliśmy głodni. Nic nie było w sklepach, a na kartki dostawaliśmy głodowe porcje.

Chodziłam z kilometr do "obszczeżytia", gdzie mieściła się stołówka i stamtąd przynosiłam zupę. W stołówce z wiszącego na ścianie "kołchoźnika" głos sławnego Lewitana^{x/} patetycznie oznajmiał, że "nasza doblesnaja krasnaja armija po zaciętym boju wycofała się strategicznie na z góry upatrzone pozycje". Wtedy "doblesnaja" ciągle się cofała. Poza tym przy obiedzie, gdy przychodzili robotnicy z sowchozu, kierowniczką stołówki Kława także wygłaszała "prasówkę". Prócz słów jak to "wspaniała krasnaja" cofa się, nic mądrego nie mówiła.

Nagle zaczęliśmy spotykać estońskich żołnierzy. Nie było sposobu porozumienia się z nimi, nie wiedzieliśmy skąd i dlaczego się tutaj znaleźli. Byli przystojni, bardzo wysocy, potężni i wszyscy blondyni. Okazało się, że przeniesiono ich tutaj z łagrów z okolic Kotłasa, gdyż tam trzeba było umieścić Polaków, napływających z lasów i stepów do Armii Andersa. Estończycy fascynowali zarówno Rosjan i Polaków. Przeważali oficerowie, podoficerowie i kadeci. Rzadkością zdarzali się szeregowcy.

^{x/} słowny epikur w czasach wojny 1941-1945.

Z głodu i zimna padali jak przysłowiowe muchy. Walających się trupów było tyle, że przestały robić na kimkolwiek wrażenie. Spokojnie mówiłam traktorzyście, gdzie powinien jechać po zamrznętego Estończyka. Nie byli oni zbyt twardo pilnowani, nie mieli dokąd i w czym uciekać. Chodzili po domach i wymieniali swoje ciepłe koce na odrobinę jedzenia. Za grubego, wełnianego koc dostawali pajdkę chleba lub 2-3 kartofle. Z uśmiechem oddawali je, brali co kto dawał, kłaniali się i grzecznie dziękowali. Do nas też przychodzili, ale my nie mieliśmy co im dać, sami byliśmy spuchnięci z głodu. Kiedyś przyszło ich dwóch, gdy był tato. Usiedli koło tata i "rozmawiali". Nie wiem jak tato to robił, ale Estończycy przychodzili do niego ciągle. Widziałam jak gestykułując porozumiewali się i nawet od czasu do czasu śmiali się lub bezradnie rozkładali ręce i smutnie kiwali głowami. Porozumienie było pełne.

Szczególnie często przychodził do tata jeden oficer, bardzo przystojny, wysoki, w średnim wieku. Siedział długo z tatem i trochę po niemiecku, trochę na migi świetnie się porozumiewali. Lubił mnie. Mówił, że ma córeczkę w moim wieku.

Pewnego razu przyniósł tacie swój puszysty estoński pled. Tato bronił się przed przyjęciem go, lecz Estończyk nalegał, powiedział, że niedługo umrze i chce ofiarować ten koc na żywność dla dzieci. Zostawił też kartkę z nazwiskiem, imieniem i stopniem oficerskim. Kartka gdzieś zaginęła w dalszej tułaczce, a trudne nazwisko wyleciało mi z pamięci. Na imię chyba miał Georg. Raptem przestał przychodzić do nas. Mama i tato mówili, że pewno zabroniono mu swobodnie poruszać się. Po jakimś czasie przyszedł inny oficer. Tato pokazał mu kartkę z nazwiskiem. Estończyk odpowiedział, że nie zna go osobiście /było ich około 5-6 tysięcy/ lecz dowiad się o niego i powie tacie. Jedną jeszcze

że dużo ich choruje i umiera na dyzenterię.

W parę dni potem tato z Emilem wracali po pracy i aby być szybciej, szli przez pola znaną im ścieżką. Zapadał zmrok i pruszył rzadki śnieg. Emilowi wydało się, że ktoś leży parę kroków od ścieżki. Podszedł bliżej i zawołał tata. Tato nachylił się i powiedział: "zamarzł biedak". Zaczął uważniej przyglądać się twarzy zmarłego mężczyzny i krzyknął: "To nasz oficer, Boże, na co mu przyszło!" Na tato patrzyły szeroko otwarte niebieskie oczy Estończyka. Tych otwartych, niebieskich oczu tato nie mógł zamknąć i zapomnieć.

Weszli na chwilę do domu, tato wziął siekierę i rydel i poszli z powrotem pogrzebać przyjaciela. Po tym zdarzeniu, tato znów załamał się. Nie odzywał się do nas, spojrzenie tato było jakieś obce i nieobecne. Znów zachowywał się dziwnie. Wracał z pracy, o nic nas nie pytał, ani nie witał się. Zrzucał śmierdzące gnojem parciane buty i szedł na połati. Siedziałyśmy ciche i wylęknięte, nawet płakać bałyśmy się. Tato mościł się na deskach i zaczęłam "rozmowę" z estońskim oficerem. Coś wykrzykiwał, tłumaczył i złościł się, że Estończyk go nie rozumie. Zawołał Marysię i polecił jej iść do sieni i przynieść miech i siatkę na głowę, bo musi udowodnić coś temu estońskiemu "tumanowi", który zna się na wielu sprawach, lecz pojęcia nie ma o pszczołach. Marysia zeszła z drabinki i skierowała się do sieni, ale mama z palcem na ustach przytrzymała ją za rękę. Nic nie rozumiałam. Po chwili mama szepnęła: "Zostań, tato bredzi, zaraz o tym zapomni".

To było straszne. Mój tato, nasz kochany, mądry tato zwa-
riował!?! Boże, co my teraz zrobimy! Jak to będzie? Słyszałam
poruszenie tato, coś układał, przerzucał i ciągle coś mówił,
stękał coś wrzeszczeł podskakiwał się, aż róg już walił.

Byłam przerażona i prawie nie oddychałam, byłam także blisko załamania.

We czwórkę siedzieliśmy przy otwartym piecu i patrzyliśmy w ogień. Dalej niż jeden metr od pieca było zimno i ciemno. Nie mieliśmy ani lampy, ani nafty, a od kopcącego łuczywa bolały nas oczy i głowy. Plułam czarną gęstą flegmą. Tym razem mama nie płakała lecz tępo patrzyła na radosne języki płomieni.

Zrobiłam się osowiała i smutna. Mama zabroniła nam pytać tata w dzień o to, co się z nim dzieje wieczorami. Nie mogłam pogodzić się z tym, że mój tato nie wie co robi i co mówi. Powtarzała się ta historia każdego wieczora i trwało to dość długo. Rzadko i jakby z zażenowaniem tato pytał nas, czy nie zauważyłyśmy, że z nim coś jest nie tak, bo nigdy nie pamięta kiedy kładzie się spać. Spuszczaliśmy głowy lub patrzyłyśmy na tata jak wylęknione ptaki. Marysia płakała. Tato domyślał się, że jest z nim źle i prosił mamę, aby przerywała te "seanse". Mama obiecała i kiedyś stanęła na drabince i leciutko dotknęła tata nóg, ale kopnął ją tak silnie, że uderzyła się głową o piec i gdyby nie Emil pewno by upadła na podłogę. Emil chwycił mamę, była lekka jak piórko i posadził przed piecem. Mama zakryła twarz rękami i tylko po drganiu pleców widziałam, że płacze. To było nie do wytrzymania. Wybiegłam do gospodarzy i usiadłam przy Ałłoczce. Nie wróciłam na noc. Położyłam się na chodniku i zasnęłam.

Rano tato z troską w głosie spytał mamę dlaczego ma posiniaczoną twarz. Mama nic nie odpowiedziała i tato domyślił się, pochylił się i chciał mamę przygarnąć i przeprosić, ale mama szarpnęła się i teraz ona odepchnęła tata aż się zatoczył. Popatrzył na nas, wdział uszankę i kufajkę i wyszedł z domu. Mama znów płakała. Wieczorem było to samo. Tato był na co dzień, co

robił, mówił i szykował się do złapania roju. Nagle wychylił głowę z pryczy i przeraźliwym szeptem rozkazał: "Zamknij drzwi i nie wpuszczaj go do domu, on idzie po mnie". Mama nie panując nad sobą krzyknęła: "Przestań! On umarł, jego nie ma. Lepiej zejść i zmów pacierz za niego, ty niedowiarku, nie strasz dzieci". Tato jakby się ocknął, usiadł i teraz on patrzył na nas rozszerzonymi i też niebieskimi oczami.

- "Co ci jest - spytał mamy - uspokój się, czemu krzyczysz?" - i położył się na wznak. Zapanowała cisza.

Przy "śniadaniu" powiedział do mamy: "Wiesz śniła mi się 'Czarna Pani', powiedziała, że...", ale mama nie słuchała taty, narzuciła jakiś łach na siebie i wyszła trzaskając drzwiami. Potem mama bardzo żałowała, że nie dowiedziała się tego, co "Czarna Pani" powiedziała tacie po raz pierwszy i ostatni we śnie. Nigdy przedtem nie śniła się. Tato ją widział, przychodziła na jawie.

W domu źle się działo, panowały brud, głód i niezgoda. Obsiadły nas wszy; nie było mydła, nie było w czym się umyć, ani jak umyć głów. Dawno zgubiły się grzebienie. Przy dziennym świetle mama przeglądała nam włosy, wyjmowała długie, obłe wszy i tłukła je, albo wrzucała na ogień aż skwierczały. Z wszami zżyłam się i przestałam się ich brzydzić. Maminą główkę też przeglądałyśmy i cieczyłyśmy się, że tyle wszów potrafimy znaleźć. Gospodyni, pomimo ciągłej złości na nas, pożyczła nam grzebień i robiła tzw. ług, w którym kazała myć głowy. Sama wcierała w nasze włosy własną naftę. I był skutek.

Emil powiedział, że widział całe worki kartofli na sowchozowym polu. Ucieszyliśmy się bardzo i nawet mamie nie przyszło do głowy, że znalezione kartofle w szczerym polu w środku zimy to po prostu gnój. "Wiesz, co ci przyniosłem, pół wor-

ka kartofli-orzechów. Nie można było wziąć ich w dzień, bo to "kazionne dobro" i kraść nie wolno. Moja radość była ogromna. Podrzucałam kartofle w górę, a one z dźwięcznym stukotem padały na podłogę. Dzwoniły jak rozsypane orzechy. Kilka kartofli wrzucałam do pieca i wtedy zobaczyłam, że wycieka z nich czarna lepka woda, lecz wytrwale czekałam aż się upieką. Dotykałam patykiem i wołałam: "Mamo już się upiekły, są miękkie" - ale mama patrzyła i ze smutkiem zaprzeczała. Nie były upieczone, one po prostu odtajały. Nie mogłam ich przełknąć, były gębczaste i śmierdziały. Mama obierała je, tarła na tarce i piekła tzw. babki, ale było to po prostu ohydne. Nie było ani łyżki mąki, ani odrobiny tłuszczu... Wtedy mama powiedziała: "Co za straszny ustrój, co za przeklęta gospodarka, żeby tyle dobra przepadło w polu. Żaden gospodarz nie pozwoliłby sobie na to. Ludzie padają z głodu, a żywność ginie na mrozie". Pojęła słowa kotłaskiego "izwocznika", że tutaj jedynie można bezsilnie kląć.

Na Trzech Króli mama wracała z Czerewkowa i przy drodze znalazła zdechłego cygańskiego konia. Poszli z Emilem i urąbali co "lepsz", na kość zamarznęte mięso. W izbie przekonała się, że ten koń był tak samo chudy jak my. Miał żyły, kości i włókna.

Włożyła kawałki na blaszkę i wstawiła do pieca. Łudziła się, że po całkowitym odtajaniu okaże się, że jest jednak jakie mięso i tłuszcz. Najgorsze, że nie było soli, może i te kartofle byłyby do zjedzenia, gdyby je posolić. Ugotowała mama "tato-wy" barszcz na zdechłym koniu i bydłęcych burakach, nie tylko bez przypraw, lecz nawet bez odrobiny soli. Wyjęła blaszkę a my rzuciliśmy się na to "pieczyste" i jedliśmy, choć wykrzywiało nas to, że czarna, twarde i bez soli. "Barszcz

szczu" nie spróbowałam, odrzucał mnie.

Ledwo odeszliśmy od pieca /światła ciągle nie mieliśmy/, gdy nas "ruszyło". Myśleliśmy, że wraz z koniem i barszczem wyjdą nasze kiszki. Nie zwracając uwagi na śnieg i mróz, boso i bez żadnego okrycia starałam się dobiec do "domku z serduszkim", ale nie zdążyłam. Trzaskałam na wszystkie strony na odległość kilkunastu metrów. Wszystko co zjedliśmy, gubiliśmy po piętach, sieniach, schodach i dróźnie wysypanej żółtym piaseczkiem przez naszą "chaziajkę". Rwało z nas na obie strony. Wraz z wymiotami wychodziły żołądek i wnętrzności. Przykucałam gdzie popadło, a potem nie mogłam się podnieść. Kręciło mi się w głowie i ciemniało w oczach, podnosiłam się po ścianie i padałam we własne ekstrementy.

Mama, jak zwykle, zjadła najmniej, toteż "najłagodniej" chorowała. Za to Emil, Marysia i ja wiliśmy się z bólu i tracili przytomność. Tata nie było, pracował na trzecią zmianę i dzięki temu uratował się. Myślę, że cudem wyszliśmy żywi i może dlatego, że wszystko co zjedliśmy natychmiast zwróciliśmy, nie "zależało" się w naszych żołądkach. Reakcja była błyskawiczna i w tym był ratunek. Z ogromnego wyczerpania nie wiedziałam czy już umarłam, czy jeszcze żyję.

W naszą gospodynię wstąpił już nie tylko leszak, ale sam lucyper. Nawet ja, choć półprzytomna, drżałam ze strachu przed nią. Wpadła do izby, złapała się za nos i wyskoczyła do sieni, potem znów wleciała i jak furia latała i podtykała mamie pod brodę brudne szmaty i złorzeczyła. Półżywa mama nie reagowała na jej wyzwiska i przekleństwa. My też nie byliśmy w stanie poruszyć nawet wargami. Przy wygasłym piecu z głową opartą o przypiecek bez jakiegokolwiek znaku życia, siedziała nasza mama. Była obojętna na wszystko. "Chaziajka" zorientowała się, że

jesteśmy umierający, bo wyszła i mrucząc coś pod nosem sprzątała nasze nieczystości w sieniach, na schodach i na wysypanej żółtym piaseczkiem dróżce... Czyściła też "domek z serduszkim" i obok domku... Potem przyniosła "kipiatku", rozpałała w piecu i wzięła się za porządki u nas. Powiedziała, że zrobi nam "banię" /łaźnię/, powiedziała również, i to, że już dłużej nie będziemy tutaj mieszkać. Mama nie odezwała się ani słowem przez cały czas jej krzątania i gderania. Ona zaś żegnała się, wzywała Boga na świadka, że nie grzeszy wyrzucając nas. Chorowaliśmy parę dni. Gospodyni zaglądała do nas, przynosiła suszone czarne jagody, zaparzała je i poila nas. Tato zabrał resztę koininy i wyrzucił na śmietnik. Pracował o głodzie. Mama nie powiedziała tacie, że już nie możemy mieszkać tutaj. Emil wstał, poszedł do obszczeżytia i załatwił dla nas pokój.

Po łaźni poczuliśmy się trochę lepiej, włożyliśmy uprane przez gospodynię rzeczy, zwinęliśmy nasze łachy i poszliśmy do obszczeżytia. Szkoda mi było Ałłoczki, bardzo polubiłam tę śliczną, różową z dołeczkami dziewczynkę. Uwielbiałam patrzeć jak pręży się i uderza tłustą nóżką w wanienkę z wodą. Wszyscy o nią dbali, była ich oczkiem w głowie, jak niegdyś ja... Żal mi było obiecanych walonek, których znów nie dostałam... Jak zwykle, kiedy tylko gdzieś "wyprowadzaliśmy się", była śnieżyca i siarczysty mróz. Babka stała na czystych schodach, patrzyła nam w ślad i fartuchem wycierała oczy... Mama odwróciła się, podeszła parę kroków i ukłoniła się gospodyni.

Szliśmy wolno i w milczeniu, byliśmy ciągle chorzy i wycieńczeni, nie mieliśmy siły. Mama nie miała pretensji do gospodyni, głośno myślała: "Ona nie jest złą kobietą, ma dobre serce, jest zapracowana, ma na głowie duży dom, gotowanie, sprzątanie i dwoje małych dzieci, a przecież to nie młoda kobieta.

ta". Nie tylko zresztą nas wyzywała babka. Ileż to razy słyszałam jakimi słowami obdarzała Rudika. On też nie zawsze zdążył doślizgać się do nocnika na swoich kaczych nóżkach. Rudik nie zostawał babce dłużny, nazywał ją nie gorzej niż ona jego. A kiedy mu mówiła "podieri tiebia leszyj", on odpowiadał, że właśnie ona sama jest "leszym". Leszak dawno zabrał jego babcię, a sam został na jej miejscu. Babka po trzykroć żegnała się przed ikonami, a potem ostro pytała: "Kto ci to powiedział, mów, prędko mów", a Rudik patrzył na nią i bez mrugnięcia odpowiadał: "Mama" - wtedy na Zoiną głowę leciały takie przekleństwa iż dobrze, żeby się nie spełniły.

W "obszczeżytiu" było duszno, brudno i dużo rodzin tak polskich jak i rosyjskich. Karaluchy, pluskwy i wszy łąziły gdzie chciały i po kim chciały. Za to nareszcie było ciepło. Nie mieliśmy ani stołu, ani łóżka, ani połati. Nasze rzeczy leżały na podłodze w brudzie i kurzu, bo nie było miotły u "zawietdomu", zwyczajnie mówiąc u ciecioviej, u nich znaczyło to zarządzającej domem. Bez żadnego mebla, izba wydawała się obszerna i jasna. Była też elektryczność i niczym nie osłonięta nędzna żaróweczka oświetlała nasze nowe lokum. Trochę ożywiliśmy się i jakby trochę odżyli. Była też prawdziwa płyta z fajerkami i można było na niej gotować lub piec placki, tylko... nie było z czego.

Marysia i ja bawiłyśmy się z rosyjskimi dziećmi i tutaj dokonana się zdrada. Czytała swoją ukochaną książeczkę Waśce, a on wyjął pół chleba i... Marysia oddała mu książeczkę o kwiatkach-dziewczynkach. Waśka powycinał obrazki i porozwieszał na ścianach. Wróciłyśmy do siebie, niczym z pogrzebu. Chleb już był zjedzony, a książeczki nie było. Ścisnęły nam się serca. Nie mówiłyśmy o tym, lecz obie wiedziałyśmy, że myślimy nieustannie o naszej książeczce. Nagle Marysia, ni z tego ni z owego głośno

powiedziała: "Oddam Waśce pół chleba i zabiorę książeczkę" -
"ha, ha, oddać pół chleba! Skąd go wziąć? Głód to bezwzględny
wróg".

Waśka pozwalał nam przychodzić, stawać przed ścianami i
czytać cudowne wiersze. Marysia tłumaczyła mu na rosyjski, a
on uśmiechał się i mówił "prieles't".

Tato bardzo się zdenerwował na mamę o to, że gospodyni wy-
rzuciła nas ze "spokojnego" miejsca. Ostro przypomniał mamie:
"Twój ojciec miał rację, kiedy powiedział, że "bydle bydlem".

Po raz pierwszy mama nie rozplakała się, lecz o dziwo,
uśmiechnęła się i opowiedziała nam, skąd się wzięło to dzia-
duniowe powiedzenie.

Jak wspomniałam we wstępie, dziadunio nie posłał dziewczy-
nek do "zepsutego" miasta, lecz sprowadził pannę nauczycielkę
do domu. Panna była skromna, wykształcona i surowa. Pod jej
okiem dziewczynki nabierały ogłady i uczyły się. Dom był obszer-
ny, więc jeden pokój przeznaczyl dziadunio na izbę lekcyjną.
Pozwolił również innym dzieciom przychodzić na lekcje, nawet
tym, których rodziców nie było na to stać. Wśród uczniów znalazł
się urwis Romciu. Pewnego razu wielce uradowany wpadł do klasy
i wielkimi literami kredą napisał na tablicy: "Ja widział jak
nasza pani srała". Trzeba było trafu, że dziadunio przyszedł
popatrzeć, jak uczą się jego podopieczni i przeczytał to co
było na tablicy. Kazał chłopcu tablicę wytrzeć i wyrzucił go z
"nauki" a do skonfundowanej, całej w pęśach panny powiedział:
"Ja uczył starałsia, a bydle bydlem".

W "obszczeżytiu" przeszły tatowi nocne zwidy, uspokoił się
i azagościła miła atmosfera, jak w domu. Gdy trochę zelżał mróz
i na dworze zapachniało wiosną, zaczęliśmy myśleć o Kotłajie.
Tato, mama i Emil pracowali po dwie zmiany, żeby zbierać trochę

chleba i pieniędzy na drogę. Za każde nastęzne 8 godzin, otrzymywało się dodatkowo pół chleba i zapłatę. Już mieliśmy iść, gdy tato położył się, bo bardzo źle się poczuł. Musieliśmy zostać. Tym razem nie psychiczne lecz fizyczne trapiły go dolegliwości. Męczyła go gorączka i czkawka, trwająca po kilka godzin, której w żaden sposób nie można było przerwać. Wyczerpywała tata do ostatka. Mijała, lecz tylko na krótkie chwile. Potem rwała tatowe wnętrzności, żołądek i serce. Tato nie mógł mówić, ani jeść, ani oddychać. Umierał... Boże, to było straszne. Nie mieliśmy możliwości pomóc tatowi, nie było ratunku. Gdy przedstawiała na chwilę tato mówił do mamy: "Masz dbać o dzieci, odnajdziesz wszystkie nasze dzieci, wrócisz do domu i wykształcisz je. Moje dzieci muszą być kimś. Nie zmarnuj ich. Zwłaszcza dziewczynkom daj staranne wychowanie, rosną jak dziczki".

Do Kotłasa nie wyruszaliśmy, a zapas chleba się kończył.

Pewnego wczesnego ranka zbudziły nas głośne dźwięki dętej orkiestry. Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Czyżbyśmy wszyscy śnili? Od wywiezienia nas z domu nie słyszeliśmy takiej muzyki. Była radosna i jakby pełna nadziei, jakby to była defilada w Beresteczku, czy Dubnie. Podbiegliśmy do okien, a że niewiele było widać, wybiegliśmy przed "obszczeżyte", aż na główny trakt. Tu zobaczyliśmy maszerujących, szczęśliwych Estończyków. Żołnierze uśmiechali się do nas, machali rękoma, a orkiestra grała porywającego marsza. Piękna melodia chwyciła za serce, wyciskała łzy. Oni szli, szczęśliwy, dziarscy jakby im skrzydła u ramion wyrosły. Marsz porwał wszystkich Polaków. Machali czapkami, pozdrawiali ich. Rosjanie stali źli i któryś powiedział: "Zdrajcy, grają białogwardijskiej marsz" /po wojnie w Polsce był często grany i śpiewany ten niezapomniany marsz pt. "Rozszumiały się wierzby płaczące"/.

Tato podszedł bliżej szeregów i pytał co się dzieje, czy to koniec wojny? Oni przeczyli głowami, to nie koniec wojny, to właśnie oni idą na wojnę... Tato długo patrzył za nimi, aż zrobili się mali i zniknęli za horyzontem, a wraz z nimi umilkł ich radosny, porywający marsz. Tato westchnął: "Oddałbym życie, żeby móc iść jak oni".

Trzymano ich tutaj w nieludzkich warunkach. Daleko pod lasem otoczony kolczastym drutem był ich jeniecki obóz... Mieli koce, miękkie, ciepłe estońskie koce, które nie zdołały ogrzać ich w brezentowych pałatkach w siarczysty mróz...

- "Biedni wolą ginąć na froncie niż tutaj od mrozu, głodu i chorób" - powiedziała mama. "Chłopcy cieszyli się jakby szli na bal, nie na śmierć" - dodał tato. - "A nasz oficer nie doczekał". Przez chwilę staliśmy jeszcze, w uszach dźwięczał marsz, a w oczach były ich radośnie roześmiane twarze. Chyba widok szczęśliwych Estończyków uzdrowił tata, bo kierując się do wejścia powiedział do nas: "Jutro wyruszamy i my".

Skoro świt zbudziła nas mama, przeżegnaliśmy się, dostaliśmy po pół kromki chleba i poszliśmy, ciągnąc po rozmarzniętach ręczny, lecz za ciężki dla nas wózek. Które z nas było bardzo zmęczone siadało na wózku, a pozostali ciągnęli. Tak jak jesienią nikt nas na noclegi nie przyjmował. Napotykalismy takich nędzarzy jak my, chorych wymizerowanych, ledwo powłóczęcych nogami. Droga z Czerewkowa do Kotłasa też była męką. Nie mieliśmy pieniędzy, nie było co jeść, nie było gdzie wysuszyć przemoczonych onucy i łapti.

Noclegów użyczały nam opuszczone szopy, chaty z wyrwanymi oknami i zdewastowane cerkwie. Wchodziliśmy do martwej świątyni. Z odrapanych, zniszczonych ścian spoglądały pustymi oczodołami ikony bez nosów i rąk. Klędąc się spać na kamiennej z wybo-

jami posadzce, tato powiedział: "Obeszli się ze swoimi świętościami gorzej niż dawni Wandale".

Skoro świt opuściliśmy zimną cerkiew i poszliśmy dalej.

Marysia przeziębila się i zachorowała na malarię. Nie mogła iść, trzeba było wieźć ją na wózku. Nie spodziewaliśmy się szybko dojść do Kotłasa.

Padał deszcz ze śniegiem, a mroźny wiatr przenikał nas. Jeżeli nie pomagały prośby na siłę wchodziliśmy do ciepłych, chat, żeby wysuszyć ubrania i ogrzać się. Zdarzało się, że Marysia traciła świadomość. Mama prosiła tata, żeby zostawił ją z chorym dzieckiem w jakiejś chacie, a ze mną i Emilem szedł do Kotłasa. Tato złościł się na mamę i nie zgodził się. "Umrzecie z głodu" - mówił - "przecież nie mamy pieniędzy, żeby się podzielić". Były chwile, kiedy wydawało się nam, że nie zrobimy dalej kroku. Jak staliśmy, siadaliśmy, nie zwracając uwagi czy to błoto czy śnieg. Siedzieliśmy tak kiedyś otępiali, u kresu sił, gdy usłyszeliśmy warkot traktora. Tato zerwał czapkę i machał nią przed traktorem. Traktorzysta stanął, wychylił się z budki i spytał: "Cziwooo?..." Nie był sam. Obok siedziała kobieta. Mama podeszła i prosiła, by podwieźli ją z chorą dziewczynką, ale oni słuchać o tym nie chcieli. Mama nie zmieści się - twierdzili. Wtedy tato zdecydował, że Marysia pojedzie z nimi sama. Zapytał ile chcą. Oni wymienili akurat taką sumę, jaką tato miał. Tato chciał dać im część a resztę zapłaci w Kotłasiu, gdy się spotkamy, ale kobieta trajkotała, że albo teraz całą sumę, albu "pust' diwozonka pogibaet" /niech dziewczynka ginie/, im wszystko jedno.

Oddał tato wszystkie pieniądze i pojechała jego ukochana, chora córeczka z obcymi i niesympatycznymi ludźmi. Co chwila i tato i mama wycierali zalane łzami i mokrym śniegiem twarze.

W zupełnym milczeniu szliśmy jeszcze ze dwa dni.

Było ciemno, gdy weszliśmy do Kotłasa. Zapytany przechodzień, po polsku wyjaśnił nam jak mamy dostać się do punktu, gdzie zbierają się Polacy. Poznaliśmy tę samą szkołę, do której przywieziono nas dwa lata temu. Widocznie jej przeznaczeniem było mieścić w swych murach Polaków-rozbitków. Tato i mama nie odzywali się do siebie, myśleli o Marysi. W szkole było tłumnie, gwarno, wisiało ciężkie powietrze i paliły się jasne żarówki. Tato szepnął coś Emilowi i ten zniknął w zakamarkach. Wszystkie prycze były zajęte. Chodziliśmy z klasy do klasy i nigdzie nie było wolnego miejsca. Byłam tak zmęczona, że nawet nie wiedziałam czy chodzę, czy śnię i co się ze mną dzieje. Byłam brudna, przemoknięta i aż skurczona z głodu.

Z tyłu za nami usłyszeliśmy nasze nazwisko.

"Panie Tais" - stanęliśmy i jak na sprężynach odwróciliśmy głowy. Zbliżał się do nas młody jakby wojskowy, a z nim odmieniona, czysta, przebrana Marysia i Emil. "Boże, jesteś, jesteś" - wołali rodzice - "córeczko jesteś, nic ci nie zrobili?" - pytała mama, obejmowała ją i całowała. Okazało się, że para traktorzystów za otrzymane pieniądze dowiozła ją do Kotłasa i spytała ludzi dokąd ma pójść Marysia, by znaleźć Polaków. Znow ktoś pokazał drogę i tak znalazła się mała, chora istotka wśród tłumu Polaków przybyłych ze wszystkich krańców olbrzymiego kraju. Usiadła pod żarówką i myślała, że już umiera, gdy zainteresował się ^{nią} "dziwny żołnierz". Ten dziwny żołnierz ukłonił się przed tatem /nie zasalutował/ i powiedział: "Jestem ksiądz kapelan Ryszard Grabski i od dwóch dni opiekuję się pańską córeczką, dostała już chininę i jedzenie, będzie zdrowa, Marysiu, wskaż rodzicom swoją pryczę, a potem idź z mamusią do siostry Mossakowskiej po żywność i odzież".

Nic nie rozumiałam, ale pomyślałam sobie, patrząc na
czyścusięnkę Marysię: "Nareszcie będzie nam dobrze". Znow za
szybko o tym pomyślałam...

ROZDZIAŁ ÓSMY

"Kotłas po raz drugi - Nasza tragedia..."

Trzymałam Marysię za rękę i często ją ścisakałam. Byłam szczęśliwa, że ona jest, że nie zgubiła się.

W delegaturze dano nam coś do jedzenia. Były konserwy, kakao, mleko w proszku i rzeczy do ubrania dla nas.

Nie podobała mi się bardzo pani w magazynie. Była zła i spieszyła się. Dawała nam byle co, nawet nie patrzyła co podaje. Półki zapełnione były wspaniałą żywnością, ubraniami, palta-
mi, płaszcami, futrami...

Nareszcie zobaczyłam ładnie poubierane Polki - pracownice delegatury. Pomyślałam, że moja mama też tak ładnie się ubierze

'Przyniosłyśmy "dary" i położyłyśmy na pryczy. Mama ugotowała nam prawdziwą czekoladę. Rozkosz. Zapomniałam smaku czekolady, a tu nagle czekolada! Z ciepłymi brzuskami leżałyśmy na pryczy i patrzyłyśmy na salę.

Mimo wszystko podobała mi się atmosfera w szkole. Panował ruch i gwar, ludzie wchodzili, wychodzili, rozmawiali i śmiali się. Dawno nie widziałam tak radośnie ożywionych rodaków. Od tego widoku i czekolady nam też zrobiło się jaśniej na duszy. Dostałam śliczną nową szczoteczkę do zębów, lecz nie wyjęłam jej z celofanowego pudełeczka, ani nie umyłam zębów. Tak bardzo mi się podobała, że schowałam ją pod głowę i poszłam spać.

Rano udaliśmy się do kaplicy. Tutaj kaplica? Nie mogłam uwierzyć. Prawdziwa kaplica tutaj na dalekiej północy, w kraju, gdzie cerkwie zamieniono na spichrze i cyrkowe areny. Przy ołtarzu "nasz" ksiądz przygotowywał się do mszy świętej. Odwrócił się do zgromadzonych i spytał:

- "Który z panów mógłby mi pomóc, potrzebny mi jest ministrant".

Chwila ciszy i... wstał mój tato i zwyczajnie powiedział: "Ja".

Znów zdziwiłyśmy się. Od przybycia do Kotłasa ciągle coś wprawiało mnie w zdziwienie. Wielkimi oczami popatrzyłyśmy z Marysią na siebie. Tato ministrant? Tego jeszcze nie było. Była to prawdziwa niespodzianka. Dobrze pamiętałam niezadowolenie mamy, kiedy szykując się z nami do kościoła, sama musiała powozić, bo tato miał akurat w niedzielę coś bardzo "pilnego" do zrobienia.

Co innego Euzebiusz. On był ministrantem. Niezmiernie byłam szczęśliwa, gdy stojąc obok maminej ławki /nie mogłam długo usiedzieć, nudziłam się/ patrzyłam na mego kochanego "Iziunia", jak służy księdzu i uśmiecha się do nas ukradkiem. Ale tato?

Tato podszedł do księdza, coś poszeptali, obaj uśmiechali się i usłyszałam wyraźnie tatowe słowa:

- "Niech ksiądz będzie spokojny, znam całą mszę, wiem co po czym następuje". Znów się uśmiechnęli.

Obie omal nie pękłyśmy z dumy. Spoglądałyśmy na ludzi, a wzrok nasz mówił: "Widzicie, to nasz tato jest ministrantem". Nie miałam czasu na modlenie się, musiałam dawać do zrozumienia że tam z księdzem przy ołtarzu jest mój tato, ale zaliczam tę mszę do najpiękniejszej w moim życiu. W tym dniu kilka razy westchnęłam z wdzięcznością do Boga, że mam takiego tata. Sprawdziło się. Tato znał mszę: pięknie odpowiadał księdzu po łacinie, szarmancko kłaniał się przechodząc z jednej strony ołtarza na drugą. Intonował pieśni, a wierni podchwytywali je i śpiewali chórem. Pycha rozpierała mnie. Zaszeptałam do siedzącej obok mnie dziewczynki:

- "To mój tato" - ale ona nie zrozumiała i spytała:
- "Ksiądz?" - i zrobiła głupie oczy.
- "O, durna, masz grzech" - powiedziałam ze złością i odwróciłam się.

Po mszy chwyciliśmy tata za ręce, niech wszyscy wiedzą, że to nasz tato był ministrantem.

Póki byliśmy w szkole tato codziennie służył do mszy. Ksiądz zaprzyjaźnił się z tatem, a nas polubił i dbał o nas. Starał się, abyśmy częściej dostawali żywność i odzież. Osobiście przynosił lekarstwa Marysi i twardą czekoladę. "Ważny" delegat-Żyd wypisywał tyle, żeby nie umrzeć z głodu i nie być sytym. Ameryka nie skąpiła, a Polacy jedni drugim - bardzo.

Ksiądz Grabski posyłał nas do delegata. Mówił radośnie: "Byłem przed chwilą u delegata i mówiłem, że zaraz przyjdzie Marysia. Musicie się umyć i przebrać. Biegnijcie dziewczynki.

Biegliśmy do gabinetu delegata, a on z wymownym westchnieniem wypisywał kartkę do magazynu. Miły to on był tylko dla księdza i majora. Nie dla takich jak my.

Weszłam kiedyś z mamą, a delegat podniósł głowę z nad stołu i ryknął: "Puka się, to nie chlew". Mama zachnęła się, ale odpowiedziała mu, że nałapał amerykańskiego dobra i wydaje mu się, że jest kimś, zwykły domokrażca przedwojenny. U nas to był stał na kuchennych schodach i czapkował naszemu tacie. Mógłby być pośledniejszym parobkiem w naszym gospodarstwie, niczym więcej. Wyszliśmy. Mama więcej nie chodziła po kartki do delegata.

Czasami nie patrząc na nas, mówił: "Co, znowu wy po jedzenie?". Brałyśmy kartkę i już nie tak wesołe szłyśmy do magazynu, który pękał w szwach od darów amerykańskich. Tam tłusta i biała jak gęś panna Wandzia /zdążyła się już wypaść/ wybierała

co gorsze ciuchy i rzucała je na ladę z nieukrywaną pogardą. Kiedyś nadszedł tato i widział co panna Wandzia nam wydaje. Odsunął Marysię i cicho rozkazał: "Zabrać to, proszę!" - panna Wandzia drgnęła, spęslowiała i zaczęła ochać i ~~o~~chać, że jest tak zapracowana, że nie ma czasu na odpowiednie ułożenie i posegregowanie tego wszystkiego i że bardzo przeprasza, bo nie zauważyła, co daje. Teraz "znalazła" piękne swetry, skautowską sukienkę dla Marysi, sypką czekoladę, konserwy itd.

Tato budził respekt, a poza tym podobał się. Panna Wandzia była w "potrzebie" /jak mówiły kobiety/ i robiła słodkie oczy do przystojnych mężczyzn, a do taty szczególnie. Nie nawidziałam jej za to. Tatowi nie była w głowie panna Wandzia. Myślał o tym jak wydostać się stąd dalej.

"Ministrantowanie" stało się drugą naturą taty. Codziennie szedł na mszę i służył, gdyż ksiądz miał pełne ręce roboty. Zewsząd zjeżdżały Rosjanki z niemowlakami i nawet z większymi dziećmi /niemowląt u Polek nie było/ by chrzcić je. Kolejka z "chętными" przyjąć chrzest święty rosła. Tato zostawał ojcem chrzestnym co drugiego dziecka, jeżeli nie częściej. Opowiadał mamie o swoim powodzeniu i obydwójce śmiali się i żartowali. My cieszyliśmy się także, widząc pogodnych rodziców.

Było wiadomo, że to wielkie przyjmowanie "ducha świętego" wynikało przede wszystkim z tego, że po ochrzczeniu ksiądz wypisywał karteczkę i każdy nowy chrześcijanin "szedł" do panny Wandzi po ubranka, czekoladę, mleko w proszku i inne cuda, które ich matkom nawet przyśnić się nie mogły.

Dzieci tak "zapałyły" do wiary katolickiej, iż niektórym nie wystarczał już jeden chrzest. Chrzciły się po kilka razy, ponieważ matki odstępowały swoje maluchy innym kobietom.

Panna Wandzia rozpoznawała takiego podwójnego czy nawet po-

trójnego chrześcijanina i zrobiła wielki raban. Wpadło NKWD i kategorycznie zabroniło chrzczyć "sowieckich grażdian". Z tego powodu omal nie zamknęli księdza. Udało się go wybronić ale NKWD nie zapomniało o tym i czekało na sposobność, by księdzu Grabskiemu wypomnieć to...

Póki co Anders miał dobre notowania u Stalina i NKWD nie ruszało Polaków.

Po szkolnych korytarzach biegał w pięknym mundurze i złotych oficerkach postawny pan major /nie pamiętam nazwiska/. Tłum mężczyzn i młodych kobiet oblegał go stale, gdzie się tylko pojawił. Wszyscy chcieli być w Armii Andersa. Prócz szybko biegającego majora widziałam wolno chodzącego, z zagadkowym uśmiechem innego oficera. Nie wiedziałabym, że to oficer, nie nosił bowiem munduru. Na własne oczy widziałam, jak żołnierze salutowali mu i zwracali się per "panie pułkowniku". Był to dość młody, szczupły, wysoki i łysy mężczyzna. Chodził, patrzył, mało mówił, lecz armii nie organizował.

Kiedy potem zobaczyłam generała Berlinga tworzącego nową polską armię, byłam przekonana, że już go gdzieś widziałam. Przypomniałam sobie Kotłas. Miałam napisać do generała Berlinga i zapytać czy to on był wówczas w Kotłasie na przełomie marca-kwietnia w 1942 roku. Nie napisałam i nie dowiedziałam się. Znajomi historycy zaprzeczali. Twierdzili, że generał Berling nie był w Kotłasie.

Kto był tym pułkownikiem?

Przychodzili nędzarze, wylękli i zagubieni a po paru dniach, gdy zakładali mundury, zmieniały się sylwetki i twarze, stawali się prawdziwymi żołnierzami.

Tato wziął nas za rączki i też poszedł do majora. Z dumą trzymałyśmy tata i tuliłyśmy się do niego. Jako tako wyglądaly-

my. Już nie tak strasznie chciało nam się jeść, jak na Obłilu
czy w Czerewkowie i ubrane byliśmy nieźle. Te amerykańskie
paczki to było zbawienie dla nas Polaków, zaczęłam myć swoje
nowe ząbki. Po dwóch latach miałam szczoteczkę i bardzo smaczną
pastę. Nade wszystko lubiłam myć zęby i to mi pozostało.

Tato podawał majorowi dane swoje i nas wszystkich, a wtedy
major podniósł głowę i spojrział na mnie. Miał czarne oczy i
nos z garbkim. Był podobny do sępa. Gdy denerwował się z nosa
wydobywał się ostry świst.

- "A ten drobiazg to pana" - zagwizdał, wskazując na nas.
Tato kiwnął głową. - "A co z nimi będzie jak pan pójdzie do
wojska. Kto będzie je żywić? Ta mała - pokazał na mnie - nie
ma pewno sześciu lat. Wojsku nie są potrzebne dzieci lecz żoł-
nierze."

Chciałam krzyknąć, że już chodzę do szkoły, ale nie powie-
działam. Tato próbował coś wyjaśnić, lecz major nie słuchał.

Widziałam, że tato się stropił. Był zdenerwowany, nie wie-
dział co ma mówić. Pierwszy raz widziałam tata nieporadnego.
Czuł się nieswojo. Nie pamiętam co tato mówił, było mi smutno,
bałam się. Dziwna rzecz, pamiętam dokładnie każde słowo majora,
a tatowych odpowiedzi nie pamiętam. Nigdy ich sobie nie przy-
pomniałam.

Tato wrócił i razem z mamą głośno zastanawiali się co bę-
dzie dalej, co zrobić, by jednak tata przyjęto do wojska. Oka-
zało się, że kto miał starsze dzieci był przyjmowany. Mama bar-
dzo posmutniała i niewiele mówiła. Obok nas leżał na pryczy sa-
motny pan doktor. Słyszał rozmowę rodziców i poradził, aby
pododawać lata dzieciom, tak robią Polacy, by wyrwać się stąd.
Tym razem tato poszedł bez nas do majora. Wrócił mniej smutny
niż poprzednio, miał obiecać, że będzie przyjęty w drugiej

turze, na razie bowiem przerywa się zapisy. Eszelon już wypełniony i jedzie do Taszkientu. Ogłoszono komunikat, że wszyscy, którzy czekają na następne zapisy muszą się przenieść na Bołtinkę, miejscowości oddalonej o 4 km od Kotłasa, gdzie znajdują pracę na birży przy przeróbce drzewa i zakwaterowanie w barakach.

Z bólem serca szliśmy na Bołtinkę znów do wspólnych baraków, brudu, karaluchów i ciężkiej roboty.

Powrót do Polski odwlekał się.

Podeszliśmy do wagonów wypełnionych po brzegi tymi, którym udało się i wyjeżdżają... Machaliśmy do nich rękami, oni się śmiali, a myśmy płakali. Oni jadą do Polski, a my wlecjemy się na Bołtinę, dokoła której, jak okiem sięgnąć, widniały łagry. Mijaliśmy wysokie kolczaste ogrodzenia i drewniane pomosty zakończone co kilkanaście metrów wartowniczą budką. Stały wysoko ponad drutami, jakby na kurzej łapce. Rozległy widok mieli przed oczyma striełki. W pobliżu ani jednego drzewa, tylko las... łagrów. Od Kotłasa po Bołtinkę, Mono, Limendę ciągnęły się łagry. Długie, ustawione w czworoboki baraki, pomosty, stróżówki i druty kolczaste i dalej znów to samo: druty... jak w zaklętej bajce. Te ponure widoki nie wróżyły dla nas niczego dobrego.

- "Ależ oni kochają ten ustrój" - szepnął tato. Bołtinka przedstawiała się paskudnie. Był kwiecień i wiosna topiła brudne śniegi, z pod których ukazywały się wyszczerbione drewniane chodniki. Nogami miesiliśmy ciężkie błoto. Striełki pędzili do roboty szarych ludzi w drewnianych sabotach. Szli przed siebie jak pędzone stado. Panowała ponura cisza. Zakluczonym nie wolno było rozmawiać w szeregach. Słyszeliśmy jedynie stukot drewniaków o kolejowe podkłady.

My także dobrnęliśmy do naszego kolejnego przystanku. Tutaj też były baraki i drewniane pomosty. Zwisaly i walały się zerwane kolczaste druty. Wartowników i ich budek nie było, poprzewracane leżały w błocie. Z tych łagrów przesiedlono estońskich oficerów w okolice Czerewkowa, gdzie swego czasu masowo ich spotykaliśmy. Robiono tutaj miejsce dla Polaków. Polacy odrazu zerwali druty i zrzucili z „kurzych” łapek stróżówki.

Weszliśmy do obskurnego baraku i zajęliśmy pryczę w przechodniej sali. Było już kilka rodzin, niektóre prycze świeciły pustką. W sali nie było ani pieca, ani płyty. Niemożliwe było ugotowanie czegokolwiek.

Cisi usiedliśmy na deskach. Z pod okna uśmiechała się do nas stara Żydówka z dwojgiem dzieci Mońkiem i Felą. Pewno nie była stara lecz bez zębów, poorana zmarszczkami - wyglądała jak staruszka. Moniek był w wieku Emila, a Fela młodsza ode mnie.

Nie miałam już kotłarskiej radości, a nadzieja na powrót do domu gdzieś się rozviała. Było mi smutno i jakoś strasznie.

Ksiądz Grabski obiecywał nas odwiedzać i kazał nam przychodzić do siebie ile razy będziemy czegoś potrzebowali, ale wesoło mi nie było. Najgorsze wydawało mi się to, że smutni i przygnębieni byli rodzice.

Prawie wszystkie baraki zajmowali Polacy i Żydzi. Nie wiedziałam skąd się wzięło tylu Żydów tutaj. Nie spotkaliśmy ich ani w pociągach gdy nas wieziono na Sybir, ani na Obilu.

Potem jedna Żydówka, pani Gucia, sympatyczna i miła, niedoszła pani doktor, stawiając mamie bańki przyznała się, że wyjeżdżali dobrowolnie budować Komsomolsk na Syberii. Byli komunistami, wierzyli w Stalina. Ich komunistyczne idee nie przydały się tutaj. Przywitały ich mróz, głód, praca nie na

ich siły, prześladowania i więzienia. Jak sama mówiła, większość z nich wymarła. Z rodziny pani Guci umarli ojciec, matka i dwóch braci i jej mąż. Przy życiu została tylko ona. A teraz zdziesiątkowani marzą o powrocie do Polski. Inni Żydzi uciekali przed niemiecką nawałą i też jak my, zostali wywiezieni. Na Bóltince nie spotkaliśmy nikogo z naszej osady. Z Obila byli Herbowie i mniej znani mi Polacy.

Tato poszedł do pracy i aby otrzymać zaliczkę i chleb "wstecz", pracował dwie zmiany bez przerwy. Widocznie taki panował zwyczaj. Na birży praca okazała się katorżnicza dla taty, a płaca prawie żadna. Bardzo szybko poczuł się źle. Odezwała się niezoperowana przepuklina.

Znów byliśmy głodni. Gotowana w stołówce bóltuszka nie nadawała się do zjedzenia. Była to szara, zagęszczona mąką, kleista masa. To co otrzymywaliśmy z delegatury, od "mężów zaufania" wydawało się kroplą w morzu na nasze wygłodzone żołądki.

Delegat i "mężowie zaufania" nie byli podobni nawet do Polaków z Obila. Przekonałam się jak bardzo potrafimy nienawidzić się nawzajem. W niedoli jednoczymy się tylko na początku, potem każdy układa sobie życie jak mu wygodniej. Ci, co byli syści i mieli dostęp do amerykańskich "dóbr" pogardzali głodnymi.

Lubimy piękne pogrzeby /oczywiście obcych/ i wspólne modły. Wtedy jesteśmy zjednoczeni i dobrzy, choć do nieba brać, lecz po wzniosłych chwilach wyłazi z nas pycha i bezprzedmiotowa zawiść. Dzielimy się na wywyższonych i poniżonych. W Kotłasiu wyraźnie zarysował się podział Polaków na tych, co dają i na tych co proszą. Od dobrej woli delegata i jego pracowników zależało co i ile komu dać. Nikt ich nie kontrolował ani nie rozliczał. Dary UNRRA traktowali jak swoją własność i wydzielali jak z własnej kieszeni.

Stawałam z boku i obserwowałam zabiedzone samotne matki z garstką dzieci. Pokornie czekały na pannę Wandzię aż raczy przyjąć i wydać to co się jej będzie podobało i wpisać również to co będzie chciała.

Panna Wandzia, dając rzeczy wydymała z pogardą umalowane amerykańską szminką usteczka i mówiła: "a nie sprzedawać tego od razu, tylko nosić, bo za dwa dni znów przyjdziecie żebrać". Była wyjątkowo wredna.

Mieliśmy trochę szczęścia, że nas polubił ksiądz Grabski i kiedy dostawaliśmy karteczkę do magazynu, siedł z nami i patrzył co panna Wandzia pakuje.

Z tych wszystkich Polaków, których tam spotkałam to tylko księdza Grabskiego i panią Główkową chciałabym zobaczyć, aby móc pokłonić się im do ziemi i ucałować ich ręce za to co dla nas zrobili. Byłam wtedy zbyt mała aby docenić ich szlachetność i bezinteresowność, a potem nigdy więcej nie zeszły się nasze drogi.

Mimo wszystko paczki UNRRA uratowały nas od głodowej śmierci i ulżyły nieco naszej doli.

Tato znów stawał się przygnębiony. Nastał już maj a zawiadomienie o wcieleniu do armii nie przychodziło. Tato chorował i zamartwiał się. Miał złe sny i przecucia. Po nocach męczyła go gorączka i bóle brzucha. Znów pojawiły się nocne zjawy, lecz "Czarna Pani" już nigdy nie przyszła, a Estończycy co noc przychodzili, siadali na skraju pryczy i kiwali na tata długimi i suchymi palcami, żeby się zbierał i siedł z nimi, i uśmiechali się wyszczerzonymi trupimi zębami. To znów chwyтали tate ręce i ciągnęli tata poprzez rów do siebie. Tato zapierał się piętami, natęzał z całej mocy i siadał wyrwany z koszmarnego snu. Nie kładł się, cały zlany potem, spać, bo sen prze-

stał być dla niego wypoczynkiem. Z kąta patrzyły na tata niebieskie oczy Estończyka - przyjaciela.

Mama widziała tatowe męczarnie lecz nie widziała wyjścia. Przecież teraz tato modlił się i chodził do kaplicy, służył do mszy, a koszmary nie opuszczały go. Nie mogła rzucić mu w twarz, jak wówczas w Czerewkowie: "pomódl się". Tato modlił się za nas wszystkich.

Niepokój tata udzielił się nam także, a najbardziej mnie. Często w środku nocy budziłam krzykiem i płaczem cały barak, bo śniło mi się, że tato umarł. Te sny powtarzały się. W takich chwilach tato brał mnie na ręce i powtarzał: "nie płacz maleńka, żyję jeszcze". Pewnego razu usłyszałam jak mówił do mamy: "Dowieź dzieci do domu, ja pewno tutaj zostanę, to dziecko ma prorocze sny /poszło to od tego, gdy przyśniły mi się białe orły na Obilu i wkrótce potem dowiedzieliśmy się o tworzeniu Armii Andersa/. Mama płakała i zapewniała tata, że wszyscy wrócimy, ale tato smutnie przeczył.

Pewnego ranka powiedział: "Śniło mi się dzisiaj, że kosiłem żyto i śpieszyłem się, bo słońce zachodziło, ale nie zdążyłem, słońce obejrzało się i zgasło. Moje życie też już zgasło". Z każdym dniem coraz gorzej się czuł. Z powodu przepukliny nie mógł ciężko pracować. Barak był pełen ludzi i dzieci, nie było mowy o wypoczynku czy odprężeniu.

Kiedyś rzekę przypłynęło zboże i trzeba było je natychmiast wyładować. Dyrektor rozesłał gońców do baraków, by zwołali chętnych. Wynagrodzenie miało być podwójne i dodatkowy "pajok" chleba.

Tato ledwo położył się po całodzienniej pracy na birży, a był chory i zmęczony, ale jak spojrział na nasze "głodne" oczy, ubrał się i poszedł na całą noc do wygruzania barki. Nad ranem, pra-

wie nieprzytomnego tata przyprowadzili do baraku. Zerwałam się i pobiegłam po lekarza. Był to doktor jeszcze z dawnych dobrych czasów, który znał swoje powołanie. Bez słowa przyszedł ze mną. Obejrzał tata i natychmiast dał skierowanie do szpitala. Dyrektor cenił tata, przysłał konia z tielegą i powiozła mama tata do "bolnicy". W połowie drogi między Bółtinką a Kotłasem stał cały kompleks zabudowań szpitalnych. Teraz leczyli tam swoje rany bohaterowie wojny ojczyźnianej. Lekarz dyżurny stwierdził tyfus plamisty. Położono nieprzytomnego tata do izolatki bez pomocy, lekarstw i bliskich. Nikomu nie przyszło do głowy zbadać tata powtórnie. Co ich obchodził chory Polak, skoro bez żadnej pomocy masowo umierali krasnoarmiejcy.

Po Bółtince od razu rozniosła się plotka o rzekomym tyfusie plamistym u tata. Nim wróciliśmy ze szpitala wszyscy Polacy uciekli z naszej połowy. Marysia leżała chora, trzęsła nią malaria, a jeden z Polaków zabijał deskami wejście od nas do nich. Walił toporem w deski aż głowa pękała. "Odgrodzili" się od tyfusu. Z nami została Lewkowiczowa z Mońkiem i Felą. Zdziwiona mama spytała czemu nie poszła z innymi. Odpowiedziała: "Bóg jest jeden i pełen litości"...

Patrzyłam na zachowanie Polaków i złość we mnie wzbierała. Przysięgłam, że kiedyś odplacę im to, niech tylko tato wróci...

Nie byłam już "pańskim dzieckiem", miłym, delikatnym, stawałam się "szpaną". Bez tata zrobiło się strasznie i smutno. Boso pobiegłam do Kotłasa, do majora i księdza, aby powiadomić ich co się u nas stało. Myślałam sobie, że oni są w stanie uratować mojego tata. To przecież mój tato zachorował, tato żywiciel, tato mądrość, tato obrońca nagle wziął i zachorował i to tak, że nie wie co się z nim dzieje ani gdzie jest. Muszą

go uratować!

Majora spotkałam na korytarzu, jak zwykle dokądś się śpieszył, powiedziałam mu: "tato w szpitalu", a on pogłaskał mnie po głowie i odpowiedział: "dobrze moje dziecko, dobrze" - i gwizdząc przez nos poleciał dalej.

Spłakana poszłam szukać księdza. Był w kaplicy. Poznał, że coś się stało. Podbiegł do mnie, wziął na ręce i spytał: "mamusia?". - "Nie,,tato w szpitalu" - wydusiłam z siebie szlochając - "jest bardzo chory, nieprzytomny" - płakałam. Ksiądz pozwolił mi wypłakać się na jego mundur. Obiecał, że natychmiast odwiedzi tata i dowie się od lekarza o wszystkim. Akurat przechodziła siostra Mossakowska, polecił jej wziąć dobre jedzenie i przygotować się do pójścia do szpitala razem z nim.

Zaprowadziłam ich do pawilonu, gdzie leżał tato. Poszli do lekarza, a ja pobiegłam by wspiąć się na występ muru i zajrzeć przez okratowane okno do środka izolatki. Zobaczyłam tata leżącego na boku w bieliźnie i trzymającego złożone ręce między kolanami. Zapukałam, lecz nie reagował. Znow zapukałam, tato drgnął i spojrział w okienko. Poznał mnie, uśmiechnął się, chciał wstać, lecz nie miał siły. Drzwi otworzyły się i weszli ksiądz, siostra i lekarz. Mnie kazali iść do mamy. Ksiądz zostawił tacie modlitewnik wydawany ^{je}wówczas dla Polaków w Związku Radzieckim.

Codziennie odwiedzałam tata. Był maj, było pięknie, ciepło, zielono, ale w mojej małej duszy był mrok i głęboki smutek. Widziałam ile ludzi umierało dokoła, ale to byli inni ludzie, a nie nasz tato, czy mama. To byli moi rodzice i oni nie mogli umrzeć - myślałam smutnie.

Zawsze widziałam tata leżącego w tej samej pozycji. Miał zgięte kolana, leżał na boku i nie był przykryty. Lufcika nig-

dy nikt nie uchylał. Widocznie było duszno i gorąco mojemu tatowi. Pewno pielęgniarki bały się wypuścić tyfus z izolatki. Trwogą napawało mnie to zakratowane od wewnątrz okienko. Podejrzewam, że ta klitka przeznaczona była dla chorych więźniów, bo w innych oknach nie było krat.

Wspinałam się na wystający murek i zaglądałam do tata. Pukałam w szybkę. Tato unosił głowę, spoglądał w okno i blado uśmiechał się do mnie. Brał w dwa palce jakieś ciasto /pewno od siostry Mossakowskiej/ i szukał sposobu podania mi go. Okno jednak było zabite na głucho. Widziałam, jak bardzo tato jest chory i wycieńczony. Zupełnie nie miał siły. Powoli spuszczał z żelaznego łóżka najpierw jedną nogę, a potem drugą. Z olbrzymim wysiłkiem podnosił się. Trzymając się szafki podchodził do okna i patrzył na mnie. Chwytał się krat. Nie mogłam poznać mojego tata. Był blado-siny i chudy jak szkielet. Mówił powoli i z widocznym wysiłkiem. Każdy ruch męczył go bardzo. Nieswoim głosem skarżył się, że jest mu duszno, a okna zabite, że męczy go gorączka i czkawka, że nie może jeść ani oddychać. Otwierał szafkę i pokazywał, ile ma jedzenia, a nie ma jak przekazać go nam. Upadł z wyczerpania, a ja widziałam jak znowu wstrząsa nim czkawka.

W domu opowiedziałam mamie o tym, jakiego zobaczyłam tata. Płakałam, bo nie mogłam dopuścić tej myśli do siebie, że tato może umrzeć. Mama przygotowała słodkie picie i kazała abym podała siostrze, niech tato pije, może to przerwie tę śmiertelną czkawkę. Marysią ciągle trzęsła malaria i nie mogła ze mną pójść do tata. Gienio leżał, a Emil i mama pracowali.

Znów wspięłam się na murek i zajrzałam w okienko. Tato siedział i coś pisał w swoim modlitewniku - podarunku od księdza Grabskiego. Ręka mu się trzęsła, ołówek wypadał, a tato

wolno przyciągał go nogą. Zapukałam. Tato spojrział na mnie bezgranicznie smutnymi oczami. Nie bardzo wiedział kto do niego puka. Wstał, chwycił się kraty, przyciskał głowę do niej i płakał. Przytuliłam twarz do okna, a tato pochylił się i całował kratę. "Tato, tato, kochany" - płakałam.

Z urywanych i nieskładnych zdań zrozumiałam, że mamy opiekować się mamą, bo jest wątła i delikatna, musimy żyć godnie. Przytulona do szyby szlochałam głośno, a tato słał się z wysiłku, siadał na podłogę, a potem nieporadnie próbował podnieść się i znów padał. Krzyczałam do okna: "tato, tato" ale nie reagował. Nigdy nie było żadnej pielęgniarki u niego. Ile razy stałam pod oknem zawsze był sam jak więzień w celi. Po chwili wstał i wyprostował się. Wydał mi się bardzo wysoki i niesamowity, jak Wernyhora /o którym nam opowiadał i ja wyobrażałam go sobie bardzo wysokiego, chudego, w białej bieliźnie z rozwianą brodą i włosami/. Nie wierzyłam, że to mój tato. Był jakiś obcy, nie był podobny do mojego kochanego taty. Tato odpoczął i prosił abym sprowadziła księdza, bo bardzo chce się z nim zobaczyć, no i niech jak najszybciej przyjdzie mama, w ogóle niech przyjdą wszyscy odwiedzić go.

Pobiegłam do Kotłasa i powtórzyłam księdzu tatową prośbę. Obiecał mi, że natychmiast pójdzie, powiedział mi abym uspokoiła mamę, bo tato nie ma tyfusu. Plamy już ustąpiły, były od pasów, którymi podtrzymywał przepuklinę. Smutna i spłakana powlokłam się nogą za nogą na Bołtinkę. Mama i Emil byli już po pracy. Marysia i Gienio leżeli. Byłam zła i milcząca. Nie powtórzyłam mamie tatowej prośby. Mama wypytywała mnie o taty, czy spadła mu gorączka, czy czkawka ustąpiła, co mówił, czy o coś prosił, ale ja byłam zacięta i nadąsana. Odpowiadałam głupio i półszówkami. Wcale nie powiedziałam, że tato prosił

aby mama natychmiast przyszła. Powiedziałam, że tato chciał widzieć księdza i że ksiądz obiecał mi, że dzisiaj pod wieczór pójdą z siostrą Mossakowską. Jakoś nie przeszło mi przez usta to, że tato chciał mamę widzieć natychmiast. Mama powiedziała, że pójdzie we czwartek, bo to dzień odwiedzin i lekarz nas napewno wpuści, skoro to nie tyfus. "Ale dlaczego tata nie przenoszą do innej sali" - dziwiła się.

Następnego dnia znów pobiegłam odwiedzić tata. Moje nieczyste sumienie nie dawało mi spokoju. Wskoczyłam na murek i spojrziałam... Serce we mnie zamarło. Tato leżał na wznak, przykryty czarną płachtą po samą szyję. Zawsze leżał na boku i odkryty. Teraz był wyprostowany i oczy miał zamknięte. Podniosłam rękę, by zastukać w szybkę i nie zrobiłam tego. Ręka moja jakby zamarła w powietrzu. Galopem pobiegłam z powrotem na Białinkę. Marysia siedziała ubrana na pryczy i czekała na mnie. Była poważna. Kazałam jej iść do szpitala, bo tato leży nie tak jak zwykle, nie patrzy i jest jakiś dziwny. Poszłyśmy obie. Odrazu pobiegłam do tatowego okna, a ona szukała pielęgniarki, by pozwoliła jej wejść do tata. Spojrzałam i zeszywniałam. Łóżko było puste, bez tata i bez pościeli tylko brudny materac został. Błyskawicznie wpadłam na korytarz, szukałam jakiejś pielęgniarki. Zobaczyłam siedzącą na oknie i flirtującą z żołnierzem opartym na kuli. Śmiali się głośno, byli zajęci sobą. Spytałam - "Gdzie jest Tais?". Ona nie patrząc na mnie odpowiedziała: "Kakoj tiebie Tais, on dawno pomier". Zemdlałam. Obydwoje, pielęgniarka i żołnierz cucili mnie na schodach, a Marysia klęczała przy mnie i płakała. Pielęgniarka przeproszała mnie i całowała. Dała mi się napić czegoś i poszłyśmy, płacząc głośno, do mamy. Była to środa 26 maja 1942 roku. W ogrodzie dookoła pawilonów siedzieli, leżeli i chodzili ranni żołnierze.

Któryś zawołał: "Dziewoczki o czym płaczecie" - odpowiedziałyśmy: "Papa nam pomier". "Nie płaczcie, budiet drugoj" i wszyscy głośno zaśmiali się. Pokazałam im język i przestałam płakać. Mamę znalazłyśmy na birży i płacząc mówiłyśmy, że tato umarł i nie ma go w izolatce. Mama usiadła, objęła rękami głowę i coś szeptała. Podniosła głowę i patrząc na mnie spytała: "Czemuś nie powiedziała wczoraj, że tato tak bardzo źle się czuje, czemu". Nie umiałam wytłumaczenia. Stałam i płakałam, pragnęłam aby mama mnie zabiła. Nienawidziłam siebie, ale nic nie mogłam poradzić, niczego zmienić. Chciałam wszystko zatrzymać, wszystko odmienić, ale jak?

Tato już nie żył. Widziałam rozpacz mamy, płacz i przerażenie Emila i Marysi, ale nie mogłam zmienić niczego. Tata już nie było. Mój kochany tato nie żył, zostawił nas i umarł sam jeden, jedyny w zakratowanej celi. Przez moją głupotę nikogo z nas nie zobaczył, nie pożegnał się, nie powiedział, nie poradził niczego. "Boże, Boże, dlaczego jestem taka głupia, co ja narobiłam?" - szlochałam i rozpaczałam.

Chciałam coś zrobić, zmienić coś... Pobiegłam do księdza. Bez pukania zaglądałam do klas. W końcu znalazłam wszystkich trzech: księdza, majora i delegata. Rzuciłam się do księdza z krzykiem, że tato nie żyje. On zapewniał mnie, że to niemożliwe, że był wczoraj u tata, że tato lepiej się czuł niż kilka dni temu, gdy byli z siostrą, ale ja trzęsłam się i wołałam: "Tato nie żyje, tato nie żyje".

- "No i co pan na to, panie majorze" - zwrócił się z wyrzutem ksiądz do majora.- "Kto zajmie się teraz tym "drobiazgiem?"

- "Panno Wandziu - zaświatał major podając jej jakąś kartkę - proszę, oto moja kartka, proszę dać mój przydział dzieciom Taisa".

- "Panie majorze, tu nie o to chodzi, pytam co będzie dalej z sierotami i schorowaną matką" - powiedział ksiądz z wyrzutem.

Panna Wandzia przytuliła mnie nawet i poszliśmy do magazynu. Ksiądz wybrał ubranie dla tata i kazał zapakować."

- "Powiedz mamie, że ja zajmę się pogrzebem, niech o nic się nie troszczy. To niemożliwe" - szepnął do siebie.

To nie tylko było niemożliwe, to już się stało. Mój tato umarł. Kto nas będzie żywić i bronić, jak tata już nie ma? Z kim wrócimy do Polski, jak będzie na osadzie bez tata, jak to w ogóle będzie bez tata i co znaczy, że tato umarł?. O tym myślałam ja, ośmioletnia dziewczynka, gdy wracałam na Bøltinkę do pustego baraku. Nie mogłam wyobrazić sobie tego, że nigdy nie weźmie ^{mnie} mój tato na kolana, że nie zaśpiewa mi marsza "Legiony to...", że nie powie do mnie "śpij dobrze, moja małeńka". Tato, tato kochany, dlaczego taki silny, wspaniały tato umarł, zawsze był zdrowy i nagle umarł, a my wiecznie chore, zagłodzone, obdarte i brudne, mdlejące z wycieńczenia - żyjemy. Jak to możliwe? Dziesiątki razy zadawałam sobie to pytanie i nie znajdowałam odpowiedzi. Głucho stukałam bosymi piętami po podkładach kolejowych i płakałam. Biegłam do... pustki.

W baraku było smutno i ponuro. Na dworze pochłodziło i kropił deszcz. Byliśmy jakby w półśnie. Żadne z nas nic nie mówiło. Nikt się do mnie nie uśmiechnął, nie spojrział nawet...

Rano wzięła mama ubranie dla tata i poszliśmy do szpitala. Był czwartek. Czwartek, który nie powinien być, bo we wtorek byłam pusta i głupia i nie zachowałam się jak tatowa córka. Nie powiedziałam do mamy, żeby szła natychmiast do tata, a nie w czwartek. Czwartek nie był potrzebny. Szliśmy w milczeniu. Każde z nas zaglądało w siebie, w swoją duszę i sumienie.

Przez całą drogę myślałam, że kiedy przyjdziemy do szpitala dowiemy się, że to była pomyłka, że nasz tato nie umarł, tato żyje...

Na pytanie mamy, gdzie jest ciało tata, jakaś niemiła sprzątaczką machnęła ręką w kierunku bliźniaczych długich baraków i poszła w drugą stronę. Pobiegłam i zaglądałam w niskoosadzone brudne okna pierwszego baraku. Odskokczyłam z przerażeniem i białą twarzą. Było to prosektorium. Ciała leżały byle jak i byle gdzie, wszystkie nagie w powykręcanych, pokraccznych pozach. Na stole zobaczyłam młodą kobietę z rozciętym brzuchem i jakby przywiązany do niej noworodkiem. To pępowina nie była odcięta. Dziecko "patrzyło" właśnie w to okno, w które ja zajrzałam, bardzo niebieskimi oczkami. Otrząsnęłam się ze zgrozą. Drżałam jak zerwany liść. Każdy barak, do którego zaglądaliśmy wypełniony był trupami. W jednym były tylko ciała kobiet, w innych mężczyźni. Wszyscy nadzy, rzućeni na podłogi i półki. Tutaj nie było koedukacji. Tata nie dojrzeliśmy nigdzie. Otworzyła mama jeszcze jedne drzwi. Omal nie zemdlałam od tego, co zobaczyłam.

Cały długi barak od podłogi po sufit zawałony był męskimi trupami. Nagie, z otwartymi oczami i ustami, z zastygłym na martwych twarzach przerażeniem i bólem, wyglądali strasznie. Niektórzy trzymali ręce ^{tak} jakby w ostatnim tchnieniu swego życia zasłaniaли oczy przed koszmarem jaki ujrzeli. Na ten widok Emil zaczął wymiotować i nie wszedł z mamą do środka by przekładać ciała i szukać naszego tata. Usiadł i płakał.

Znów zrobiło się gorąco i rozkład ciał był nie do zniesienia. Nie można było wytrzymać wewnątrz dłużej niż parę sekund. Czarne olbrzymie, pełzające po trupach muchy dopełniały koszmarnego widoku.

Mama z Marysią przekładały umarłych i zaglądały im w twarze. Boże, tego nie da się opisać. Te otwarte zastygłe w ostatniej skardze usta, te z przerażeniem "patrzące" oczy, męczyły mnie dziesiątki lat...

Również nie mogłam wejść do trupiarni. Upadłam twarzą na wydeptaną trawę i leżałam bez ruchu. Od czasu do czasu wstrząsał mną dreszcz grozy i przerażenia. "Boże - myślałam - przecież tato umarł wczoraj, a już jest tyloma trupami przywalony, tutaj nie leczy się, tu się wyłącznie umiera. Uraz do szpitali pozostał.

Nareszcie, po długim szukaniu, znalazła mama naszego tata. Wyciągnęły go ze sterty ciał i ułożyły przed trupiarnią. Mama ubierała tata i cicho płakała. Marysia klęczała przed nagim ciałem tata, zakryła twarz rękami i spazmatycznie szłochała.

Podniosłam się, usiadłam na piętach i patrzyłam na obojętnego na naszą rozpacz - mojego tata. Miał zdarty naskórek na policzku, przedramieniu i plecach. Mama powiedziała: "Pewno jak zrzucali go z noszy" i pogłaskała tatowy policzek. Marysia ciągle płakała.

Tato był sinawy, ale pogodny, stawy były giętkie; rękę zginały się i nie było żadnych trudności z ubraniem tata.

Pomyślałam sobie, że pewno tato jest w letargu i powiedziałam to mamie /znałam to słowo z bardzo pięknej baśni/, ale mama zaprzeczyła.

Przyjechał ksiądz Grabski z kapralem, przywieźli trumnę. Złożyli naszego tata do trumny i ksiądz zaczął głośno pacierz. Nie powtarzałam za księdzem. Patrzyłam na tata i myślałam, że teraz już nie służy do mszy, nie pomaga księdzu, leży obojętny i nie wiem czy go to obchodzi, że nad nim modlimy się i płaczemy.

Zakryłam twarz i w duchu błagałam Boga, by tato ożył. Obiecowałam poprawę, że nie będę kraść ani kląć i będę zawsze dobra, mogę nawet iść do zakonu, niech tylko tato wstanie, niech nie leży taki obojętny i obcy. Boże, był zawsze taki czuły i dobry, dla swoich córeczek, a teraz nic go nie obchodzimy. "Tato, tato" - szeptałam.

Powieźli tata w przeciwną stronę od Bołtinki na Limendę. Ksiądz dotrzymał słowa. Wszystkim się zajął, wszystko załatwił. Gdyby nie ksiądz Grabski nie mam pojęcia jakby to było. Mama była całkowicie zdruzgotana i zrezygnowana, my mali, a tato umarł.

Zresztą mama przyzwyczajona była, że wszystkie urzędowe sprawy załatwiał zawsze tato. W urzędach była nieporadna i zagubiona, ale przecież nie mógł tato załatwić sobie własnego pogrzebu.

Ksiądz modlił się nad grobem. Poświęcił ziemię, a my staliśmy i patrzyli, jak lecą grudki na trumnę, jak wkopują biały sosnowy krzyż i usypują żółty kopiec - i nie było już tata. Deszczyk znów zaczął rosić. Ksiądz podszedł do mamy składał kondolencje i płakał... Powiedział: "Pan Tais był moim przyjacielem" - i znów rozpaczliwie płakaliśmy.

Nigdy więcej nie byłam na grobie naszego tata. Nie mam zdjęć tata, nie mam żadnych pamiątek, większa część została na osadzie na Wołyniu, dużo utonęło z kufrem. Resztę pamiątek kazano oddać mamie na granicy, gdy w 1946 roku wracała do Polski.

Nie wiem dlaczego włożyła mama tatowy modlitewnik do trumny. Tam tato pisał swoją ostatnią wolę, gdy odzyskiwał świadomość w szpitalu. Pewnie chciała, aby miał coś polskiego ze sobą, bo przecież nie wróci do Polski. Byłam zbyt mała aby za-

stanawiać się nad tym co mama zrobiła. Tato mówił mi, że to jest ważne, kiedy pisał, a ja nie powiedziałam o tym mamie. Emil załamał się, Gienio był chory, mama zrozpaczona, Marysia nie wiedziała o tym, a ja mała i głupia. Wszystko więc co miał tato ze sobą w szpitalu poszło z nim do grobu. Nie zostało. Zostaliśmy sami, bezradni i opuszczeni. Mama od razu zachorowała na obustronne zapalenie płuc. Byliśmy głodni i bez żadnych środków do życia. Marysię co jakiś czas trzęsła malaria, Gienio nie nadawał się do pracy, a Emil nie mógł wszystkich wyżywić, miał 14 lat zaledwie, był mały i zabiedzony.

Lekarz zalecał dobre odżywianie dla mamy. Biegałam do Kotłasa i za ostatnie kopiejki kupowałam na bazarze mleko dla mamy. Wtedy zamieszkała z nami nowa, dopiero co przybyła z Syberii polska rodzina państwa Główków. Pani Główkowa i ksiądz Grabski, to najszlachetniejsi ludzie jakich w swoim życiu spotkałam.

Pamiętam ją drobną i szczupłą zawsze pogodną i życzliwą dla naszej chorej mamy. Miała dwoje starszych ode mnie dzieci i malutką, może półtoraroczną Renię. Siedziało to maleństwo na pryczy, kiwało się w przód i w tył, trzymało skórkę chleba w rączce i wołało: "Mocić papu, mocić papu". Julek, jej starszy brat moczył skórkę w wodzie i podawał dziecku. Dziecko przestawało płakać, smoktało skórkę i uśmiechało się swoją zabiedzoną, bezzębną buzią. Biedna malutka, była rachityczna, chora i ciągle głodna, jak my. Pani Główkowa nie pracowała, zajmowała się Renią i naszą mamą. Jej zawdzięczamy, że mama nie umarła od razu po tacie. Gotowała to, co miała i dawała naszej mamie i swemu dziecku. Stawiała mamie bańki i czuwała w nocy, aby mama nie odkrywała się, przyprowadziła lekarza i pokazując nas mówiła: "Piotr Piotrowicz niech pan

uratuje matkę tym dzieciom". Nigdy jej nie spotkałam i nigdy niczym nie odwdzięczyłam się, choć to co zrobiła dla nas nie ma zapłaty, musiałabym postawić pomnik ze złota jej wielkości...

Piotr Piotrowicz, doktor z dawnych dobrych lat, kiedy przysięga Hipokratesa była jeszcze przestrzegana, przychodził do mamy, siadał na pryczy i uważnie badał mamę. Był to nadzwyczaj kulturalny i miły starszy pan. Leczył tym, co miał, a przede wszystkim dobrym słowem. Przychodził nie wzywany, po ciężkim dniu pracy, napewno głodny i nie spodziewający się niczego od nas, bo nic nie mieliśmy, aby go poczęstować. Radził jakie mama powinna pić zioła i kazał nam obowiązkowo zbierać podbiał i zaparzać go mamie. Znał tata i szczerze go żałował, współczuł mamie i nam z całej swojej szlachetnej duszy

Pewnego razu przyszedł z kilkoma rumiankami w ręce. Był poważny, uroczysty. Dając kwiatki mamie powiedział: "gdy wyschną, niech pani Stefania Francewna, wypije je za mnie".

Mama podniosła brwi i o nic nie spytała. Doktor upukał mamę i poradził co ma robić dalej, bo on idzie na front. "Pewno jest bardzo źle z naszą "doblesnoj" skoro takich "starików" jak ja biorą bronić ojczyzny" - zaśmiał się. Opowiadał o sobie, o swojej starej rodzinie, o tym, że Bołtinka nie jest jego miejscem urodzenia, ale że Sybir "lubi" ich, bo poczynając od carycy Elizawiey Pietrowny ciągle byli zsyłani na Sybir, a potem ułaskawiani i że trwa to już całe wieki. Z czasem przyzwyczaiła się rodzina do huśtawki: zesłanie - ułaskawienie, zesłanie - ułaskawienie, zesłanie... i tak zostało.

- "Kiedy urodziłem się, rodzice byli w łaskach przy carze, ojciec piastował wysoki urząd, ja kształciłem się w uniwersytetach świata, a potem była rewolucja, socjalistyczna rewolucja

- dodawał z uśmiechem - a po niej... Sybit i Bołtinka, doży-
wotnio. Ci, których nie rozstrzelano, zginęli tutaj od...
pani wie, z czego tutaj umierają ludzie. Swoje wyniesienie
zawdzięczamy Piotrowi I. Stąd każdy pierworodny na imię miał
Piotr. To tradycja. A mój Pietia pogib... nie będzie już Piot-
ra w rodzinie. Niech pani już więcej nie płacze, bo wypłacze
pani swoje oczy. Tak już bywało. Wróci pani do ojczyzny i za-
pomni. Ja idę na front leczyć bohaterów i może przydam się
mojej ojczyźnie, bo to jest moja ojczyzna. Odtąd będzie panią
leczyć jakiś konował, niech pani pamięta o moich radach".
Pocałował mamę w rękę i uśmiechając się do mnie, wyszedł. Po-
dziwiałam go, za tyle nieszczęść, powiedzieć..."to jest moja
ojczyzna".

Tymczasem ksiądz Grabski przygotowywał dzieci do pierw-
szej komunii świętej. Obie z Marysią chodziłyśmy na katechizm,
bo przed wojną obie byłyśmy za małe. Nauka odbywała się w ka-
plicy w Kotłasic, ale ja częściej chodziłam na bazar kraść
lub handlować wodą niż na katechizm. Do spowiedzi przystąpi-
łam i mimo, że kiepsko szło mi wyznawanie "grzechów", otrzyma-
łam rozgrzeszenie i komunię świętą. Po komunii był piękny po-
częstunek /wtedy jeszcze nie było wolno jeść przed komunią,
choć był głód, nie to co teraz - wszyscy z pełnymi brzuchami
zakropionymi wódką, pędzą po opłatek jakby to był kawał kieł-
basy/. Wtedy komunia to była świętość.

Obydwie ukradkiem chowałyśmy ciasteczka, czekoladki i inne
smakołyki dla chorej mamy. Pierwsza nasza komunia miała miejs-
ce 13 czerwca 1942 roku.

Ksiądz interesował się nami i pomagał jak mógł, ale w po-
dobnym położeniu były i inne dzieci, nie mógł wyróżniać nas
jakoś szczególnie.

Bez przerwy byłam głodna. Zaczęłam poważnie handlować wodę i miałam z tego "dochód".

Codziennie brałam bańkę i kubeczek i szłam na bazar. Milicjant gonił mnie i chciał odebrać bańkę, ale nie dałam mu się złapać. Niechby spróbował mnie złapać. Byłam zwinna jak kot, potrafiłam błyskawicznie wdrapać się na drzewo i nie wypuścić z zębów bańki. Uciekałam pod stołami i kryłam się pod szerokimi spódnicami przekupek. Milicjant stawał bezradny, a pod gradem słów przychylnych mi straganiarek odchodził drapiąc się w głowę i nie wdając się w dysputy. Przecież nie mógł zaglądać pod spódnicę każdej przekupce.

Pitnej wody nie było w pobliżu, a ludziom chciało się pić, więc wpadłam na pomysł sprzedawać dobrą, zimną wodę. Dużo nie brałam jedynie 10 kopiejek kubek. Milicjant chodził po bazarze i sprawdzał "pozwolenie" na handel. Podeszedł do mnie i spytał czym handluję i czy mam pozwolenie. Odpowiedziałam, że wodą. Nalał sobie trochę, spróbował i nie mógł wyjść z podziwu nad moją bezczelnością. Handlować wodą, tego jeszcze nie było. Połapałam się szybko, że będzie źle, wyrwałam mu kubeczek i czmychnęłam między długie stoły. Od tego czasu zaczął mnie prześladować. Idąc na bazar byłam czujna, a oczy miałam "dookoła" głowy. Musiałam zarobić na mleko dla ciągle chorej mamy. Pewnego razu zobaczyłam go i natychmiast schowałam się pod spódnicę siedzącej handlarki.

Milicjant podeszedł i spytał, gdzie jest ta dziewczynka z wodą. Odpowiedziały, że już dawno nie widziały mnie. Milicjant wyraźnie posmutniał, zsunął czapkę na tył głowy i ręką wycierał spocone czoło. "Szkoda, szkoda, że nie ma małej, aj jaka szkoda, pić się chce, że język do podniebienia przysycha".

"Ty bezczelny kłamco - zawołała jedna - podzisz ją, grozisz

a teraz jeszcze łzesz, co ci przyjdzie ze znęcania się nad tym biednym dzieckiem, idź lepiej i łap prawdziwych złodziei i bandytów, od których się roi tutaj, niby ich nie znasz, co? Wczoraj znów zamordowali dziewczynę. Za dzieckiem łazisz, bo bezbronne i nic ci nie grozi, idź, idź stąd prędeej, nic dzisiaj nie dostaniesz".

Milicjant zaklinał się, że nie przyszedł pędzić mnie, lecz napić się wody, bo upał nie do wytrzymania, a w pobliżu nie ma żadnej studni. Dałby nawet rubla, żeby móc się napić! Wtedy moja obrończyni wstała i odsłoniła mnie. Nieufnie nalałam wodę i podałam mu kubeczek. Wypił kilka, jeden po drugim i faktycznie dał mi całego rubla. Więcej mnie nie przeganiał z bazaru, Widząc mnie z daleka wołał: "Jak tam, uhandlowałaś na mleko dla mamy". Zawsze odpowiadałam, że jeszcze nie, on grzebał w kieszeniach i dorzucał kilkanaście kopiejek. "A teraz kup mleko i leć do mamy" - uśmiechał się do mnie. Mimo wszystko ciągle się go bałam i nie lubiłam jego czarnych rozlatanych oczu.

Kupowałam mleko prażone w piecu i w butelce pływał żółto-brązowy kożuch. Wydawał mi się podobny do szczura, ale Rosjanki kategorycznie zabraniały wyrzucać go; podobno to było samo zdrowie. Tak czy inaczej opieka pani Główkowej, ziółka i mleko dawały pozytywny rezultat. Mama powoli przychodziła do zdrowia.

Na tym bazarze napatrzyłam się na różne dziwy i patologie. Na przykład, kiedyś zobaczyłam marynarza z czterema zegarkami na rękach i nogach /miał podwinięte rękawy i nogawki/ i z buzdikiem na szyi. Co chwila stawał i przykładał ręce do uszu by sprawdzić, czy zegarki chodzą. "Szpana" napadała na dziewczyny i starszych ludzi. Gwałcili, rabowali i mordowali. Mnie nie zaczepiali bo byłam mała, chuda i brzydka. Gorzej było

z Marysią. Niewiele starsza ode mnie, była jednak wysoka i bardzo ładna. Zwracała na siebie powszechną uwagę i mama zabroniła jej pokazywać się samej w okolicach bazaru i zaułków patologicznego miasta.

Pewnego razu, było już pod wieczór, wracałam z Marysią z bazaru. Trzymałyśmy się za ręce i szłyśmy po torach. Wtem zobaczyłyśmy pielęgniarkę idącą od łagrów z dziwolągami na rękach. Nie mogłam zorientować się co ona niesie. Nie było to ani dziecko, ani dorosły człowiek. Przystanęłyśmy i patrzyłyśmy na kobietę i na to, co niosła. Pielęgniarka podeszła do nasypu kolejowego i rzuciła swoje brzemie na trawę przed rowem. Był to straszliwie wychudzony, bez obu nóg, mężczyzna. Pielęgniarka zdjęła ze swoich pleców tobolek i kładąc go obok mężczyzny, mówiła: "Nie chcę ciebie w domu, twoje zmartwienie. Odsiedziałeś swoje i wynocha stąd, nie będziesz "kazionny" chleb darmo żreć". Kaleka krzyczał, zasłaniał się Konstytucją i tym, że on nie "wor" /złodziej/, a polityczny, że ma prawo za sobą. Nie mogą go tak zwyczajnie, jak bezpańskiego psa, wyrzucić na drogę, przecież nie może chodzić, co z nim będzie; - ale pielęgniarka była nieczuła. - "Nie krzycz, nie krzycz - mówiła - i tak ciebie tu nie usłyszą, a wy czego się gapicie - zwróciła się ze złymi oczami do nas - wynocha stąd i to zaraz".

Odpysknęłam jej ordynarnie i stałyśmy, ciekawe dalszego ciągu.

Marysia spytała dlaczego go wyrzucili z łagrów, a pielęgniarka odpowiedziała: "Odsiedział swoje i starczy, teraz musi zrobić miejsce dla innych" /są to jej autentyczne słowa/ i poszła sobie. My także.

Za nami leciały bluźniercze słowa nieszczęsnego "wolnego" człowieka. Na przemian wygrażał to Bogu, to ludziom, to znów wzywał niebo na pomoc, a piekło aby pochłonęło ten ustrój, Stalina i cały Sowietcki Sojuz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

"Tisowaja - Dom Dziecka po raz pierwszy"

Bez naszego tata było coraz gorzej. Ludzie /zwłaszcza Polacy!/ krzywdzili nas i okradali z tego, co ksiądz wystarał się dla nas i co ja ukradłam z przystani lub birży. Dokuczali Gieniowi, a mama leżała chora. Znajomego lekarza już nie było. Pani Główkowa ratowała nas jak mogła, ale ona miała swoją trójkę też głodnych dzieci.

Kładąc się spać na brudnych twardych deskach myślałam, czy będzie chociaż jeden dzień, w którym bym nie płakała.

Z Julkiem Główką chodziliśmy na przystań, gdzie zawijały barki i kradliśmy owies, pszenicę i w ogóle co było. Handlowałam wodą, kradłam ogórki, kartofle i brukiew ale i tak było tego za mało.

Kiedyś z Julkiem znaleźliśmy psa. Od razu przystał do nas. Ja mówiłam, że jest podobny do naszego wilczura Margasa tylko ciemniejszy, a Julek mówił, że właśnie przypomina mu ich psa. Chcieliśmy go mieć na własność. Ustaliliśmy, że będziemy na zmianę opiekować się nim i będzie to nasz pies. Nie zastanawialiśmy się czym będziemy go karmić i gdzie uchował się ten jedyny egzemplarz. W całej okolicy nie znalazłoby się ani psa ani kota.

Pies był niemniej głodny od nas i chętnie przystawał do tego, które z nas w danej chwili mogło mu dać coś do pyska. Przyprawiliśmy go do baraku. Pies położył się przy mojej pryczy. Rano nie było psa ani na pryczy, ani pod nią. Julek i ja spojrzeliśmy na siebie i zerwaliśmy się jednocześnie. Macałam rękami po pryczy i zaglądałam pod spód i Julek robił

samo. Nie odezwaliliśmy się do siebie. Teraz ja miałam być "właścicielką" psa. Gotowa byłam wstać i bić się z nim.

Krzyknęłam: - "Oddaj psa, ty świnió;" a on do mnie - "To ty oddaj".

Zeskoczyliśmy z prycz i w biegu narzuciliśmy coś na siebie. Wybiegliśmy z baraku. Już razem, ręka w rękę, obiegliśmy wszystkie baraki płacząc i wołając psa. Pobiegliśmy na birzę i wołaliśmy ile sił w płucach naszego psa, lecz pies nie przybiegł do nas.

Z opuszczonymi głowami wolno wracaliśmy. Było po kilkudniowej ulewie i gliniaste rude błoto czepiało się do naszych bosych stóp. Dość ostry wiatr dmuchał w plecy. Zatrzymaliśmy się przy torach bo w nozdrza zalaływał smród. Nie wiedzieliśmy co tak śmierci. Od tego dnia, gdy w trupiarni szukaliśmy naszego tata, nie mogłam wyzbyć się uczucia, którym /tak mi się wydawało/ na wskroś przesiąkłam. Zrobiło mi się niedobrze, byłam na czczo. Fetor wzmacniał się i coraz bardziej i wydawało mi się, że czuję naraz zdechłego cygańskiego konia i trupiarnię. Usiadłam na zboczu nasypu kolejowego i zwymiotowałam zieloną wodą.

Julek trzymał mnie za ramiona i piskliwie jęczał. - "No przestań już, przestań, bo ci кишки wyleżą".

Od torów dolatywał do nas miarowy głos mężczyzny-brygadira:

"Raz, dwa wzialiii..."

Raz dwa nužno...

Raz dwa družno..."

i na słowo "družno" pochylone kobiety podrywały kilofami ogromny podkład, który drgał, trzeszczał i nie dawał się ruszyć. Brygadir na nowo zaczynał śpiewnie liczyć i kobiety na nowo próbowały swych wątłych sił z grubym balem.

Trochę uspokoiłam się, przeszliśmy tory. Szłam trzymając Julka za rękę. Tutaj, po drugiej stronie torów zobaczyliśmy dwie przyczepy traktorowe zagrzeźłe w błocie, były pełne i przykryte plandekami. Ożywiłam się, obydwójce ucieszyliśmy się, bo nadarzała się okazja zwędzić coś i nikt tego /o dziwo!/ nie pilnował. Zakradliśmy się z drugiej strony, żeby z torów kobiety i brygadzysta nie zauważyli nas. Julek z całej siły szarpnął plandekę, która nie będąc przymocowana okryła go całego. Ja zamarłam z otwartymi ustami, a nogi moje zrobiły się jak z waty. Czułam, że mdleję, nie zemdlałam jednak. Cała przyczepa wyładowana była trupami. Julek szamotał się z plandeką, głos jego był głuchy, a słowa niezrozumiałe. W końcu wyzwolił głowę i spojrzał. Z okropnie brzęącym "oooo..." - puścił się przed siebie. Ja oderwałam się od ziemi i też biegłam. Z daleka dolatywał do mnie spokojny głos brygadzysty: "Raz, dwa..."

Usiedliśmy na progu naszego baraku. Ciężko sapaliśmy. Julek był sino-zielony, ja chyba też. Wyszła pani Główkowa i dała nam zupę z... mięsem. Spojrzeliśmy na siebie. Julek pchnął miskę aż zupa chlupnęła na boki, pochylił głowę na kolana i płakał. Ja popatrzyłam na kawałek mięsa w misce i zobaczyłam w niej naszego... pieska. Znow zrobiło mi się niedobrze. Żadne z nas nie tknęło tej zupy. Julek zerwał się pierwszy z płaczem i pretensjami rzucił się do swojej mamy, a ja do swojej. Przysięgały, że to nie one zabiły pieska. Ja powiedziałam do Julka: "Ja wiem kto to zrobił" - i na ucho wymieniłam mu nazwisko. "To on zabił nasze drzwi deskami, kiedy tata zabrali do szpitala i on zabił pieska" i to była prawda. Mieliśmy się zemścić na tym "mordercy":

Przyczepy z "ładunkiem" z miesiąc stały w błocie. Nie było traktora, żeby je wyciągnął. Po całej Poltince roznosił się

smród ludzkich ciał. Daleko za Bółtinką więźniowie kopali głębokie rowy, miały to być groby dla ich zamęczonych towarzyszy. Powiedziałam księdzu Grabskiemu o naszym "odkryciu". Obiecał pojechać i poświęcić wykopane doły.

Mama ciągle niedomagała, ale już siadała i wychodziła przed próg, by posiedzieć na słoneczku. Czasami zagadywała mamę śliczna i młoda pani Gucia. Lubiła usiąść przy mamie i pożalić się. Nie miała nikogo. Wszyscy jej najbliżsi umarli daleko na Syberii. Ona sposobiła się do Polski, by kończyć medycynę. Przestała być komunistką. Przy niezasłoniętych oknach widziałam modlących się Żydów podczas szabasu, a między nimi i panią Gucię.

Kilka razy przychodził do nas ksiądz Grabski. Zawsze coś ze sobą przynosił. Dawał nam po kawałku czekolady i kazał bawić się, a sam długo o czymś z mamą rozmawiał. Ksiądz widział nasz upadek i nędzę. Martwił się o nas, że nie uczymy się, że ja klnę i kradnę, że Emil zbyt ciężko pracuje, a Gienio prawie nie wstaje.

Kiedyś przyszedł ksiądz i pozwolił mi zostać. Powiedział, że o kilkadziesiąt kilometrów stąd tworzy się polski dom dziecka i on zabiegał o to, żebyśmy byli tam przyjęci, a kiedy mama całkiem wyzdrowieje będzie mogła też pojechać i pracować tam.

Muszę przyznać, że od razu zgodziłam się na to. Chciałam chodzić do szkoły i nie być głodną. Wierzyłam, że tam nareszcie będzie nam dobrze... Żałowałam bardzo, że Julek nie jedzie, lubiłam go i dobrze mi się z nim kradło. On miał obojwoje rodziców i oni nie zgodzili się na oddanie go.

W Kotłaskiej szkole zebraliśmy się na przedwyjazdową zbiórkę. Popatrzyłam na dzieci i młodzież. Wszyscy byli wylękli i z

niewyraźnymi minami. Z naszej czwórki najbardziej nie chciał jechać do tego domu-raju Gienio. Ja cieszyłam się w duchu na zmianę, jaka niewątpliwie nastąpi w moim życiu. Na zbiórce zobaczyłam wszystkich moich "dobrych" znajomych z bazaru. Najbardziej ucieszyłam się na widok Zdzicha. Był chyba trochę starszy od Emila. Poznałam go po stracie swego "utargu". Jakaś "szpana" obserwował mnie i znał moje nawyki. Zaczaił się przy publicznej ubikacji i kiedy tam wchodziłam, wyrwał mi bańkę wraz z pieniędzmi. Usiadłam pod brudną kloaką i gorzko płakałam. Zadowolona byłam z dnia pracy, bo właśnie obliczyłam sobie, że starczy mi na mleko dla mamy i na szarigę lub pieróg dla mnie. Szlochałam rozpaczliwie i nie poczułam, iż ktoś dotyka mnie w ramiona. Było mi wszystko jedno czy umrę tu na progu śmierdzącego klopa czy gdzie indziej. Usłyszałam głos chłopca:

- "Hej ty mała, czego płaczesz".

- "Odczep się" - szczerknęłam nie odrywając głowy od kolan.

Płakałam dalej.

- "Skrzywdził cię ktoś" - pytał natarczyły głos.

- "Tak, taka szpana jak ty" - powiedziałam. Nie bałam się, bo było mi wszystko jedno co ze mną zrobi.

- "Powiedz - zrów usłyszałam ten sam głos - Kto i co ci zrobił".

Podniosłam głowę i zobaczyłam nad sobą dużo starszego ode mnie chłopca, lecz niezbyt wysokiego. Był oberwany, czarny i bez przedniego zęba. Wszystko co miał na sobie było dużo za duże. Moją uwagę zwróciły jego niezwykle szerokie rękawy, postrzępione i frędzlowate jego "wierzchniego" okrycia. Tak mnie zadziwił, że przestałam płakać. Gdybym go zobaczyła jeszcze parę dni temu, napewno uciekałabym gdzie pieprz rośnie, a teraz

z zaciekawieniem patrzyłam na niego.

- "Jestem Zdzicho - powiedział - pomagam takim jak ty." Uśmiechnęłam się, bo gdy mówił jego język śmiesznie wpadał w miejsce gdzie dawniej była jedynka. Pewno stracił ją w bi-jatyce, bo wyglądał na niezłego zabijakę.

Opowiedziałam mu co mnie spotkało i opisałam oberwańca, który to zrobił, znów pochlipywałam.

- "Dobra, idź do matki /wiedział, że tato nie żyje, to dziwne, ale wszyscy to wiedzieli z bliższych i dalszych okolic/ - "jutro będzie załatwione. Tylko nie mów nic tej glinie co u ciebie pije wodę, bo ze wszystkiego najwięcej ich nie cierpię.

Nie chciałam powiedzieć mamie co się stało, ale na widok chorej mamy rozplakałam się i opowiedziałam.

Następnego dnia pobiegłam do Kotłasa od razu gdy tylko wstałam. Przy stole, gdzie zwykle handlowałam wodą, klęczał z bańką w zębach i rękami nad głową kotłaski chuligan. Zdzicho pchnął go i powiedział: "Przepróś małą i oddaj coś wziął". Chłopak /miał około 16-17 lat/ podszedł na kolanach i oddał mi bańkę i drobniaki w papierku.

- "Po polsku" - krzyczał Zdzicho. Brudny chłopak pocałował mnie w rękę. "A teraz won" - rozkazał mój obrońca. W papierku było aż dwa ruble. Od tego czasu Zdzicho przychodził do mego stolika, czujnie rozglądał się czy nie ma milicjantki /niestety, mój "dobry" znajomy poszedł "Niemca dobiwat" chyba aż pod... Moskwę/. Z milicjantką nie zdążyłam się zaprzyjaźnić i nie ufałam jej, choć też piła moją wodę. Zdzicho czekał aż skończę sprzedawać. Brał mnie za rękę i szliśmy między straganami, a Zdzicho dla wzbudzenia zaufania podrzucał monety i łapał je.

Stanęliśmy przy straganie, gdzie leżała fura ogórków i za-

pytał babkę o cenę, o jakość towaru itp. Zagadnięta nieufnie patrzyła na nas i ledwo raczyła odburknąć. Nie zbity z pantaflyku Zdzicho, pokazywał najpiękniejszy owoc leżący za plecami kobiety i kazał sobie podać, monetę ciągle kręcił w palcach. Przekupka odwracała się, a wtedy Zdzicho błyskawicznie wyciągał z przepaścistego rękawa haczyk na gumce i jeszcze szybciej wbijał go w ogórek. Zanim kobieta odwróciła się, ogórek był schowany głęboko pod pachą Zdzicha. Pojęłam znaczenie Zdzichowych rękawów. Po takiej „rundzie” po całym bazarze byłam zaopatrzona w ogórki, buraki, brukiew i słodki turnieps.

... Teraz staliśmy na zbiórce do domu dziecka, a delegat „trzymał” mowę jak to będzie nam dobrze w tym nowym, cudownym domu w Tisowej i jakie mamy szczęście, że jesteśmy sierotami i półsierotami, bo to dom tylko dla sierot, inaczej nie dostalibyśmy się do „raju” nad Dwiną.

Zdzicho jakby zmałał i skurczył się. Zniknęła gdzieś jego pewność siebie. Jak większość z nas stał zagubiony i cichy, niepozorny, wystraszony, a jednak nie pasujący do tej grupy. W Kotłasiu był figurą, indywidualnością, a tutaj... „szczęśliwy” półsierota czekający na parostatek do „raju”.

Biedny Zdzicho nie zmienił się w Polsce. Całe swoje życie z małymi przerwami, przesiedział w więzieniu.

Do Tisowej popłynęliśmy parostatkiem, specjalnie na ten cel wynajętym. Dawano nam nienajgorzej jeść i grała orkiestra. Było nas tych „szczęśliwych” sierot sporo. Wysiedliśmy w Rabowie w niewielkiej przystani, a stamtąd na piechotę poszliśmy do Tiśowej, małej wioski w lesie, w większości zamieszkałej przez Polaków-zesłańców po 1921 roku.

Byli to ci nieszczęśnicy, których granica z Traktatu Ryskiego oddzieliła od Polski, a których rząd Rosji sowieckiej

kazał wywieźć w głąb kraju by im "bunty" nie były w głowach. Swoją "Tisowuju" nazwali z polską "Cisową", ale w języku rosyjskim nie ma wymowy "ci" - stąd pojawiła się "Tisowaja".

Przekrój wieku "sierot" wahał się w granicach od lat 3 do... 30. Uderzyło mnie przede wszystkim to, że prócz sierot i wychowawców idzie z nami spora grupa młodych dziewcząt i... żołnierzy lub raczej młodych ludzi poprzebieranych za żołnierzy. Nasz nowy "dom" mieścił się nad rzeką /dopływem Dwiny/ i na całość składało się sporo zabudowań. Wszystkie domy i baraki były parterowe w niewielkiej odległości od siebie.

Podzielono nas na grupy według wieku. W głównym budynku były dzieci w wieku szkolnym od lat 7 do 14, w drugim przedszkole i w trzecim młodzież powyżej 15 lat. W mniejszych barakach mieszkali wychowawcy i nauczyciele, obok szkoła i gabinet dyrektora a w zupełnie oddzielnym - stołówka, szumnie nazwana jadalnią. Osobny budynek był przeznaczony dla ludzi starszych i schorowanych, którzy spodziewali się znaleźć rzetelną opiekę. Niestety, zdrowi rodacy otoczyli ich pogardą i poniżeniem. Nie było im lepiej niż na posiołkach.

Poszłam do drugiej klasy, pomimo że nie umiałam ani czytać ani pisać po polsku.

Nauczycielami byli - pani Helena Chudzik, pan Jan Pokrzywa, pani prof. Grądkowska /nie pamiętam imienia/, pan Kawecki /nauczyciel z Beresteczka/ i inni.

Inaczej wyobrażałam sobie ten dom i nie spodobało mi się od samego początku. Może dlatego, że zbyt wcześnie usamodzielniałam się. Nie czułam żadnej władzy nad sobą, a tutaj trzeba było podporządkować się pewnym rygorom. Poza tym byłam chuda i brzydka i nie byłam niczyją ulubienicą.

Zwożono tutaj polskie dzieci z najdalszych zakątków Syberii.

Żadne nie mówiło po polsku. Wszystkie były zahukane i wystraszone. W stołówce zachowywały się jak wyrwane z lasu dzikie zwierzaki. Później od swojej koleżanki dowiedziałam się, że w rosyjskich domach dziecka biła i męczyła ich "szpana" i kazała oddawać im swoje "pajki".

Przedziwnie też wyglądaliśmy w klasach. W pierwszej klasie były dzieci od 7 do 10,11 lat.

Dyrektorem całego zespołu "opieki" był odrażający typ. Przed wojną pracował ^{chyba} jako nadzorca więzienny. Miał tyle wspólnego z pedagogiką co powiedzmy, ja z technologią produkcji traktorów.

Nie cierpiałam porannych i wieczornych apeli. Były jak w karnych koszarach. Ustawiano nas w holu w czworobok i wysłuchiwaliliśmy nudów i dłużyzn dyrektora lub jego zastępców. Dowiadaliśmy się, że jesteśmy dziczą wypuszczoną z lasu, że nie wiemy co to jest kultura, po co są sracze /dosłownie/, że nie mieliśmy w ogóle rodziców, a jesteśmy pomiotami, których należałoby prać bezlitośnie, żeby nauczyć być ludźmi. Obijał mi się ten stek słów o uszy, ale nie robił wrażenia. Głośno ziewałam aż trzeszczały mi szczęki. Rozjuszony dyrektor pędził między szeregi i szukał to bydlę co pozwala sobie na takie chamskie zachowanie podczas jego wystąpienia. Wtedy dobra, szlachetna i mądra wychowawczyni pani Mikke, zasłaniała mnie sobą i odpowiadała dyrektorowi, że to nie w jej grupie.

Wychowawcami i nauczycielami byli ludzie do tego powołani, nie mogę na nich nic złego powiedzieć. Do najdroższych mi nauczycieli zaliczam panią Mikke, panią Łabuńską i pana Pokrzywę, pana Inojewicza i innych. Nie znaczy to, że nie karali mnie, owszem karali, ale mądrze i sprawiedliwie. Nie byłam bowiem materiałem łatwym do kształtowania. Cni jednak nie

wyzywali nas od ostatnich łachudrów i bezpańskich psów, jak to robił dyrektor, a cierpliwie wychowywali. Zarówno nauczyciele jak i wychowawcy robili co mogli by jak najszybciej w ciągu 4-5 miesięcy "przeprowadzić nas z klasy do klasy, bo opóźnienie wydawało się nie do odrobienia. Dwa lata bez polskiej szkoły /lub w ogóle bez szkoły/ trzeba było szybko nadgonić.

Byłam uparta i zła, a od śmierci tata nauczyłam się chodzić swoimi ścieżkami. Często nie chciałam się bawić, czy uczyć wspólnie z dziećmi. Siadałam osobno i nie reagowałam gdy pan Pokrzywa wyczytywał mnie do odpowiedzi. Mógł wołać, mówić, prosić, krzyczeć, a ja ani drgnęłam. Siedziałam nieruchoma i wściekła. Nigdy mnie nie uderzył, ale za takie zachowanie musiałam być ukarana. Skoro nie chciałam ani bawić się, ani uczyć wspólnie, nie pozwalał mi jeść ze wszystkimi, ale ja nie mogłam wyobrazić sobie, że będę pośmiewiskiem dla wszystkich i oczywiście bezczelnie szłam i siadałam przy wspólnym stole na swoim miejscu.

Pan Pokrzywa brał mnie za ręce i chciał odciągnąć do kąta, gdzie wyznaczył mi "ośli" taboret, przy którym miałam jeść. Wtedy ja zapierałam się nogami, chwyciłam stołu lub stołków, ryczałam, plułam i gryzłam do krwi jego ręce. Machał ręką, z której ciekła krew i puszczał mnie. Patrzyłam na wszystkich z wyzwaniem, ale nie znajdowałam aprobaty. Moja biedna Marysia prosiła i błagała mnie, abym zmieniła zachowanie i była dobrą i mądrą dziewczynką, ale ja wyzywałam ją i klęłam jak wozak i dalej robiłam swoje. Karali mnie i pan Pokrzywa i pani Mikke, ale nigdy nie robili tego na apelu. W ogóle nie stwarzali okazji dla dyrektora. Oni widzieli co z nas zrobił pobyt na Syberii, głód, walka o byt, tragedie rodzinne. Nie chcieli

przyczynić się do jeszcze większej biedy małych wykolejeńców. W większości byliśmy mniej czy więcej zwichni i zbyt ciężko doświadczył nas los. Chylę w tej chwili swoją siwą głowę przed ich mądrością i sercem dla nas - dzieci Sybiru.

Każdy dzień zaczynał się i kończył apelem i wspólną modlitwą. Najpierw głośno mówiliśmy pacierz, a potem śpiewaliśmy "Kiedy ranne wstają zorze" lub "Wszystkie nasze dzienne sprawy" w zależności od pory dnia. Strasznie mnie to męczyło i nudziło. Najbardziej nie cierpiałam mowy dyrektora /awersja do dyrektorów pozostała mi/. Na rozkraczonych nogach stał syty i tłusty z wypiętym brzuchem i truź. Niedożywione i /niestety/ ciągle głodne dzieci mdlały ze zmęczenia lecz on nie zwracał na to uwagi i dalej sączył swój jad. Obok mnie stał zabiedzony z uschniętą ręką na temblaku, smutny sierota Pawełek. Widziałam, że ledwo stoi. Zamykał oczy i chwiał się, a dyrektor od 15 minut "wychowywał" nas wyzywając od śmieci, które należy kopnąć, zdeptać i do kosza...

Pawełek westchnął głośno: "Boże, Boże, już mi życie nie-miłe". Biedny Pawełek, miał nieszczęście, że pani Mikke stała dalej i nie mogła go zasłonić. Dyrektor usłyszał go i wezwał do siebie. Podszedł wylęknięty Pawełek do dyrektora. Ten wyzywając go od bezbożnych komunistów i świńskich pomiotów kazał Pawełkowi uklęknąć i przeprosić pana Boga i jego dyrektora także. Pawełek stał i ani drgnął. Dyrektor chwycił go, potrząsnął tak, że omal dusza z niego nie uleciała i z wściekłością ściągnął z niego spodnie. Odpiął swój szeroki wojskowy pas /zawsze chodził w mundurze/ i bił nagie dziecko odarte nie tylko z odzieży lecz i z godności człowieka aż się zasapał.

Wychowawcy stali i patrzyli, nikt nie ujął się za małą, sponiewieraną ludzką istotką. Pani Mikke płakała, pan Inajewicz stał oparty o laskę, jeszcze bielszy niż zwykle i zaciskał zęby

Był ciężko chory na gruźlicę i w niedługim czasie umarł. Chłopcy podnieśli, prawie, a może napewno, nieprzytomnego Pawełka i zanieśli do sypialni. Za karę pozbawił go dyrektor posiłków. Dyrektor bił dzieci i młodzież nie tylko na alepach. Przede wszystkim bił u siebie w gabinecie. Zawsze swoim wojskowym pasem i zawsze na gołą pupę. Jeżeli wyczytywano na apelu nazwiska tych, co mają się zgłosić do dyrektora, wiadomo było, że dostaną lanie. Obok gabinetu była nasza klasa, nieraz więc słyszeliśmy rozpaczliwy krzyk skazańca i głośnie razy. Potem pani nauczycielka lub nauczyciel wyznaczali chłopców, by odнесли zbitego do sypialni, jeżeli nie mógł sam pójść. Kiedyś na apelu wyczytano nazwisko jednego z Indyków /była ich tutaj szóstka dzieci/, Staśka, by zgłosił się do dyrektora. Staszek był urwis, to prawda, ale nie był przestępcą, miał może 8 lat, był najmłodszy z całej szóstki i z głodu ukradł pół bochenka chleba. Zamiast Staszka poszedł jego najstarszy brat, Władek, chłopiec wysoki, przystojny i po maturze.

Dyrektor rzucił się do niego i chciał go uderzyć, ale Władek jedną ręką usadził małego podstarzałego grubasa. Zagroził mu, że jeżeli tknie którekolwiek z jego rodzeństwa lub z Józi, zrobi dziewczynkę do specjalnych poruczeń, to on Władek wie, gdzie jest NKWD i wie także co się tutaj wyczynia z dziećmi i z młodymi dziewczynami. Dziewczęta na Tisowej nie były już tymi dumnymi Polkami, które zafascynowały mnie w tysłuchowskiej szkole i nawet na Obilu. One już przeszły swoją niedolę. Głód, śmierć najbliższych i nędza zabrały ich dumę i godność. Były młode i chciały żyć.

Nie wszyscy mieli takiego brata jakim był Władek. Indyk, późniejszy oficer I Armii WP założonej przez Generała Berlin-

ga /ja też nie/. Potem jakoś tak wyszło, że wszyscy Indykowie byli faworytami i dyrektora i wychowawców. Nic do nich nie mam. Bardzo lubiłam moje koleżanki Gienię i Krysię Indykówny, ale nie byłam ani ja, ani zwłaszcza Marysia gorsza od nich, a nikt nas nie wyróżniał, chyba że trzeba było posprzątać czyjeś brudy. Marysia była wzorem. Nad wiek mądra, poważna, dobra, zrównoważona i pobożna. Wszystkie małe dzieci uczyła pacierza i miłości do Polski. To była prawdziwa tatowa córka. Tato przelał na nią swój wielki patriotyzm, a ona na innych.

Gienię Indykównę wychwalał pan "doktor". Był to szczególnie nieciekawy człowiek. Miał odmrożone paluchy i śmieśźnie wyglądał gdy się śpieszył lub biegł. Śmieszyło nas to ogromnie. To, że śmieją się z kalectwa dzieci, to normalne, ale żeby się za to mścił na dzieciach mężczyzna - to nienormalne. Nie był doktorem, po prostu nazwał się tak by mieć dobrą wyżerkę. Kto mógł sprawdzić tutaj kto kim jest? Pan "doktor" ustalał i za-
twierdzał posiłki zarówno dla dzieci, jak i dla nieszczęsnych, zastraszonej inwalidów i „starców”. Przed każdym posiłkiem wchodził do kuchni i "sprawdzał" porcje czy waga się zgadza, degustował czy odpowiednio są przyrządzone itd. Kiedy wchodziliśmy do stołówki pan "doktor" wychodził z kuchni uśmiechnięty, najedzony, z błyszczącą brodą od spływającego tłuszczu i mówił, że według takich o takich norm należy się 2 ołatki na kolację /cienkie były jak opłatek/, aby zdrowe były sny i dobrze się dzieciom spało, ale on - doktor - zdecydował, że dostaniemy po trzy.

Stawałam przed swoim miejscem i w trakcie mowy pana "doktora" lub modlitwy wkładałam do ust wszystkie trzy ołatki na raz. Pan "doktor" podbiegał do mnie, chwycił mnie za ramiona i wołał: "co ty robisz dziecko, ona chyba jest nienormalna".

Stałam z wypchanymi policzkami nie mogąc przełknąć ani odezwać się, że to nie ja, a on jest nienormalny i że wiem, iż "zdegustował" furę ołatków, bo jeszcze sosu nie otarł z brody. Chwytał mnie za rękę i potaszczył pod światło, ale ja już zdążyłam przełknąć moją "kolację" i z całej siły szarpnęłam się, pokazałam mu język i uciekłam ze stołówki.

Nie mogliśmy na siebie patrzeć on na mnie, a ja na niego. Często za jego plecami robiłam miny i naśladowałam chód. Ciągnął mnie za ucho i stawiał do kąta, a kiedy zaczęto, z powodu wszawicy, obcinać młodszym dziewczynkom włosy na łyso, mnie pierwszą wyznaczył pod maszynkę choć nie byłam w najmłodszej grupie. Za to go też nienawidziłam. Usiadłam i nie popłynęła mi ani jedna łza kiedy fryzjer Goldberg jeździł mi maszynką po głowie.

Byłam złośliwym pajacem i często robiłam różne psoty. Może chciałam by mnie też ktoś polubił i uważał za śliczną i mądrą dziewczynkę.

Zimy były surowe i po wypaleniu się w piecu należało zasunąć szyber. Dyżurny wychowawca często zapominał o tym. Wyszłam kiedyś na korytarz i o 11-ej w nocy wrzasnęłam na cały barak: "Wychowawcy, szyber zamknijcie do cholery, zimno jak w psiarni". Jak przedtem nikogo nie było, tak momentalnie zjawili się wszyscy. Wpadli do sypialni i zapalili światło. Zaczęli obiecywać mi co to mnie spotka na apelu za takie odezwanie. Trochę się zlekłam, lecz z podniesioną głową poszłam rano na apel. "Co to za wychowanie - krzyczał dyrektor - kto ty jesteś, czy miałaś guwernantkę?". Stałam ze spuszczoną głową i milczałam.

- "Kim są twoi rodzice? Kto ty jesteś, mów, mów". Trząsał mną i wrzeszczał. Odpowiedziałam: "Tata już nie mam, a ja jestem

"pańskie dziecko" i nie wiem co to "gu... gu..." i rozplakałam się, nie dlatego, że się na mnie wydzierał zły człowiek, lecz, że nie mam już taty.

- "Panie Januszeku - zawołał dyrektor do młodocianego wychowawcy pana Janusza Januszkiewicza, - proszę ją wziąć do sali i nauczyć moresu" - i podał mu swój pas. - "Dzisiaj nie dostanie śniadania".

Pan Januszek, jak go nazywaliśmy był bardzo młody i bardzo mądry i szlachetny. Puścił mnie przodem do świetlicy i szepnął: "Płacz, płacz" - i zaczął bić pasem podłogę. Tak jak płakałam gdy wchodziłam tutaj, zaśmiałam się głośno. "Płacz ty cielę, nie myślisz chyba, że będę cię bił. Płacz głośno". Zaczęłam zawodzić - "y, y, y," - ale i tak nie płakałam. Dzieci poszły na śniadanie. Wyjrzałam i zobaczyłam gorzko płaczącą Marysię. Spojrzała na moją zadowoloną minę i zbaraniała. Niczego nie mogła pojąć.

Pan Janusz powiedział do Marysi: "Nie płacz, idź na śniadanie, widzisz, że jej nie tknąłem".

Smutno zrobiło mi się dopiero wówczas, gdy zostałam sama zamknięta w świetlicy i bardzo chciało mi się jeść. Klucz miał pan Janusz. Wszedł po śniadaniu i z kieszeni wyjął mi dwie kromki chleba posmarowane masłem i złożone jedna do drugiej.

- "Zjedz to i idź na lekcje, tylko nie bądź wesoła".

Wyskoczyłam jak z procy. W klasie zorientowali się, że nie było lania. Pan Pokrzywa popatrzył na mnie i figlarnie pogroził mi palcem.

Pan Januszek nigdy nie uderzył żadnego dziecka. Przed wojną był harcerzem i wierny został harcerskim ideom: nieść pomoc i opiekę potrzebującym. Został sam. Na posiołku prawie odrazu umarli jego rodzice i siostra, mimo to nie zwichnął go los, nie

został oprawcą jak nasz dyrektor.

Z wielkiej wdzięczności do niego chciałam pocałować go w rękę, lecz on schował rękę za plecy a na mnie krzyknął: "Głupia, albo chcesz mnie ugryźć, nie całuj mnie w rękę, nie jestem ksiądz". Było mi wstyd.

Kiedyś do Marysi powiedział, że wstydzi się, że jest tutaj wychowawcą i chciałby, abyśmy go traktowali i słuchali jak starszego brata. Kiedy nas budził rano śpiewaliśmy głośno: "Januszk, Januszk daj poleżeć w łóżku, spaliśmy tak krótko a tu już pobudka". Przed wejściem do sypialni dziewcząt, zawsze pukał.

Do szlachetnych i mądrych wychowawczyń zaliczam panią Mikke i panią Łabuńską. Były dobre i wyrozumiałe i otrzymywanie kar od nich nie było upokorzeniem. One karały jak sprawiedliwe matki. Poza tym wiedziały, że jest nam źle, bo pomimo ogromnych ilości amerykańskich zapasów byliśmy głodni. Magazyny pękały w szwach od pięknej odzieży, bielizny, pościeli i wszelakiej żywności, a dzieci chodziły głodne, brudne i źle odziane. Dostałam palto, które byłoby za duże nawet na mamę, a buty za małe. Nam wydzielano po trzy ołatki z obrzydliwym grzybowym sosem /nienawidziłam każdej potrawy, która łączy się z grzybami/.

Stanowczo za dużo dekowało się w naszym domu żołnierzy i młodych zdrowych ludzi płci obojga w tzw. wieku do wzięcia. Cały ten "sztab" mężczyzn i kobiet udawał, że pracuje. Wszyscy najedli się do syta, przebrali w piękne amerykańskie ciuchy i chciało im się bawić. Jak się bawić, skoro UNRRA nie przysyła wódki? Znaleźli wyjście. Wokół były biedne kołchozy i sowchozy i chociaż nie produkowały mleka za to samogonu - do syta. Szybko polskie władze zważały się z rosyjskim naczęstwem i

rozkwitł handel wymienny. Błyskawicznie zniknął z półek amerykański towar a w to miejsce pojawił się bimber. "Chłopcy" pili i bawili się. Byli tutaj "niezbędni" - tworzyli olbrzymi, biurokratyczny aparat. Pełnili funkcje "zaopatrzeniowców", magazynierów, księgowych, zastępców, pomocników i pomocników pomocników. Byli więc ci, co coś znaczyli i nic nie robili i ci, co robili ale nic nie znaczyli. Od razu podzielili się na panów i sługi. Panami byli syci i cwaniacy, a reszta - sługami.

Dziewczęta powyżej 16 lat mieszkały w osobnym baraku. Były niby do pomocy wychowawców, kucharek, szwaczki, ale tak naprawdę to były po to, by panowie "wojskowi" mieli zapewnioną rozrywkę na miejscu. Żeby żyć, musiały godzić się na taki los jaki im zgotowali "opiekunowie".

Były swego rodzaju orgietki i noce pijanych bachantek. Te, które nie chciały się "podporządkować" żyły w nędzy i wykonywały najgorsze roboty: myły podłogi, prały, rąbały!!/ drzewo, oczyszczały ubikacje i wywoziły na pola, sprzątały u "panów". Pamiętam takie dwie siostry: Weronikę i Teresę - studentki ze Lwowa, które harowały jak "czarnoraboczyje" analfabетки. Teresa miała zaawansowaną gruźlicę i jej nie wolno było pracować, ale skoro nie chciała brać udziału w "zabawach" musiała tyrać. Widziałam ją jak rąbiąc drzewo w byle jakiej okryjbidzie i podartych starych rękawicach, opierała się o długie toporzysko i zamykała oczy. Kręciło się jej w głowie. Umarła gdy zaczęły tajać śniegi.

Jej siostra Weronika, pomimo swojej niewątpliwej urody, sprzątała nieczystości po hulaszczycach nocach i czyściła zarzygane mundury panów wojskowych. Te "lepsze" też miały życie nie do pozazdroszczenia. Zobaczyłam spazmatycznie płaczącą

pannę Jancię skarżącą się mojej Marysi na coś czy kogoś i pokazującą na swój brzuch. Podeszłam bliżej i usłyszałam jak mówiła do Marysi: "Dziękuj Bogu, że jesteś jeszcze dzieckiem. Boże, co to będzie, co będzie ze mną...". Zobaczyła mnie i umilkła ale dalej płakała. Panna Jancia musiała wyjechać do Kotłasa w "bardzo ważnych sprawach" i już nie wróciła do Tisowej. Mama spotkała ją w Kotłasiu, mówiła, że umarło jej dziecko. To samo spotkało pannę Zosię i wiele innych młodych dziewczyn. Ich nieszczęściem był głód, nędza, wszy i to, że miały ponad 17 lat, a nie miały na tyle silnej woli, by nie pozwolić się bezcześcić.

Wysoko trzymała swoją piękną głowę panna Luśia Ulatowska mądra i wykształcona i byle kto nie mógł jej zaimponować ani podskoczyć. Panna Luśia знаła swoją wartość i w swych drobnych dłoniach mocno trzymała cugle młodszych sióstr i braci. Pracowała w przedszkolu, pięknie śpiewała i tańczyła i oczy mężczyzn ścigały ją jak wyżły zajaca, ale ona była nie tylko pięknnością, a przede wszystkim rozumem.

Starsze dziewczęta, lecz nie te "specjalne" posyłano by zносиły posiłki dla panów pracowników, którzy akurat w porze obiadu czy kolacji źle się czuli. Czasami posyłano Marysię aby podgrzała i podała obiad, któremuś z pracowników. Szłam z nią również i wybierałam palcami co większe kawałki mięsa z gorącej zupy. Parzyłam palce ale robiłam to. Marysia nie pozwalała mi, groziła, że powie pani Mikke, płakała, że ją o to posądzą, ale nie wzruszało mnie. Niestety, ciągle byłam głodna.

Nauczyłam się udawać pokorę, gdy tylko przekraczałam próg pana wojskowego. Przeważnie nie zauważał mnie. Byłam nic nie znaczącym punkcikiem, lecz moje jedno spojrzenie na pokój

mówiło mi od razu co się tutaj działo lub będzie dziać. Przeszłam szkołę w Łukijki i na bazarze w Kotłasie, wiedziałam co robią dorośli. Siadałam skromnie i "smutnie" patrzyłam przed siebie, podczas gdy Marysia szykowała posiłek. Wtedy widziałam pannę Jancię lub inną paradujących na golasa po pokoju. Widziałam mnóstwo wspaniałego jedzenia, czekolady i wódki. Nieraz udawało mi się podkraść czekoladę, orzechy, daktyle lub inne smakołyki. Oni i tak nie liczyli tego. Mieli w bród wszystkiego, a nam pan "doktor" wydzielał głodowe porcje. Reszta szła na bimber.

Późną jesienią przyjechała do nas mama. Ze skierowaniem od delegata z Kotłasa poszła do dyrektora. Kazał mamie zakwaterować się w maciupieńkiej izdebce, zajmowanej już przez dwie Żydówki. Przyjęły mamę dość obojętnie lecz nie wrogo. Starsza z nich miała bujną, prawie do piersi sięgającą brodę i dwoje ślicznych dzieci Celinę i Szymka - też byli w domu dziecka. Druga była samotna, ciągle płakała i bolało ją serce.

Dyrektor zlustrował mamę i powiedział, że ma nadzieję, że mama przyjechała pracować, a nie jeść za darmo. Mama powiedziała, że mogłaby pracować, może z małymi dziećmi, chodzi bowiem o to żeby się nie przeziębila bo jest po ciężkim kilka miesięcy trwającym zapaleniu płuc. Dyrektor zaśmiał się, powiedział, że jeżeli nie ma jeszcze sprzątaczkii to może sprzątać w przedszkolu ale on wątpi, do "wychowywania" to on ma fachowe siły. Nakoniec kategorycznie zabronił mamie spotykać się z nami i wypędził mnie z gabinetu. Stałam za węglem i życzyłam mu ze wszystkich mocy, żeby go grom zabił. Klęłam wszystkimi znanymi mi osobiście, jak i zapożyczonymi przekleństwami od Oli Włoczkowskiej, /w tym Ola była bezkonkurencyjna/. Mama wyszła smutna i zapłakana, a ja przytuliłam się

do maminego chudego boku i razem poszliśmy do panny Lusi. Panna Lusja zmartwiła się bo przedszkole sprzątała już Żydówka z brodą. Musiała mama piłować ^{drzewo} rąbać i palić w przedszkolu. Pomagała mamie chora panna Teresa, ale była tak słaba, że mama musiała ciągnąć i ją i piłę. Po chorobie mama też była bardzo słaba i nie miała siły ciężko pracować, poza tym nie nauczyła się rąbać drzewa. W domu nigdy tego nie robiła. Drzewo rąbał Wołod'ka. Mama lubiła prace w ogródku lecz plewiła w rękawiczkach. Tutaj nie dostała ani ciepłej odzieży, ani rękawic, ani butów.

Idąc do stołówki na obiad widziałam mamę pochyloną i bardzo wolno rąbiącą grube kłody. Serce mi się wyrwało i jeżeli prowadziła nas Pani Mikke, widząc moje tęskne spojrzenia, szeptała: "Biegnij przywitać się z mamą, tylko się nie spóźnij". Nie trzeba mi było powtarzać tego dwa razy. Rwałam do mamy nie patrząc na głęboki śnieg, czy grząskie błoto.

- "Mamo - mówiłam - mamo moja kochana, jak mama się czuje?" Mama próbowała się wyprostować, lecz nie mogła, patrzyła na mnie półzgięta i uśmiechała się z zażenowaniem: "Dobrze, moje dziecko - tylko bardzo bolą mnie plecy". Znów miała spuchnięte ręce a twarz nabrzmiałą i bladą. Płakałam patrząc na mamę.

- "Mamo, mama jest chora" - tuliłam się. Mama siadała na kłodzie, przykładała swoje rozpalone policzki do moich i płakała.

- "Źle nam bez naszego tata - mówiła. Biegnij na obiad, bo ukarają ciebie i nie dadzą ci jeść, będziesz głodna".

- "Zawsze jestem głodna" - mówiłam i szłam wolno do stołówki, gdzie zadowolony z siebie, najedzony i coraz tłuśniejszy pan "doktor" wyjaśniał głodnym dzieciom, ile to kalorii, ile witamin i różnych makro- i mikro dostajemy dzisiaj na obiad. Nie wiedziałam, co to jest "makro", bo "mikro" leżało

na talerzu. Nie czekając aż skończy się modlitwa siadałam i machałam z taką wściekłością łyżką po talerzu, że wodnista zupa chlupała na wszystkie strony. Pan "doktor" udawał, że nie widzi tego, czasami chciał mnie ukarać, a wówczas tak się darłam, że zaniechał tego.

Dzieci, których rodzice, a właściwie jedno z rodziców przebywało tutaj nie mogły spotykać się z nimi. Po prostu dyrektor zabronił. To, że udawało się nam pobiec do mamy, zawdzięczamy pani Mikke, która narażając siebie na przykrości pozwalała nam na to. Miała tutaj syna /chyba Jerzego/ i dwie córeczki: Zosię i Krysię. Też były w grupie. Zazdrościłam im, że mogą codziennie widzieć swoją mamę. Tęskniłam do mamy i płakałam często. Kiedyś zobaczyłam mamę i nie pytając o pozwolenie głupiego wychowawcy /spotkałam go po wojnie, był dyrektorem departamentu w ważnym ministerstwie. Ucieszyłam się i spytałam go o Tisowuju. Ze złością odpowiedział: "Ja nigdy tam nie byłem"/ i pobiegłam do mamy, ale poślizgnęłam się i rozbiłam sobie kolano a także porwałam pończochy. Zaczęłam głośno płakać. Mama podbiegła do mnie, całowała moje rozbite kolanko i też płakała. Wychowawca ukarał mnie pozbawieniem kolacji i nie otrzymałam nowych pończoch, chodziłam w porwanych.

Przebywający tutaj inwalidzi lub rekonwalescenci traktowani byli gorzej niż zwierzęta. Posiłki jedli po nas, jeszcze gorsze niż nasze, a porcje dostawali głodowe. Z nimi jadła także nasza mama. Toteż stawała się coraz słabsza i coraz gorzej się czuła.

Czasami Emil ze Zdzichem piłowali i rąbali drzewo za mamę ale nie wolno było tego robić. Za to, że Emil miał tyle "wolnego czasu" by pomagać "innym" dyrektor wyznaczał mu najgorszą

robotę. Nie było komu poskarżyć się, wszyscy byli zastraszeni.

Wiedziałam o jakiej potrzebie mama rąbie drzewo i sama starałam się wyskoczyć choć na moment do mamy, ale nie zawsze mogłam. Zależało to od tego, kto z wychowawców miał dyżur. Toteż zaniepokoiłam się bardzo nie widząc dłuższy czas mamy pod wiatą. Na nocny dyżur przyszła pani Mikke i pozwoliła nam pobiec do mamy. Zastałyśmy mamę chorą i w gorączce, nie mogła wstać z łóżka. Nikt mamy nie doglądał ani nie leczył. Pan "doktor" nie przyszedł. Nie wiedziałyśmy co robić. Tymczasem w przedszkolu nie napalono w piecach. Żydówka nie poszła po drzewo, było zimno i oburzona panna Lusja powiedziała dyrektorowi czy zastępcy o tym. Przyszedł jeden z lizusów dyrektora, kierownik kuchni - lepszy złodziej i pijak. Kazali mamie wynosić się stąd bo jest wyrzucona z "pracy". Wykrzykiwał pod oknem, że od kiedy pojawiła się mama, ciągle coś komuś ginie. Mama tłumaczyła, że nie ma z nikim kontaktu, że jest chora i jak trochę wyzdrowieje to pójdzie, ale ten cham powiedział, że jeżeli nie opuści Tisowuju w ciągu paru godzin, zawiadomi milicję o wszystkich kradzieżach jakie miały miejsce i aresztują mamę.

Znów była zamieć i mróz, jak w 1940 roku. Mama zwijała swój węzełek i ubierała się do wyjścia. Całą czwórką trzymaliśmy mamę i błagaliśmy, aby nie szła, bo jest chora i nie ma ciepłych rzeczy, ale mama wzięła swój tobołek i bez obiadu, głodna poszła w syberyjską zimę.

Pani Mikke pozwoliła nam odprowadzić mamę aż do wsi. Objęła mamę i obie przytulone do siebie płakały. Odprowadziliśmy mamę dość daleko ale musieliśmy wracać. Na dworze kurzyło i sypało śniegiem ze wszystkich stron. O parę kroków niczego nie było widać. Wydało się mi, że zbyt szybko straciłam mamę

z oczu. Wróciłyśmy na obiad. Nie mogłam jeść. Po raz pierwszy od wyjazdu z Polski nie miałam apetytu. Obiadu nie tknęłam. Poczułam się okrągłą sierotą.

Wieczorem bardzo bolała mnie głowa i trzęsło mną. W izolacie przeleżałam cały tydzień lecz pan "doktor" nie wiedział co mi jest. Gorączka nie spadała. Przychodziła do mnie siostra Mossakowska, ale już nie lubiła ani mnie ani Marysi tak, jak w Kotłasiu kiedy żył tato. Nigdy też nie mówiła o księdzu Grabskim, za którym ciągle tęskniłam. Ksiądz nie odwiedził nas w Tisowej ani razu.

Przez cały czas choroby majaczyłam, ciągle widziałam mamę zapadającą się w śniegu po szyję lub tonącą w Dwinie. Krzyczałam i zrywałam się. Wołałam siostrę na pomoc. Wtedy panna Bernadetta wychodziła z za parawanu zła i rozchełstana i wydzierała się na mnie, że taka duża dziewczucha, a taka głupia. Dawała mi coś obrzydliwego do wypicia i kazała spać. Po tym napitku również nie mogłam usnąć, zapadałam się jakby w siebie, nie mogłam ruszyć ani ręką ani nogą, ani nawet krzyknąć głośno. Zdawało mi się, że umieram, wołałam "ratunku", lecz nikt nie przychodził mi na ratunek. Z kąta ściany od sufitu odrywała się kulka, rosła, robiła się coraz większa i po równi pochyłej toczyła się na mnie i ja wiedziałam, że kiedy spadnie zadusi mnie. Wytężałam wszystkie siły i z okropnym wrzaskiem siadałam na łóżku z sercem walącym jak młot. Tym razem wpadał pan kapral, narzeczony siostry Bernadetty /w Kotłasiu też bardzo mnie lubił/ i z niemniejszą złością kazał mi się uspokoić, bo spuści mi lanie, jeżeli nie będę spała /nigdy mnie jednak nie uderzył/. Chwytałam go za ręce i błagałam żeby posiedział przy mnie, bo ja się boję, bo coś chce mnie udusić, ale on nie miał czasu i chęci siedzieć przy mnie.

Śpieszył się do swojej narzeczonej i powiedział, że on pierwszy mnie udusi, jeżeli się w tej chwili nie uspokoję. Starał się wlać mi coś do ust, ale ja kręciłam głowę i zaciskałam zęby i płyn rozlewał się na koszulę i pościel lecz nie do ust. Zrezygnowany wychodził za parawan i mówił do siostry: "To zmora ją dusi, pozwól, żeby Marysia czuwała przy niej w nocy". Był lepszy od siostry i było mu mnie żal. Nie wiedziałam co to ta "zmora" lecz bardzo się jej bałam. Istotnie Marysia pilnowała mnie we dnie i w nocy, aż wyzdrowiałam. Wstałam odmieniona: poważna i smutna. Wokół spostrzegłam przedziwne zmiany: nie było dyrektora, nie było panów wojskowych, kierownika kuchni, którego nienawidziłam jeszcze bardziej niż pana "doktora", jak też niektórych wychowawców.

Dowiedziałam się, że dykcja i cały "sztab" wojskowych zostali aresztowani i osadzeni w łagrach na Bołtince czy Li-mendzie. "Cywile" natomiast mogli pozostać jeżeli chcieli. Niektórzy wychowawcy zostali z nami. Byli to panie Łabuńska, Mikke i Chudzikowa i pan Pokrzywa /wkrótce poszedł do I Armii WP/. Wychowawcami jednak już nie byli, raczej coś w rodzaju pomocników wychowawców. I tak pani prof. Grądkowska, która znała 9 języków została nocną nianią, wylewała nocniki i pilnowała nas w nocy. Znała tysiące bajek, legend i ciągle coś pięknego opowiadała nam na dobranoc. Nową wychowawczynią grupy, w której byłam została Maria Dmitrijewna - Rosjanka, a zastępczynią Serafina Fiodorowna. Dyrektorką była śmieszna malutka, o świdrujących oczkach zabiedzona kobiecinka. Miejsce pana "doktora" zajęła lekarka z tisowskiej bolnicy, a zamiast siostry Mossakowskiej była pielęgniarka pani Stasia Bryska, Polka, przesiedlona wraz z rodzicami na Sybir po 1921 roku. Po odbyciu "kary" pozwolono im osiedlić się bliżej Kotłasa

właśnie w Tisowej, nie wróciła do swego Żytomierza, nie było wolno.

Wychowawczynią młodszej grupy została pani Halina /nie pamiętam jej nazwiska/, która wywodziła się także z polskich przesiedleńców. Wyrwano ich tak samo nagle i nieoczekiwanie, jak nas, gdzieś spod Kamieńca Podlaskiego i wywieziono na Sybir na 10 lat katorgi. Wszystkich/garstką została przy życiu/ Stalin "ułaskawił" i pozwolił osiedlić się w Republice Rosyjskiej w Tisowej. Tutaj pokończyły szkoły i zdobyły zawody, tutaj pozakładały swoje gniazda. Obie panie pięknie mówiły po polsku, były wesołe i bardzo dobre dla nas. Pani Stasia była czarującą blondynką, a pani Halina brunetką o radosnych oczach. Podziwialiśmy je, Pomimo dwudziestoletniego pobytu wśród Rosjan nie zapomniały języka. Właściwie nauczyły się go tutaj, były bowiem bardzo małe gdy ich wywożono, a tradycje polskie kultywowały nadal.

Wychowawczynie-Rosjanki starały się "zaskarbić" naszą przyjaźń, ale my, typowi Polacy, nie polubiliśmy ich z polskiej przekory za to, że "zabrali" nam Polaków, którzy /mówiąc oględnie/ nie zasługiwali na to miano.

Trzeba pamiętać, że ci tzw. "tutejsi" Rosjanie też nie byli tutejszymi. Byli częsteczką pozostałą po wywiezionych "burżujach" po rewolucji 1918 r. Ponowne aresztowania Polaków, w tym także naszą dyrekcję i wojskowych, nastąpiły gdy generał Anders wyprowadził całą polską armię do Iranu. Łagry i więzienia na nowo zapełniły się Polakami.

Zaczęto wydawać Polakom rosyjskie paszporty. Jedni brali, inni nie. Nie wiedzieli jak postąpić, co robić. Poza tym straszono, że kto weźmie paszport, tym samym przyjmie rosyjskie obywatelstwo i nie wróci do Polski, a perspektywa pozostania

tutaj była gorsza od śmierci. Jedni szli do łagrów, inni z oporem brali paszporty.

Nienawidziliśmy również i za to rosyjskie wychowawczynie, że nasze mądre i wykształcone nauczycielki zeszyły do podrzędnych ról i znów stały się "czarnoroboczymi". Jedna pani Helena Chudzikowa była nadal nauczycielką. Ciężko było patrzeć jak wszechstronnie wykształcona pani Grądkowska podciera dzieciom tyłki i sprząta ubikacje.

Jak przedtem baliśmy się okrutnego dyrektora, tak teraz nikogo. Przedtem nienawidziliśmy apeli z modlitwami i pieśniami, to teraz wszyscy modliliśmy się żarliwie pod kierunkiem mojej siostry Marii.

Rosjanie rozpędzali modlące się dzieci, ale my woleliśmy męczeńską śmierć i dalej modliliśmy się. "Raikom" przysłał do nas prelegentów - zakute łby - którzy na siłę chcieli pokazać nam "grzechy" Andersa i polskich władz, ale my gwizdaliśmy, tupali i prelekcje nie odbywały się. Rozpędzono więc całą starszą młodzież. Wyjechał Emil, Gienio i Zdzicho, Władek i wielu innych. W domu dziecka zostały faktycznie dzieci. Nasze wychowawczynie starały się uzmysłwić nam niegodne postępowanie poprzedniej dyrekcji, ale my nie słuchaliśmy ich.

Wśród nowego personelu nie brakowało głupców, hołoty i drani. Do najgorszego tępaka i łotra zaliczam męża naszej lekarki, skąd inąd bardzo mądrej i dobrej kobiety-lekarza. Był to ograniczony dureń, leń i dekownik. Coś sobie zrobił by nie iść na front, został i wyżywał się na polskich dzieciach. Jego upolityczniające pogadanki to był stek bzdur i kłamstw i sloganów bez żadnego pokrycia.

Kiedyś, gdy była jeszcze starsza młodzież, Emil spytał go, dlaczego nie jest na froncie, taki zdrowy mężczyzna i wielki

patriota. On spienił się i powiedział, że wszystko co mamy zawdzięczamy wielkiemu i "priemudriennemu" Stalinowi i że on po to został, by uświadamiać i wychowywać polskich "panów".

Przyszło lato, a my nie mieliśmy żadnej wiadomości od mamy. Często płakałam i pisałam listy, ale nie wiedziałam dokąd je wysłać.

Tisowaja, jak Obil - była w środku lasu i nad rzeką. W lecie jagód, poziomek i grzybów było pełno. Musieliśmy zbierać codziennie na zapasy na zimę. Miarką było pudełeczko po soi. Ja robiłam podwójne dno i swoją "normę" oddawałam bardzo szybko. Kiedyś przyszłam z lasu dość wcześnie i zobaczyłam niezwykle ruch w domu. Wychowawczynie i dzieci biegły. Widziałam, że dużo dzieci płacze. Podbiegłam do Marysi i też zaczęłam płakać, bo zobaczyłam u niej na piersi czarną kokardkę. Od razu pomyślałam, że umarła mama, ale ona powiedziała, że dzisiaj zginął nad Gibralterem generał Władysław Sikorski.

To był grom. Generała Sikorskiego kochałam jak naszego tata, jak "Dziadka" przed wojną. Wraz z nim zginęła wielka nadzieja na powrót do Polski.

Jakże wielkie nadzieje łączyliśmy z tym Wodzem! Wszystkie nasze dziecięce serduszka były dla niego. Wszystkie myśli zaczynały się od niego i kończyły na nim. A tu nagle nie żyje. Świat nad naszymi głowami zawalił się. Ostatni promyczek na powrót - zgasł. Płakaliśmy, Nawet najmłodsze dzieci przyczepiały czarne kokardki i płakały. Wszyscy wiedzieliśmy, kto to był generał Sikorski i wszyscy wierzyliśmy w niego jak w zbawienie.

Rosjanie gonili za nami, zrywali czarne wstążeczki i bili nas, a najbardziej szalał mąż lekarki. Nazywał nas kontrrewolucją i niegodziakami. Rzucał w dzieci polanami, kamieniami

i czym popadło.

Tego dnia, 4 lipca 1943 roku nie dostaliśmy ani obiadu, ani kolacji za karę.

Wieczorem wszystkie dzieci, małe, średnie i najstarsze zebrały się na wspólną modlitwę za generała i za nasz powrót do Polski. Ja więcej rozmyślałam niż się modliłam. Po śmierci taty nie wierzyłam, że Bóg czuwa nad nami i myśli o nas..Byłam i klęczałam ze wszystkimi, ale myślałam sobie, jak to tak jest, że Pan Bóg taki dobry /zawsze mnie tak uczono/ a tyle nieszczęść na nas zsyła. Dlaczego jest zawsze źle ludziom dobrym i szlachetnym? Dlaczego nie są karani ci, którzy /według mnie/ zasłużyli na karę. Dlaczego właśnie teraz, kiedy już mieliśmy nadzieję na powrót do Polski, umarł mój tato, a teraz ten Wódz-Zbawca. Dzięki jego mądrości wydostaliśmy się z tajgi. On uwielbiany przez wszystkich - nie żyje.

Razem z nami boleśnie przeżywały śmierć generała obie Polki, pani Stasia Byrska i pani Halina. To były ^{nasze} dobre duchy. W wolnych chwilach siadały z nami, rozmawiały, pocieszały i mówiły, że one nie znają Polski, nie wiedzą jak tam się żyło i jacy byli Polacy, ale życzą nam powrotu z serca i duszy. One nie miały nadziei ujrzeć Polski, ale o Polsce nie zapomną.

Podziwiałam je obie za piękną polszczyznę i miłość do nieznanej ojczyzny.

Pani Halina opowiadała nam o swoim przystojnym mężu i czekała na niego. Jak większość młodych mężczyzn, był na froncie. Pani Halina mówiła nam, że za każdy otrzymany od niego list pości w piątki /tak ją nauczyła mama/, dziękując w ten sposób Panu Bogu za czuwanie nad jej mężem... Mąż pani Haliny był Rosjaninem.

Pewnego razu siedziałyśmy z panią Haliną i uczyłyśmy się

polских piosenek. Były to przeważnie piosenki z Legionów - te których nauczył mnie i Marysię nasz tato. Ona nas też uczyła polskich wierszy i piosenek, których my nie znałyśmy. Dziewczynki zaśmiewały się ze słów: "tam koło wody, stoi chłop młody, idźże go sobie weź...". Najbardziej rozśmieszał nas ten "chłop młody" bo wyobrażałam sobie ukraińskiego muzyka w płóciennych portkach i koszuli z kosą na ramieniu. Było nam wesoło, był piękny dzień i jakoś rażno na duszy. Dzieci nie umieją długo być smutne. Pani Halina przyniosła swoje zdjęcia. Pokazywała i wyjaśniała: "To jest nasz dworek, tam w Polsce /choć Zytomierz po 1921 r. nie był polski, nie pozwolono im wrócić do swego domu, ona mówiła w "Polsce"/, a ta brzydka dziewczynka na kucyku, to ja, a tutaj ja w szkole, a to moja babunia". - "Babunia" - wykrzykiwałyśmy jednogłośnie, patrząc na zalotny uśmiech czarującej panienki na fotografii. - "No tak - wyjaśniała pani Halina - babunia, ale wtedy jeszcze nie była babunią, wtedy panowie pojedynkowali się o nią, a ona przebierała jak w ulęgawkach".

"Aha" - wzdychałyśmy przeciągle, bo faktycznie szkoda takiej pięknej dziewczyny na babunię. Babunia to przecież dystygowana, starsza pani, a nie młodziutka śliczna dziewczyna.

- "A to, to jest mój - odchyłała głowę, przyrykała oczy i mówiła - kochany "chłop młody".

Wszystkie nasze głowy pochylały się nad zdjęciem by zobaczyć tego, za którego pani Halina pościła w piątce. Zdjęcie przedstawiało panią Halinę jakby uduchowioną: z głową na ramieniu przystojnego młodego lejtnanta. Odsuwałam zdjęcie i mówiłam: "Eee, Rusek" - chociaż też bardzo mi się podobał. Pani Halina śmiała się i mówiła, że to nic, że jest Rosjaninem, bo to bardzo dobry i mądry mężczyzna. W ogóle ciągle coś dobrego

miała do powiedzenia o nim. Nie odezwałam się, a pani Halina dorzuciła: "Poznacie go, bo niedługo przyjedzie na parę dni, pisał, że dostanie urlop". Wyjmowała po kolei zdjęcia, wyjaśniała gdzie i kiedy były robione. Jedno zdjęcie było z frontu. Przedstawiało typowy widok żołnierzy siedzących i stojących i leżących przed bitwą czy natarciem.

- "Taki teraz jest mój Koleńka - ten z kropką nad głową, poznajecie?".

- "O listonoszka"- powiedziała Bronia, podniosłyśmy głowy i jakoś zrobiło się nam nieswojo.

Na przełaj, przez trawę szła do nas listonoszka. Była inna niż zwykle, poważna i nie uśmiechała się do pani Haliny, ani nie machała "trójkącikiem" jak to zwykle robiła, gdy niosła dobrą wiadomość od Koleńki. Przystanęła, nie pozdrowiła nas, bez słowa wyjęła urzędowe pismo i podała pani Halinie. Ta chwyciła je, wstała, zbladła, podniosła ręce z papierem w górę i znów usiadła. Nie powiedziała ani słowa, ścisnęła kartkę w dłoni i powlokła się przed siebie, depcząc rozsypane zdjęcia.

- "Podpiszy" - powiedziała listonoszka, podsuwając Marysi jakąś kartkę. Też nie odezwałyśmy się słowem. - "Muza jej ubili" - wyjaśniła listonoszka, machnęła ręką i odeszła.

Po tygodniu przyszła pani Halina do pracy. Biała była jak płótno, cieniutka jak brzołka i cała w czerni. Jej oczy nie były już radosne.

Pod koniec czy może w połowie rozchłapanego, zimnego października, przyjechała do nas z Solwyczegodska Lidia Pierfirijewna - zastępca dyrektora tamtejszego domu dziecka. Na apelu dowiedzieliśmy się, że za parę dni opuszczamy Tisowuju, gdyż wyjedziemy do Solwyczegodska do nowego domu dziecka, do

nowych wychowawców i nowego dyrektora. Ledwo zdążyliśmy się trochę przekonać do obecnych wychowawców i nagle zmiana. Nie wiem dlaczego nas stąd wywożono. Myślę, że było to za sprawą pani Koszutskiej, która w lecie zabrała trochę młodzieży do Zagorska, do polskiego domu dziecka. Tisowaja była całkowicie odcięta od świata i ludzi i tylko po Dwinie można było gdziekolwiek wydostać się. Tymczasem powstawał ZPR w Moskwie. Teraz członkowie ZPP jeździli po zakamarkach Syberii i zabierali polskie dzieci do masowo organizowanych polskich domów dziecka. Z panią Koszutką pojechała starsza młodzież wraz z młodszym rodzeństwem. My z Marysią, niestety, należałyśmy do młodszych dzieci. Bardzo chciałam jechać, ale nic nie pomogło. Teraz szykowałam się do Solwyczegodska.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Solwyczegodsk - dom dziecka po raz drugi

Była późna jesień. Padał śnieg i Dwina zamarzała nocami, a my ciągle czekaliśmy w rabowskiej szkole na przybycie parostatku. Dnie mijały. Nie mogłam się doczekać, aby płynąć do następnego domu dziecka. Szkoła nie była przygotowana na "gosczenie" dniem i nocą takiej ilości dzieci. Nasze ubrania nasiąknięte wilgocią walały się na ławkach i pod ławkami. Nie rozebrani kładliśmy się na zabłoconą podłogę i zapadaliśmy w niezdrowy sen. Byliśmy głodni i było nam zimno. Przeziębiam sobie nerki i potem długo chorowałam.

Z nieba siąpił deszcz na zmianę ze śniegiem. Raz chwycił ostry mróz, to znów robiła się odwilż, przenikała we wszystkie komórki ciała biednie odzianych i głodnych dzieci, "gdzieś" bowiem przepadły UNRR-owskie dary. Zimno, niedożywienie i choroby znosiły tylko silniejsze jednostki. Wiele dzieci zabrano do rabowskiego szpitala, kilkoro umarło. Na parę dni przed wyjazdem umarł Bolek, malutki brat mojej koleżanki, Janki Mielieszko. Wszyscy płakaliśmy nad nim. Pochowano Bolka na niewielkim tisowskim cmentarzyku.

Zauważyłam, jako coś prawidłowego, że jeżeli dokądś jechaliśmy, było zawsze zimno i padał śnieg, albo deszcz, albo jedno i drugie na raz.

Odprowadziły nas do Rabowa rosyjskie wychowawczynie i drogie naszym sercom Polki - pani Stasia i pani Halina. Obie były smutne. Byliśmy dla nich częstką Polski, której nie znały. Wiedziały, że mamy nadzieję na powrót. One - żadnej. Ich Polska

to Żytomierz i Kamieniec Podolski, lecz tam wrócić nie było im dane. Zostawały tutaj wśród lasów, komarów i bagien - na zawsze. Pani Stasia tuliła nas, uśmiechała się i płakała na przemian. Pani Halina nie płakała. Przyciskała swoje suche usta do naszych policzków i bezbarwnym głosem mówiła: "Daj wam Boże, daj wam Boże samo dobro". Odwróciła się i nie oglądając się poszła, wysoka i czarna.

Sygnалу z Dwiny ciągle nie słyszeliśmy i nie było wiadomo, kiedy popłyniemy. Co chwila ktoś biegał na przystań, sprawdzić na własne oczy czy nie zawinął parostatek. Było to daremne. Statku ani widu ani słyhu, a jesień niepostrzeżenie przechodziła w zimę.

Starsi chłopcy organizowali samorzutnie warty, ażeby tylko nie przegapić statku. Prócz nas koczował tłum Rosjan, chętnych do płynięcia. Nie było innej drogi wydostania się stąd, tylko rzeką. W Solwyczegodsku ludzie mieli nadzieję kupić coś do jedzenia.

Jak wszędzie, także i tutaj wiele płodów ziemi zostawało "zimować" na polach. Mogły przepaść, zgnić, zmarznąć, ale tknąć tego nie było wolno. Przypominało mi to sowchoz w Czerewkowie i zmarznięte kartofle... Wartownik z karabinem na ramieniu chodził dokoła i pilnował, aby wszystko dokładnie zmarzło i zmieniło się w nawóz, a wtedy nie zbiorą tego głodni ludzie.

Codziennie w południe, gdy puszczał lód i tajał śnieg, biegaliśmy na kołchozowe pola po żywność. Nie baliśmy się wartownika, wiedzieliśmy, że może do nas "strzelać" chyba z tego zamarznętego grochu jaki walał się na zagonach.

Dzieliliśmy się na grupki i gdy wartownik z wyciągniętym przed sobą karabinem gonił jedną grupę, "rezerwa" rzucała się do "ataku". Nic innego nie pozostawało biedakowi jak wygrażać

nam i kląć na czym świat stoi. Odpłacaliśmy mu niegorszymi słowami. Cała ochronka klęła znakomicie. Zbieraliśmy ziemniaki, brukiew, groch i słodki turnieps. Paliliśmy ogniska, piekliśmy to i czekali na parostatek. Nie rozumiałam dlaczego "nieleżia" było ludziom zebrać ^{tych płodów,} dlaczego musiały się zmarnować, skoro był taki głód.

Te "trofiejne" warzywa pomogły przetrwać nam i doczekać się statku.

Po kilkunastodniowym wyczekiwaniu, usłyszeliśmy nad ranem zachrypły "gudok" /gwizd/. Nareszcie jest ten upragniony statek. Zerwaliśmy się na równe nogi i pędem pobiegliśmy na przystań.

Tutaj zatrzymaliśmy się przerażeni. Olbrzymi tłum szturmował spuszczonego trap. Nie pomagały prośby ani groźby. Ludzie pchali się jeden przez drugiego, wpadali do lodowatej wody, wołali o ratunek, topili się, ale nikt na tonących nie zwracał uwagi. Żywi chcieli wejść na statek za wszelką cenę, nawet po trupach. Załoga klęła, biła i odpychała napierających, lecz nie panowała nad sytuacją. Marynarze nie mogli przeciwstawić się tłumowi. Kapitan krzyczał przez tubę, machał rękami, ale nie docierało to do nikogo. Wątpię czy nawet wystrzał z Aurory mógłby powstrzymać szturmujących.

Jakimś cudem udało się załodze otoczyć dzieci kordonem i wprowadzić na pokład. Statek natychmiast odbił od brzegu i popłynęliśmy znów na tej samej "Krasnoj striele", lecz już bez orkiestry.

Na statku było tłoczno, zimno i brudno jak w szkole, i tak samo chciało się jeść. Rzeka marzła i kapitan martwił się, że bez "buksira" /holownika/ ciężko będzie dopłynąć. Po kilku okropnych dniach, przycumował statek w Solwyczegodsku.

Na przystani czekali na nas dyrektor ubrany po wojskowemu i młode wychowawczynie. Zauważyłam, że dyrektor nosił rękę na temblaku. Oni na nas wywarli miłe wrażenie, choć ten "mundur" na dyrektorze brzydtko kojarzył mi się z innym dyrektorem w "mundurze". W ich oczach odbijało się jakby lekkie przerażenie, gdy patrzyli na brudne, wynędzniałe i chore dzieci. Chorych zabrano na sanie, a reszta "widm" szła za Nikołajem Nikołajewiczem do nowego "domu".

Podzielono nas na trzy grupy: młodszą, średnią i starszą. Moje przyjaciółki - Stasia Włoczkowska i Jadzia Kłoc wraz ze mną znalazły się w średniej grupie. Póki co byłam w izolatce, bo ciężko chorowałam na nerki. Marysia, Janka Mieleszko, Ola /siostra Stasi/ mieszkały w drugim domu. Każda grupa miała swoje wychowawczynie. Prócz dyrektora-mężczyzny, pracowały tu wyłącznie kobiety.

W domu grupy średniej mieszkał nasz dyrektor z rodziną. Zajmował niezbyt duże 2 pokoje obok naszej sypialni. W naszej sypialni stało 14 łóżek. Moje było między łóżkiem Stasi a Jadzi. Ja ciągle byłam chora, ale lekarz nie przychodził do nas. "Leczyła" nas młodziutka pielęgniarka Wala, którą niewiele obchodziły chore dzieci. Wpadała do nas jak po ogień, pytała jak się czujemy i wybiegała do "gospitala" /wojskowego szpitala/ gdzie pracowała na ochotnika. Słyszałam jak Wala zachęcała naszą wychowawczynię Ninę Aleksandrownę, by też tam pracowała, bo łatwo złapać męża. Wala jak i Marusia na Obilu, po prostu nie miała czym nas leczyć, bo lekarstw nie było absolutnie żadnych, także na wszystko była pomocna nieśmiertelna "margancowka" Wala dziwiła się, że my mimo wszystko żyjemy.

- "Dietoczki, wy żywy?" - pytała z progu.

Ja nie umarłam, ale dzieci umierały.

Prawdziwą opieką i troską otoczyły mnie moje kochane przyjaciółki Stasia i Jadzia. Nie wiem czy to z braku witamin, czy z przemarznięcia w Rabowie, dostałam znów czyraków. Tym razem mniej było na twarzy, za to pełno po całym ciele. Były wielkości orzechów włoskich i nabrzmiałe żółtą ropą. Ściągały mi skórę tak mocno, że w niebogłosey płakałam z bólu. Jadzia i Stasia powiedziały o moich cierpieniach Nikołaj Nikołajewiczowi. On przyszedł, obejrzał mnie i powiedział, że mi pomoże. Był dobry dla nas. Chyba następnego dnia zawieziono mnie do szpitala.

Byli tu sami wojskowi i choć byli okaleczeni i cierpiący przychodzili na oddział dziecięcy, przynosili cukierki i herbatniki, siadali przy naszych łóżeczkach i opowiadali nam baśnie. Często grali na harmoszkach i bałajkach, śpiewali i tańczyli. Mnie wydawali się prawdziwymi artystami, bo potrafili naśladować wszystko, co jest w przyrodzie. Jeden był chytrą lisicą, inny głodnym lecz nierozgarniętym wilkiem, a jeszcze inny miszką-lipową nogą.

Ich odwiedziny - to była jedyna dobra rzecz jaką zapamiętałam z pobytu w tym szpitalu, bo tutaj też nie leczono. "Margancówkę" zamieniła cuchnąca maść, po której czyraki stawały się tak duże, że zajmowały coraz większą powierzchnię mego chudego ciała.

Nina Aleksandrowna, Stasia i Jadzia zabrały mnie ze szpitala, ale ciągle nie byłam zdrowa. Stasia przejęła rolę pielęgniarki. W nocy, gdy ból nasilał się i męczyła mnie gorączka, podawała mi wodę i nocnik gdy chciałam się załatwić. Była i pozostała moją najlepszą przyjaciółką.

Razem z nami do Solwyczegodska przyjechała pani Helena Chudzikowa i prowadziła tutaj polską szkołę. Zajęcia miała z

klasami od I do III-ej. Starsze dzieci uczyły się w rosyjskich szkołach. Niektóre dzieci chodziły na zajęcia do polskiej i do rosyjskiej szkoły. Do rosyjskiej szkoły, do trzeciej klasy ucze-
szczała Jadzia Kloc. Nauczyciele niewiele znaczyli w tej szkole, gdyż rządziła nią szpana. Nasz dyrektor uprzedzał, żeby uważać i razem się trzymać, bo tam dzieją się straszne rzeczy i polskie dzieci mogą być pobite. Grupką należy iść do szkoły i grupką wracać. Mimo ostrożności jedna taka szpana uderzył Jadzię nożem w rękę tak silnie, że skaleczenie było do kości i trzeba było zszywać rękę. Nadrewane były ścięgna.

Rosyjskie dzieci nienawidziły polskich. Rzucały kamieniami, biły i pluły na nas. Nikołaj Nikołajewicz wszędzie z nami chodził, ale nie mógł rozdwoić się, miał różne sprawy do załatwienia, wyjeżdżał i podobno mocno tłumaczył w NKWD ze swojej uschniętej ręki.

Czasami przychodziliśmy większą grupką po tych, co uczyli się w rosyjskiej szkole. Siedzieliśmy czujni i w napięciu, bo chuligani działali z zaskoczenia. Po korytarzu przechadzał się taki "stary-maleńki" z rękami głęboko wsuniętymi w ojcowe spodnie i z czapką zsuniętą na tył głowy. Stawał przed portretem Rokossowskiego i spluwał przez zęby na kilkanaście metrów mówiąc: "Tju ty prokliatyj Poliak". Nie wiedziałam dlaczego właśnie Rokossowski "był" Polakiem, a nie Malinowski, którego portret wisiał obok. Myślę, że już wówczas był taki trend - szykowanie generałów na "wodzów" przyszłej Polski.

Innym razem zbulwersowała nas wypowiedź nauczycielki, która wyjaśniając jakieś zjawisko powiedziała, że mówił to "nasz wielikij ucziornyj Nikołaj Kopiernik". Oburzyliśmy się wszyscy i powiedzieliśmy o tym Nikołajowi Nikołajewiczowi. On obiecał sprawę wyjaśnić, lecz nie wyjaśnił. Mimo to bardzo o nas dbał

i troszczył się. Chodził z nami na spacer, do kina, na sanki i łyżwy. Wieczorami przychodził do naszej sypialni, siadał przy otwartych drzwiczkach pieca, podsyczał ogień i opowiadał o swoich przeżyciach z wojny. Czasami mówił: "nie mieliśmy broni, obuwia, żywności, niczego a Niemcy wszystko. Strzelali do nas jak do zajęcy na pustym polu. A nasi uciekają, podskakują jak tarakony na gorącej patelni i próbują się skryć, ale nic nie pomagało, padali i ginęli w okropny sposób".

Wiedzieliśmy, że jest zadowolony, iż skończył z wojną, na skutek uschniętej ręki. Wiedzieliśmy również i to, że często wzywa go NKWD tłumaczyć się dziesiątki razy z tej właśnie uschniętej ręki. O nas dbał więcej niż o swoich synów. Nie krzyczał, nie karał głodówką, o biciu w ogóle nie było mowy.

Mimo ciągłego głodu żyło się nam nienajgorzej. Trudno to określić głodem, chciało nam się jeść, bo to co dostawaliśmy było postne i mało.

W domu dziecka kwitło życie artystyczne i kulturalne. Tańczyliśmy tańce polskie i rosyjskie, śpiewaliśmy piosenki zarówno po polsku jak i po rosyjsku. Występowaliśmy, gdzie tylko nas zapraszano. A zapraszano nas do fabryk, do kołchozów, a najczęściej do wojskowych szpitali. Żołnierze ciągle na nas czekali. Każdy nasz występ przyjmowali niemilknącymi brawami. Wtedy objawił się śpiewaczy talent mojej siostry. Wychowaniem muzycznym zajmowała się Jelena Fiedosjewna, wysoka i chuda arystokratka /zesłana była na "wieczność" i pewno doczekała tutaj tej wieczności/.

Jelena Fiedosjewna miała być wielką artystką. Nie dość, że urodziła się bogata, to jeszcze okazało się, że obdarzona jest niezwykle pięknym głosem. Kształciła się w muzyce, grała na kilku instrumentach, ale przede wszystkim uczyła się śpiewu.

Niewiele brakowało do debiutu, gdy los zrządził inaczej... Wymordowano wszystkich bliższych i dalszych krewnych /nie zdążyli uciec do Francji/, a ją z bratem zesłano /w drodze "łaski"/ na Sybir. Po piętnastu latach pozwolono jej przenieść się do "miasta" i tu w tym strasznym "zachołustiu" została. Brata zamęczono w łagrach.

Uczyła rytmiki w przedszkolu i u głuchoniemych. Kiedy nas zaczęła uczyć była już starszą panią. i od dawna pogodzona z Losem. Uczyła nas ślicznej piosenki "Łastoczką" /Jaskółeczka/ i kazała po kolei wyciągać wysokie trele. Pialiśmy tak przerażająco, że Jelena Fiedosjewna zatykała uszy dłońmi lub waliła linia w stół, wrzeszczała przy tym na nas jak wściekła. Nie panowała nad słowami, choć nie były to wyrażenia wozaków. Był z niej kłębek nerwów, ale dziwić się nie było czemu, bo - jak nam opowiadała, dwa razy wyznaczano ją na "rasstrieł".

Nagle, gdy tak wrzeszczała i waliła w pianino aż jęczało, popłynęła melodia "Łastoczki" w najczystszy sopranie. Jelena Fiedosjewna wstała, opuściła ręce i patrzyła na moją siostrę ostrym, przenikliwym wzrokiem.

- "Eto ty, Marusia, tak pajosz?". Podprowadziła siostrę do pianina. - "Spoj, spoj jeszcze raz" - powiedziała. Marysia zaśpiewała raz, a potem jeszcze i jeszcze tę samą zwrotkę. Jelena Fiedosjewna podbiegła do drzwi dyrektora i głośno zapukała w nie. - "Nikołaj Nikołajewicz - wołała - niech pan posłucha, jak ona śpiewa".

Dyrektor usiadł na krześle. My też siedzieliśmy w idealnej ciszy. Marysia stanęła przy pianinie i zaśpiewała wszystkie zwrotki. Jelenie Fiedosjewnie ciekły łzy, a dyrektor podszedł do mojej siostry i powiedział: - "No, Marusia, z takim głosem ty i w Sowieckim Sojuszu w szelkach /jedwabkach/ chodzić

będziesz". To objawienie rozniosło się po całym domu. Dyrektor przyrzekł, że wyśle Marysię do Moskwy do konserwatorium. Wezwał Marysię do gabinetu, dokładnie o wszystko wypytał i jeszcze raz powiedział, że zrobi z niej śpiewaczkę, ale...

Marysia została "przyjaciółką" Jeleny Fiedosjewny. Niedoszła artystka ciągle z nią rozmawiała, ćwiczyła jej głos, krzyczała na nią, że jest leniem, że nie pracuje tyle ile trzeba, że marnuje talent. Dokładnie opowiedziała dzieje swego talentu i niespełnionego snu o sławie.

- "Mariusia - mówiła - ty nie możesz zmarnować tego, czym ciebie Niebo obdarzyło. To jest straszny grzech".

... Tymczasem niespodziewanie z Bołtinki przyjechała do Solwyczegodska Lewkowiczowa odwiedzić swoją córkę. Pobiegliśmy pytać o naszą mamę i wtedy Lewkowiczowa powiedziała, że mama znów jest chora i że pewno umrze, bo Emil wyjechał do Muraszy, a Gienia nikt się nie boi. Zresztą też jest chory i pewno ma padaczkę. Teraz jest jeszcze ten kłopot, że mama nie wie co ma robić, czy iść do więzienia czy wziąć rosyjski paszport? Wszyscy Polacy z delegatury są aresztowani. Księżda Grabskiego widział ktoś ciężko pracującego w łagrach na Bołtince. Jest pod szczególną "opieką", NKWD nie wybaczyło mu nigdy tego, że chrzczył rosyjskie dzieci. Nikogo więc nie ma, kto by się ujął za mamę i ona widzi bardzo czarno dalsze życie mamy.

Płakałyśmy do późnej nocy i Marysia zdecydowanie oświadczyła, że pojedzie ratować mamę. Dałyśmy Lewkowiczowej śpiewnik z piosenkami z Legionów, piękne widokówki, trochę chleba i "mąki" zrobionej przeze mnie ze skrzypu polnego.

Niestety, Lewkowiczowa nic nie dała z tego mamie. Przehandlowała co się dało, a chleb i "mąkę" zjadła. Było to nieuczciwe, ale głód nie uczy ani etyki ani uczciwości.

Po kilku dniach namysłu poszła Marysia do dyrektora i powiedziała o swojej decyzji. Nikołaj Nikołajewicz nie chciał słyszeć o tym. Oboje z panią Jeleną starali się wyperswadować jej wyjazd. Pani Jelena krzyczała i tupała nogami nazywając Marysię "durą" i grożąc jej, że za zmarnowany talent Los się ~~ze~~ -mści i niech ona uważa, bo ten dar boży będzie jej odebrany. Marysia płakała, ale decyzji nie zmieniła.

Jelena Fiedosjewna rozchorowała się i nie chciała widzieć siostry, gdy opuszczała dom dziecka. Odprowadziłam moją kochaną Marysię na dworzec i płacząc gorzko patrzyłam za pociągiem unoszącym moją, niewiele starszą siostrę do chorej i bezradnej mamy i do ciężkiej pracy i odpowiedzialności.

Nie wiedziałam, że od tego momentu rozstajemy się na długie lata. Zostałam sama. Było mi bezgranicznie smutno i tęskno za Marysią.

Zauważyło mój smutek i apatię dwoje starszych ludzi. Byli to także cudem ocaleni arystokraci, jak większość "tubylców" zesłano ich każde osobno, na długie lata ciężkich robót. Potem odnaleźli się i pozwolono im zamieszkać w Solwyczegodsku. Oboje byli wykształceni, więc pracowali w domach dziecka w charakterze instruktorów muzyki /nie wychowawców/ i pilnowali odrabiania lekcji. Ich dzieci przepadły bez wieści. Pani Maria zapragnęła adoptować mnie, ale ze względu na ich podeszły wiek nie pozwolono im. Zabierali mnie do swojej schludnej chatki, dokarmiali /sami nie mieli dużo/, leczyli moje wrzody, uczyli języka francuskiego i gry na pianinie. Dawali mi widokówki sprze rewolucji i śliczne książki dla dzieci, też wydane przed domową zawieruchą. Kochali mnie jak swoją utraconą córeczkę. Byłam dla nich promykiem radości. Pani Maria przeczytała mi kiedyś

bajkę o Śnieguroczce, którą znalazło dwoje staruszków i wzięło ją do domu. Kochali, stroili i cieszyli się nią, aż przyszło lato i Śnieguroczka roztopiła się na łące. Staruszkowie płakali, płakali i też rozplynęli się. - "Ty jesteś nasza Śnieguroczka" - mówili do mnie. Dzięki ich czulej opiece byłam trochę mniej samotna. Pani Maria dawała mi pieniądze na telefon i razem zamawiałyśmy rozmowę z biurem birży na Bołtince, gdzie Marysia sprzątała. Niczego pocieszającego nie usłyszałam od niej. Emil jeszcze nie wrócił z Muraszy, mama trochę wstawiała, ale pracować na birży nie mogła, Gienio ledwo chodził. Na jej dziecięcych barkach spoczywał ciężar utrzymania ich trojga. Potwierdziła, że cała delegatura siedzi, że ksiądz Grabski jest ciężko chory, gdyż znęcają się nad nim okrutni wartownicy. Przypadkiem zobaczyła byłego wychowawcę z Tisowej, był w łagrach. Miał spuchniętą nalaną twarz. Odmrożone nogi owinięte były szmatami, kulał i kaszlał. Kiedyś z Marysią Herbówną rzuciły mu pół chleba /był to ten sam wychowawca co po wojnie powiedział do mnie, że nigdy nie był w Związku Radzieckim/ - on wziął go i płakał. Chciały dostać się do księdza Grabskiego, lecz nie udało się. Potem księdza przeniesiono gdzie indziej. Więcej o nim niczego nie dowiedziała się.

Nie miała do kogo udać się po pomoc. Nie może więc wrócić, musi pracować, by mieć za co wykupić 250 gram chleba i chronić mamę przed złymi ludźmi.

Po takiej rozmowie byłam coraz smutniejsza i coraz częściej płakałam, bałam się, że mama umrze.

W parę tygodni później dostałam list, że Emil wrócił i że już obydwójce pracują, a mama jest niańką u kołchoznicy i dobrze mamie tam jest. Kiedy Emil zwrócił się o pracę, dyrektor /opasły wieprz/ nie pamiętał już dobrej, ciężkiej pracy tata

i dając Emilowi kartkę żywnościową powiedział: "Co jeszcze jeden Tais przyszedł nasz chleb za darmo żreć?". Emil rozpłakał się i odpowiedział, że on nie będzie jeść za darmo, bo właśnie idzie do pracy. Pracował tak dobrze jak nasz tato i dyrektor chwalił go i przypomniał sobie wtedy tata, bo powiedział: "Zuch jesteś Emil, taki zuch jak twój ojciec".

Emil nie odpowiedział, że dzięki temu, że tato był "zuchem" już nie żyje.

Mimo to ciągle tęskniłam za mamą i Nikołaj Nikołajewicz pozwolił mi z zaopatrzeniowcem - Nadią, pojechać do Kotłasa odwiedzić mamę. Z wielką radością skorzystałam z tego. Z Kotłasa pędem pobiegłam po znanych mi torach - na Bałtinkę, Marysia zaprowadziła mnie do mamy. Ucieszyłam się, że jest mamie ciepło i ma lepszą strawę i mleko. Zojkę, mamina gospodynię, zastałam w "siódmym niebie". Na dwa dni przyjechał do niej mąż z frontu. Poczęstowała mnie dobrym mlekiem i szańgami.

Wtedy zobaczyłam coś, co nie mogło pomieścić mi się w głowie, mamie również. Zojka nawet paru minut nie mogła być sama na sam z mężem. Co chwila wpadała któraś z sąsiadek, rzucała się na Zoinego męża, zachłannie całowała go i zapraszała do siebie. "Zachoditje k'nam noczewat, szanieg napiekłam, w piecu napaliłam, będzie nam cieplutko i dobrze".

Z nieukrywanym obrzydzeniem patrzyła mama na umizgi kobiet. Nie mogła pojąć, jak mogą zapraszać tak jawnie cudzego męża do siebie na noc. W końcu nie wytrzymała i kolejnej narzucającej się powiedziała ze złością: "Przecież to Zojki mąż, nie twój i nie twój. Jak wam nie wstyd. Iwan Pańłowicz przyjechał do swojej żony, nie do was. Tfu gadost". Zabrała mnie i dziecko i poszliśmy na dwór. Nie mogłam rozstać się z mamą. Było mi tak ciężko, że chociaż chciałam udawać bohaterkę, płakałam całą drogę biegnąc do Kotłasa, gdzie miałam spotkać się

z moją opiekunką i wracać do Solwyczegodska. Miałam chwilę czasu. Zajrzałam do "naszej" szkoły. Była pusta. Okna i drzwi na głucho zabito deskami. Gdzieś w szybach świeciły dziury. Wokół panowała przerażająca cisza, szkoła wydała mi się martwa, a jeszcze tak niedawno dźwięczało życiem, ludzkimi nadziejami... Zrobiło mi się strasznie. Pobiełam na stację.

Nadia ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła - "Już martwiłam się, że nie wrócisz" - powiedziała. Wiedziałam, że muszę być w domu dziecka. Nie było innego wyjścia.

Przy śniadaniu Jelena Fiedosjewna spytała mnie: "Jak żyje się Marysi?" - "Źle - odpowiedziałam - ciężko pracuje" i rozplakałyśmy się obie.

Po szkole zabrała mnie do siebie pani Maria. Szczerze cieszyła się, że jednak wróciłam. Dała mi śliczne skarpeteczki i znów miałam lekcję gry na pianinie. Odprowadzili mnie obydwoje i po drodze pani Maria powiedziała, że nie wiadomo co będzie z Nikołaj Nikołajewem, bo znów wezwano go na NKWD...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jedziemy nad Kłaźmę - kolejny dom dziecka

Nikołaj Nikołajewicz nie wrócił. Dyrektorowanie objęła jego zastępczyni Lidija Pierfirijewna. O dyrektorze nie mówiło się.

Życie toczyło się normalnie. Czasami widziałam żonę dyrektora, jak chyłkiem skradała się przez korytarz, by nikt nie widział jej czerwonych oczu.

Dalej chodziliśmy do szkół, występowaliśmy w szpitalu dla rannych żołnierzy i czekaliśmy na powrót dyrektora, tęskniliśmy za nim. Mieszkał obok i ciągle wieczorami przesiadywał w naszej sypialni. Zawsze coś ciekawego opowiadał. Słuchaliśmy go z wielkim zainteresowaniem, ale to już minęło. Teraz nie było go i nikt o nim nie wspominał.

Po występach wracaliśmy szybciej lub odprowadzali nas zdrowsi żołnierze, bo ciągle groziło niebezpieczeństwo tym, co przypadkiem późnym wieczorem mieli nieszczęście znaleźć się na ulicach miasta. Nie byli pewni nie tylko ubrania, czy pieniędzy ale także życia. Szpana nie kryła się po zaułkach, panoszyła się jawnie, a milicji albo nie było, albo nie radziła sobie.

Mroźną zimą, na początku lutego, przyjechała do nas z Moskwy pani Hela. Dyrektora już nie było. Okazało się, że pani Hela ma zabrać grupkę dzieci w liczbie 25 osób do Czkałowskiej pod Moskwą. Tam ZPP tworzył nowy dom dziecka dla dzieci polskich. Wyszukiwano dzieci z różnych zakątków północy. Miała być polska szkoła od klasy I po III-cią.

Stasia, Jadzia i ja znalazłyśmy się na liście u pani Heli.

Najpierw bardzo ucieszyłam się z tego, lecz wieczorem naszły mnie smutne myśli. Złękłam się, że nie zobaczę mamy. Poszłam więc z panią Marią dzwonić do Marysi. Obie płakałyśmy, bo ona też była na tej liście, ale nie mogła jechać. Kazała mi nie zastanawiać się lecz jechać, zawsze to już bliżej Polski.

Brakowało mi również Nikołaj Nikołajewicza. Chciałam pożegnać go, bo był dobry dla mnie, a najbardziej lubił Marysię. Często o nią pytał. Zarówno on jak i pani Jelena żalowali ją i jej pięknego głosu.

Na próbach, gdy Jelena Fiedosjewna nie mogła wydobyć z nas tych tonów, jakie słyszała w swoim mózgu, z westchnieniem mówiła:

- "Nie ma tu nikogo, kto by dorównał mej "czernogłazoj" Marusi, zmarnuje się talent, ach jaka szkoda".

Znów pożegnały nas nasze wychowawczynie i pani Helena Chudzikowa. Prosiły, by nie zapominać o nich i pisać.

Pani Maria i jej mąż płakali, gdy sadowiłam się na sanie. - "Żegnaj nasza "Śnieguroczko" - mówili - "Już więcej nie zobaczymy się, bądź szczęśliwa, napisz do nas, jak ci jest w tej Moskwie".

Nie napisałam.

Sanie ruszyły, a oni stali i przez łyzy patrzyli.

Wraz z panią Helą jechała z nami wychowawczyni młodszej grupy Jekatierina Michajłowna i młoda ociemniała nauczycielka muzyki ludowej - Zoja. Zoja jechała tylko do Kotłasa i po drodze nauczyła nas zupełnie nowiutkiej piosenki o smutnej jarzębinie i potężnym dębie stojącym po drugiej stronie szerokiej rzeki, o ich rozłące i wiecznej tęsknocie do siebie. Piosenka podobała się nam, a po wojnie zrobiła karierę w Polsce.

Rosjanie zazdrościli nam wyjazdu do Moskwy. Mówili: "Wy zobaczycie Moskwę, a my nigdy, nam nie wolno". Nasza sprzątaczką

przypadła do rąk pani Heli, obejmowała ją, błagała i zaklinała, żeby wzięła ją i jej dwie córeczki ze sobą.

Pani Hela tłumaczyła rozpaczającej kobiecie, że nie ma prawa, że ją aresztują za to, lecz nieszczęsnej nic nie trafiało do rozsądku. Chciała jechać, a nie mogła. Jej rozdzierający płacz poruszył nasze czułe serca, ale nic dla niej zrobić nie mogła ani pani Hela, ani żadna siła.

W Kotłasie pożegnaliśmy Zoję. Dalej jechała już tylko Je-katierina Michajłowna i cieszyła się, że zobaczy... Archangielsk. Do Moskwy nie dostała "propuska"

Przedziwna to była podróż.

Z Kotłasa nie pojechaliśmy na południe do Moskwy, lecz setki kilometrów na północ do Archangielska. Pani Hela miała "glejt" z Moskwy z KomPolDietu /Komitet do spraw Dzieci Polskich/ i legitymację ZPP dzięki czemu otrzymaliśmy z Kotłasa dla siebie wagon i całkiem niezły "pajok" na drogę.

Na kolejach pracowały przeważnie kobiety. Były złe, opryskliwe i straszne służbistki. Za żadne pieniądze nie wpuszczały nikogo do zarezerwowanego pociągu.

Tutejszym zwyczajem pociągi bez powodu i przyczyny zatrzymywały się w środku lasu lub w szczerym polu i nikt nie wiedział ani nie śmiał pytać, dlaczego stoją i kiedy ruszą.

Tym razem jechaliśmy w wagonach trzeciej klasy. Były zapluskwione, ale siedziało się na drewnianych ławkach, a w nocy można było spać i na ławkach i na półkach, których było aż 2 "piętra". Pani Hela nareszcie nakarmiła nas do syta. Chleb^o, amerykańskich konserw, mleka w proszku, kakao - mieliśmy pod dostatkiem. Pomimo niewygód było nam radośnie i wesoło. Wagony były oświetlone i ciepło. Nawet pluskwy przyjęliśmy jak coś, co jest i musi być.

Jeżeli pociąg zatrzymywał się na stacjach konduktorka-opoka zaryglowywała drzwi jak tylko mogła najmocniej i stawała cała groźna i nieprzejednana w oknie. Nie reagowała ani na prośby ani na groźby, ani na zaklęcia. Była jak skała. Kiedyś w nocy w środku lasu zatrzymał się nagle nasz pociąg. Hamowanie było tak raptowne, że niektóre dzieci pospadały z półek. Ja też. Prawie wszyscy zbudziliśmy się. Baliśmy się nalotów, gdyż ludzie mówili, że Niemcy bombardują Archangielsk i miasta dalej wysunięte na północ.

Wtem usłyszeliśmy płacz dziecka i rozpaczliwe wołanie kobiety, aby wpuścić ją, bo umiera jej dziecko i musi dostać się do Archangielska do szpitala. Pociągi jeździły raz na 24 godziny lub rzadziej, więc dostać się gdziekolwiek nie było żadnej możliwości.

Dziecko zanosilo się coraz spazmatyczniej, a matka błagała. Błagaliśmy i my także kamienną konduktorkę, żeby zabrała tę matkę z chorym dzieckiem. Konduktorka podnosiła latarnię do okna, chciała zobaczyć twarz kobiety, lecz ta wskutek mrozu była tak zawinięta, że tylko oczy jej były widoczne.

Do naszych próśb przyłączyła się również pani Hela. Konduktorka uległa. Otworzyła drzwi i chyba z pół plutonu wdarło się do naszego wagonu. Żołnierze wchodzili błyskawicznie i bezszelestnie. Zawinięta w białą płachtę "matka z dzieckiem" również. Konduktorka wołała "karauł", zasłaniała drzwi, ale /ku naszej ogromnej radości/ weszli wszyscy żołnierze.

Konduktorka zagroziła, że na pierwszej stacji wezwie milicję, lecz prezent od pani Heli ułagodził "nieprzekupną".

Lejtenant od razu przeprosił panią Helę za najście. Tłumaczył, że musieli użyć podstępu, gdyż wypisano ich ze szpitali i skierowano na front, a jak się mieli dostać nikogo to nie

obchodziło. Za spóźnienie groziła kara jak za dezercję. Rozpalili ognisko na torach, jednego przebrali za kobietę, dali zawiniątko na ręce i kazali wykonać zadanie.

Pani Hela była młoda i wesoła, sama też wiele przeszła i prawdę mówiąc podobał się jej fortel żołnierzy. Nie gniewała się. Zresztą wszystkie trzy - Jekatierina, konduktorka i pani Hela bawiły się doskonale. Żołnierze grali na gitarach i harmoniach, śpiewali i tańczyli "gabardinkę". Starali się nie zajmować nam miejsc i nie przeszkadzać. Siedzieli na korytarzu, drzemali lub rozmawiali z nami. Do przedziałów nie wchodzili. Na śniadanie częstowali nas swoimi konserwami, a my ich swoim jedzeniem. Obie ze Stasią zauważyłyśmy siedzącego samotnie na korytarzu młodziutkiego chłopaczka o bardzo smutnych oczach. Trzymał gitarę na kolanach i nucił coś półgłosem. Podeszłyśmy do niego i zaprosiłyśmy do przedziału, lecz on odmówił. Spytałam co śpiewa, odpowiedział, że o swoim ukochanym mieście Odessie. On jest poetą, a śpiewa teraz co prawda, nie swoje piosenki, ale kiedyś, po wojnie ułoży własne piosenki, jeszcze piękniejsze. Uderzył w struny i zaśpiewał:

"Ja nie skażu pro wsiu Odiessu
Odiessa oczeń wielika
i Mołdawanki i Pieriessy
Obażajut Kostiu moriaka"

On właśnie nazywa się Kostia i jest, niestety, marynarzem, a wolałby być na uniwersytecie i pisać wiersze. Podeszła do nas bardzo muzykalna Danka i Kostia momentalnie nauczył nas piosenki o Odessie, a Dankę akompaniamentu na gitarze. Obiecał nas odwiedzić w Polsce. Ścieśniłyśmy się, żeby zrobić trochę miejsca zmęczonym i nie do końca wyleczonym żołnierzom, lecz oni nie weszli do przedziałów.

Spałam ze Stasią na najwyższej półce i w nocy poczułam, jak czyjeś ręce wysuwają się spode mnie. Natychmiast obudziłam się i szeroko otwartymi oczami patrzyłam w dół. Młody oficer układał mnie na półce, obok stała pani Hela. Oboje uśmiechali się do mnie. Pani Hela powiedziała: - "Widzisz, uratował ciebie ten przystojny lejtenant. Spadałaś z półki, a on chwycił ciebie w powietrzu. Jemu zawdzięczasz życie".

- "Dziękuję" - odpowiedziałam, przytuliłam się do Stasi i odrazu usnęłam.

Jeżeli chodzi o żołnierzy to wtedy miałam o nich jak najlepsze mniemanie. Za dziećmi przepadali.

Pamiętam, gdy po występach w Solwyczegodsku zostawialiśmy by poprawić im poduszki, pomóc w chodzeniu, czy list napisać, odwdzięczali się jak mogli. Byliśmy obsypywani cukierkami i ciasteczkami, oddawali nam swój przydział, słodycze, pytali o stopnie, o rodziców, rodzeństwo, skąd pochodzimy, a na końcu dodawali, żebyśmy zawsze kochali rodziców i ojczyznę, bo to są dwie wartości, które są ponad wszystkim. Zadziwiał nas ich patriotyzm. Potem dowiedziałam się, że byli to dranie, bandyci i gwałciciele. Jacyż tam wydawali się inni! Wysiadając obiecali, że napiszą i podadzą jednostkę, do której musimy koniecznie pisać i przysyłać swoje zdjęcia. Lejtenant pocałował panią Helę w rękę, przeproszał i serdecznie dziękował za pomoc. Wszyscy odsalutowali i poszli szukać szczęścia u innych konduktorek.

Można określić, że w sympatycznym spokoju dojechaliśmy do Archangielska. Wysiedliśmy, bo musieliśmy poczekać na drugą grupkę dzieci, które miała przywieźć z Onegi pani Nina Rożdżestwienskaja i razem pojechać do Moskwy. Rozmieszczono nas w prywatnych domach w malutkiej wiosce Zaruczju, blisko Archangielska. Nasze przebywanie u ludzi wspominam bardzo serdecznie,

a trwało to około 2 tygodni. Domki były białe, czyste i ciepłe. Gospodynie witały nas jak swoje dzieci. W chacie, w której byłam ze Stasią, Jadzią i jeszcze kilkoma koleżankami, nasza miła gospodyni napaliła w łaźni. Myła nasze plecy i opowiadała o swojej córeczce, która jest na froncie i kiedy przyjeżdża do domu, idą do łaźni i ona myje swojej Tani plecy i tuli ją do siebie, a córeczka opowiada jej jak ciężko jest służyć w trudarmii i jak bardzo tęskni za matką i domem. Dobra kobieta płakała, czesała i całowała nasze mokre włosy jak swojej córeczki. Szczególnie Stasia przypadła jej do serca, bo była podobna do jej Tani.

Nie było domu, gdzie by samotne kobiety nie czekały na kogoś bliskiego lub opłakiwały tych, co już nie wrócą. Matki czekały na synów, na córki, na mężów - wierzyły, że oni wrócą. Nie chciały pogodzić się z nieubłaganą "wienieczką", że "...gierajski pogib za rodinu i wiecznaja jemu sława". Wszystkie wierzyły, że na tej strasznej wojnie nie ich dziecko zginie... My nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ta wojna pochłonęła już tyle ofiar.

W końcu dotarła do nas pani Nina z następną dwudziestką piątkę polskich dzieci. Teraz pani Hela dreptała po różnych biurach i urzędach, by wystarać się o prowiant na drogę, no i o wagon. To drugie okazało się nie do pokonania. Dzięki pomocy energicznej urzędniczki w radzie narodowej, zadzwoniła pani Hela do Moskwy do KomPolDietu, skąd przysłano dla nas wagon. Inaczej nie pojechalibyśmy. Wskutek przeróżnych pieczęci na urzędowych papierach otrzymała pani Hela pozwolenie na wzięcie prowiantu z magazynów znajdujących się po drugiej stronie Dwiny. Skądś wytrzasnęła sanki i z kilkoma starszymi chłopcami poszli po zamarznętej rzece szukać owych magazynów. Tam dość sprawnie

udało się załadować prowiant. Jakież ogarnęło ich przerażenie, gdy podchodząc do rzeki zobaczyli na Dwinie lodołamacze rąbiące "drogę" dla parostatków. Zapadał wczesny północny zmierzch. Pani Heli włosy zjeżyły się na głowie. Innej możliwości przedostania się przez rzekę nie było. Mosty były zerwane. Pani Hela i chłopcy wbiegli na lód, machali rękami, wołali do zamkniętych w kabinach sterników, lecz oni ich nie słyszeli i nie widzieli. Co robić? Czyżby próbować "wyprzedzić" lodołamacze? Chłopcy z panią Helą rzucili się do biegu. Pewno byliby zginęli. Na szczęście powstrzymali ich ludzie. - "Nie denerwujcie się - mówili - oni zaraz przerzucą mostki przez wyciętą drogę". Tego pani Hela nie przewidziała. Suchą nogą przeszli na drugą stronę i biegiem puścili się na dworzec, gdzie z nimi czekała pani Nina. Co chwilę pani Nina patrzyła na wiszący zegar. Czas odjazdu zbliżał się nieubłaganie, a pani Heli nie było. Zaś chętnych do pociągu były tysiące. O dostaniu się do wagonu nawet marzyć nie było co. Pojawienie się pani Heli i chłopców przyjęliśmy jak zbawienie.

Pani Hela była energiczną osobką. Podbiegła do starego, z sumiastymi wąsami i przerażonymi oczami, zawiadowcy stacji i błagała go, aby jakimś cudem usadowił dzieci w pociągu. Zawiadowca rozkładał ręce, rozpaczliwie nawoływał do ludzi, żeby się opamiętali, bo on ma państwowe zadanie posadzić do pociągu 51 ludzi - polskich dzieci. Nikt go nie słuchał. Wszyscy, nie zważając na to, że zatratują się na śmierć, cisnęli się do okien i drzwi, aby tylko móc jechać. Wyglądało to jeszcze tragiczniej niż w Rabowie.

Doprowadzony do ostateczności zawiadowca wyniósł potężny dzwon i jak w 19 wieku potrząsnął nim z taką determinacją, że

dzwon zajęczał desperacko i tak głośno, iż wszyscy na moment przystanęli i obejrzelili się. Zawiadowca wykorzystał tę jedną chwilę i jeszcze raz rozpaczliwie przemówił: "Graždanie," pomilujcie, u mienia gosudarstwiennoję zadanię posadit' w pojezd 51 cziełowiek polskich dietiej".

Podniósł rękę z dzwonem do góry i ze srogim rozkazem: "Razajtis" - podprowadził nas bliżej pociągu.

Tłum jednak zagroził wejście do wagonu, specjalnie wprowadzonego dla nas z Moskwy i domagał się oddania dwóch przedziałów dla pasażerów - cywili, wtedy nas wpuszczą. Nie było innego wyjścia, pani Hela zdecydowała przystać na ten warunek. Przerażeni, zziębnięci i głodni weszliśmy w końcu do wymarzonego wagonu.

Szczękałam zębami. Byłam chora, bo z Solwyczegodska nie wyjeżdżałam zdrowa.

5 marca 1944 roku, po przeszło dwutygodniowym podróżowaniu dotarliśmy do Czkałowskiej. Było jeszcze dość wcześnie. Wsiadaliśmy na małej stacji /już z elektrycznego pociągu/ i przez las poszliśmy do pałacyku przepięknie położonego nad Kłaźmą. Pałacyk otaczał modrzewiowy park z jednej strony, a rzeka z drugiej. Było tu jak w bajce. Kiedyś ten pałac należał do jakiegoś arystokraty, teraz zaadaptowano go i cały kompleks budynków na dom dziecka.

Nad frontowymi drzwiami wisiała napisana wielkimi literami wywieszka: WITAMY, ale nikt się nas nie spodziewał i nie witał, bo kilka dni wcześniej wysłany telegram z Archangielska... nie doszedł.

W holu na parterze stała grupka zadomowionych dzieci wraz z wychowawczynią panią Sławą Fedak. Mały złośliwy Jasio krzyknął: "Tiulenie, przyjechali" /foki/.

Zrobiło nam się smutno...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Życie w domu nad Kłazmą

Staliśmy zbici w grupkę, zagubieni i patrzyliśmy na dzieci stojące przy pani Sławie. Były ważne i pewne siebie.

Pani Hela zostawiła nas i szybko poszła w głąb korytarza. Po chwili wróciła z dość niskim panem, który przywitał nas i przedstawił się, że jest tutaj dyrektorem.

W domu, pomimo, że nie spodziewano się nas, było wszystko przygotowane na przyjazd dzieci. Zostawiliśmy rzeczy na dole i poszliśmy za panią Helą na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Pierwsza po lewej stronie od schodów nazywała się "Pod Kolumną Zygmunta" i do niej wprowadziła pani Hela dziewczynki z klasy trzeciej, a więc Jadzię, mnie, Stasię, Jankę i inne. Było tutaj 12 łóżek. Pod oknem przy ścianie zajęłam łóżko dla siebie, obok było Stasi, a dalej Jadzi. Zawsze starałyśmy się być razem. Wybór łóżka nie był przypadkowy. Stało przy oknie, a za oknem - jasna latarnia.

Sypialnie dziewcząt były w pierwszej części korytarza, a chłopców w drugiej.

Bardzo mi się tutaj spodobało. Łóżka były posłane na biało, a przy nich stały nocne szafki jak w naszym pokoiku, przed wojną. W oknach zawieszono firanki. Zapomniałam, że coś takiego jak firanki jest jeszcze na świecie. Cieszyłam się, że jestem tutaj. Przed oknami rosły lipy i modrzewie, co prawda bez liści i igiełek o tej porze roku, ale ja już wyobrażałam sobie jak będzie pięknie latem, kiedy wszystko zazieleni się wokoło.

Przyszła pani Maria Witoszewska - nasza nowa wychowawczyni i zaprowadziła nas do łaźni, a pani Maria Gabara, nasza kucharka, ugotowała smaczny obiad.

Rano obudziła nas pani Maria Witoszewska. Przyjrzałam się jej. Była młoda, szczupła blondynka i miała orzechowe oczy. Bardzo ładnie wymawiała "r", jakoś tak, jak nikt inny. Chciałam też tak mówić i starałam się naśladować ją, lecz dziewczęta wyśmiały mnie. Mąż pani Marii był pułkownikiem w Wojsku Polskim u generała Berlinga, a potem został generałem i zostawił panią Marię, ale to potem. Teraz pani Maria była szczęśliwa. W ogóle pani Marysia /wszyscy ją tak nazywali/ była delikatna i krucha jak laleczka z porcelany. Lubiłyśmy ją bardzo, bo była dla nas dobra i pięknie się odzywała. Nie umiała krzyknąć.

Wszyscy spodobali mi się: wychowawcy i dyrektor, kucharki i obsługa. Co prawda były nudne apele, ale nikt nas tutaj nie wyzywał od świńskich pomiotów, nie znęcał się ani moralnie ani fizycznie. Jedzenie było dobre i prawie pod dostatkiem. Mówię "prawie", bo byliśmy tak zagłodzeni, że trzeba by wołu z kopytami, żeby nas nakarmić. Pani Hela - kierownik pedagogiczny, nie karała nas pozbawieniem jedzenia. Były inne kary.

Od razu otwarto polską szkołę. Znajdowała się około 2 km od naszego domu. Kierowniczką była mądra i dość ostra pani Ludwika Barszczewska. Nauczycielkami zaś pani Stefania i pani Szewa /Żydówka - polonistka/, niestety nie pamiętam nazwisk obu pań i pani Nina Michajłowna Rożdżestwienskaja. Prócz wymienionych wychowawczyń były jeszcze: pani Dora Zawadzka /jej mąż, płk, też był w WP u generała Berlinga/, pani Helena Chludzińska - moja dobroć i miłość i pani Zosia Kwiecińska - po powrocie była dziennikarką.

Pani Dora Zawadzka rozstała się z mężem - generałem również w Polsce.

Panią Helenę kochaliśmy jak starszą siostrę. Była młoda i bardzo kulturalna. Wywieziono ją z dwoma małymi synkami. Mąż jej był oficerem marynarki wojennej i jak poszedł w 1939 roku na wojnę, przepadł bez wieści. Pani Helena ciągle o nim mówiła, tęskniła i czekała... Czekala i czeka do dziś. Nie pogodziła się z myślą, że on nie wróci... Dobra, najdroższa wychowawczyni. Zachowałam pisane do mnie jej listy-karteczki. Bardzo doświadczył ją Los. Zamieszkała w rodzinnym Tczewie i czeka ponad czterdzieści lat na tego jedyne, z którego niewątpliwą śmiercią nie pogodziła się.

Rytmiki i tańców uczyła pani Sonia, w Polsce pani Zofia /jak Sonka od Jagiełły/. Była bardzo zgrabna. Przed wojną pracowała jako przedszkolanka, ale nam wydawała się primabaleriną. Miała prześliczne nogi i wiotką figurę. Była filigranowa... lecz gdy wpadała w złość rzucała w nas butami i taboretami, jeżeli źle chwytałyśmy rytm tańca i trudne pas. Nazywała nas nieruchomymi słoniami i pokrakami.

Bądź co bądź trafiłam do domu dziecka, który się liczył. W moskiewskim obwodzie były tylko dwa takie domy w Zagorsku - powołany przez panią Halinę Koszutską i w Czkałowskiej. Dyrektorem był Bolesław Milewicz - Żyd, popularnie nazwany "Bolkiem" przez dowcipnego Zenka Ziembickiego. Bolka lubiliśmy i baliśmy się. Pan dyrektor był bardzo mądry i wykształcony. Nie wiem czy był pedagogiem, ale dobrał sobie wspaniałe grono wychowawczyń na czele i panią Helę - jego późniejszą żonę.

Muszę przyznać, że byli to wszechstronnie wykształceni nauczyciele. Przeważnie ukończone mieli seminaria nauczycielskie, lecz wiedzę olbrzymią. Żadne SN-y ani WSN-y po wojnie nie

kształciły nauczycieli o tak szerokich horyzontach. Po studiach była pani Hela /Ernestyna Cinader/. Miała ukończony CIWF.

Całe grono starało się rozbudzić w nas zainteresowania i zamiłowania do wiedzy i książek. Bardzo szybko nauczyłam się czytać i jak kiedyś Emil, pochłaniałam książki.

Dzień w domu wypełniony był pracą, nauką i innymi obowiązkami, których mieliśmy pod dostatkiem. Do południa uczyliśmy się w szkole. Wszystkie przedmioty prowadzone były po polsku i na wysokim poziomie. Języka rosyjskiego i historii rosyjskiej uczyła pani Nina Rożdżestwienskaja.

Po powrocie ze szkoły było trochę wolnego czasu, a od 16-ej do 18-ej pracownia krawiecka dla dziewcząt i stolarka dla chłopców bez przerwy w zimie i w lecie.

Dziewczęta uczyły się szycia pod okiem złośliwej pani Edy, a chłopcy stolarki - u fantastycznego diadi Pieti.

Instruktorka od szycia była zezowata i zawsze zła. Nigdy nie wiedziałam na kogo patrzy. Męczyło mnie to bardzo. Jeżeli którejś dziewczynie źle szło szycie, wyzywała od starych oślic, idiotek i kretynek. Koszmarnie się bałam i niecierpiałam jej. Mimo to, a może właśnie dlatego szybko nauczyłam się dość dobrze szyc. Stasia i ja byłyśmy pojętnymi uczennicami lecz pracowni krawieckiej nienawidziłam. To była dla mnie największa męka. Teraz doceniam panią Edę. Szyłam szybko i byłaby robota moja dobra, gdybym była cierpliwsza i dokładna. Niestety, tych cech nie posiadałam. Obrywałam za to tyle, iż gdyby załadować do worka wszystkie obelgi rzucane na mnie przez panią Edę - nie udźwignęłybyśmy obie. Stasia i ja byłyśmy najlepsze i w nagrodę pozwoliła nam pani Eda uszyć z pełnego kloszu śliczne sukieneczki. Ten przywilej otrzymałyśmy wyłącznie tylko my dwie. Reszta dziewcząt szyła skromne su-

kienki, najwyżej z dwóch klinów.

W szkole byłam także najlepsza i na koniec trzeciej klasy otrzymałam "Pochwalⁿju gramotu" /List pochwalny/ z wizerunkami Lenina i Stalina. W nagrodę pojechałam do Moskwy, gdzie zgubiłam się pani Józefie i szukała mnie w metrze przez megafony i milicję.

Nina Michajłowna Rożdżestwienskaja uczyła nas języka rosyjskiego i zawsze wybierała mnie do głośnego czytania w klasie. Podobał się jej tembr mojego głosu i radziła mi, abym w przyszłości została aktorką. Niestety, mimo trzykrotnego startowania do Szkoły Teatralnej - odpadłam. Płakałam, myślałam, że nie będę mogła żyć bez występów i teatru, ale dziekan Zelowowicz wyjaśnił mi, że mojego akcentu nie zgubię i szkoda, że Kurnakowicz nie ma własnego teatru, bo pewno by mnie przyjął.

Ten dom był z prawdziwego zdarzenia, choć także nie bez wad. Uczono nas mądrych i pożytecznych rzeczy. Tutaj nareszcie nauczyłam się płynnie czytać po polsku i mogłabym robić wyłącznie tylko to. Czytałam wszystko cokolwiek wpadało mi w ręce. Kłopot był w tym, że w ciągu dnia nie miałam zbyt wiele czasu na czytanie. Za to wieczorem siadałam na parapet i czytałam w blasku latarni. Rezultatem było to, że bardzo szybko straciłam wzrok, ale odzwyczaić się od czytania nie mogłam. Czasami łapała mnie na tym p. Helena Chłudzińska, cichutko podchodziła do mnie i wyjmowała książkę z ręki i kazała iść spać, obiecując karę przy następnym razie. "Następnego" razu nie było, lecz jeżeli złapała mnie na czytaniu przy latarni pani Hela, była kara. Sprowadzała do "klubu" i zostawiała w ciemnym pokoju. Nudziłam się i klęłam, bo nie mogłam czytać!

Tutaj nie byłam tak głodna jak dawniej. Dawano nam sporo jedzenia, ale organizmy nasze były ciągle wygłodzone. Zjadaliśmy olbrzymie ilości, jednak nie byliśmy syci. Dopełnialiśmy brzuchy czym się dało, aby tylko nie czuć głodu.

Bardzo smakował nam gęsty, lepki i śmierdzący tran. Ja pamiętałam jeszcze sprzed wojny tran, był biały, czysty i pachnący, ale ja nie chciałam go pić. Mama musiała wiele mi naboicywać żebym wypila choć łyżeczkę. Tutaj, pomimo tego smrodu i zawiesiny, nie tylko piliśmy, lecz wlewaliśmy do kartofli tyle, aż pływały i z apetytem zjadaliśmy. Zrobiły to cztery lata głodu.

Kuchnię prowadziła pani Maria Gabara - żona przedwojennego kapitana, kobieta wykształcona, dowcipna i o bardzo ciętym języku. Pani Maria nie miała cierpliwości do dzieci, dlatego wolała być kucharką. Lubiliśmy ją mimo kłującego języka. Nigdzie, na żadną wycieczkę nie jeździła z nami.

Kiedyś zaprosiliśmy ją na wycieczkę po kanale Wołga-Moskwa a pani Maria odpowiedziała, że jeszcze nie "zeszła z uma" /nie zwariowała/, żeby z taką bandą jeździć. Była dość korpulentna i, jak nam się wydawało, mało ruchliwa. My byłyśmy zafascynowane gimnastyką artystyczną. Wszystkie ćwiczyłyśmy ze wstążką, skakanką czy piłką. Pani Gabara tylko wyśmiewała się. Po występach krytykowała, że skaczemy jak hipopotamy, że szpagat to pałak, a mostek - to deska. Bardzo nas to bolało, lecz niegrzecznie bałyśmy się jej odpowiedzieć. Odważyła się Bronia Peszko i powiedziała, że jeżeli tak zna się, to niech pokaże prawdziwy szpagat i mostek. Pani Maria odpowiedziała bardzo spokojnie, że owszem, pokaże. Śmiałyśmy się jej w nos, a ja najgłośniej. Nareszcie można było użyć na niej.

Kiedyś ćwiczyłyśmy nad rzeką, a pani Maria przyszła i złoś-

liwie patrzyła na to, co robimy. Siedziała i nie odzywała się. Obskoczyliśmy ją i prosiłyśmy, żeby pokazała co potrafi. Pani Maria odpędzała się, zbywała nas. Powiedziałam jej, że jest mocna w gębie.

Pani Maria odpięła spódnicę. Była w kostiumie gimnastycznym, co nas tak zaskoczyło, że otworzyliśmy usta. Z półuśmiechem na wargach, spokojnie wykonała najczystszy pełny szpagat i pokazała prawdziwy mostek. Wstała, ukloniła się, zapaliła papierosa i poszła machając spódnicą. Miała wyśmienite nogi. Kiedy odzyskałyśmy mowę, pani Maria wchodziła do kuchni.

Jadzia Kloc i ja rywalizowałyśmy w czytaniu. Tylko my dwie czytałyśmy wszystko co znalazłyśmy, może jeszcze liczył się Edek Chromniak.

Bibliotekę mieliśmy świetnie zaopatrzoną w książki w języku polskim. Był Sienkiewicz, Orzeszkowa, May, Prus, Urbanowska, Kraszewski i inni. Rosłyśmy i krystalizowały się nasze charaktery i zamiłowania.

Na miss zapowiadała się Stasia. Była niewysoka, ale nadzwyczaj proporcjonalna, miała duże brązowe oczy o niebywale długich, czarnych rzęsach. Kędzierzawe czarne włosy i nosek Lolo-brygidy /oczywiście teraz tak to określam/. Zęby białe, równe a nade wszystko czarujący uśmiech.

Mieszkaliśmy w prześlicznej miejscowości. Nasz dom otaczał modrzewiowo-iglasto-liściasty park. Pod oknami płynęła czysta Kłaźma. Dookoła było pełno różnego rodzaju sanatoriów i domów dla szarży i tzw. "gierojew sowieckowo Sojuza". Po szpitalach przebywali w tych domach dochodząc do zdrowia i sił. Od wczesnego lata pływali łodziami i kąpali się w Kłaźmie. Bardzo chcieliśmy uchodzić za dorosłe i podobać się im, ale oni traktowali nas jak dzieci, no bo byliśmy dziećmi. Brali nas do

do łodzi, zrywali lilie wodne, pytali o stopnie /!/ w szkole, opowiadali o frontowych przeżyciach i na tym się kończyło. Za to lekceważenie nas jako "panien" wykrzykiwałyśmy brzydkie słowa wieczorami z okien swoich sypialni, gdy spacerowali z dorosłymi pannami, niestety Rosjankami. Prym wiodła Ola.

Pod okiem diadi Pieti wybudowaliśmy własną pływalnię. Naukę pływania zajęła się pani Hela. Wyśmienita pływaczka! Marzyłam żeby czuć się w wodzie tak jak ona. Pani Hela знаła i stosowała mnóstwo stylów. Nikt tak nie pływał jak ona. Nam wolno było pływać tylko w pływalni. Razem z panią Helą pływali po całej rzece Hela Kwoka i Zbyszek Arciszewski, syn naszej nauczycielki, pani Janiny Arciszewskiej. Szybko nauczyłam się pływać, a że byłam szalona i postrzelona, mało brakowało a przypłaciłabym to życiem. Kiedyś skoczyłam do pływalni w to miejsce, gdzie nie było dna i nie otwierając oczu popłynęłam pod deski. Tam otworzyłam oczy i chciałam wyprostować się i wtedy poszłam na dno. Wpadłam w panikę. Chciałam krzyczeć, a wówczas woda wlewała mi się wszystkimi otworami i tonęłam. Stanęło mi w oczach całe moje krótkie życie, a przede wszystkim mama. Żałowałam, że nie zobaczę mamy i że będzie płakać po mnie.

Jakoś udało mi się wydostać spod pływalni, woda wyrzuciła mnie. Krzyknęłam "ratunku" ale znów poszłam na dno, usłyszałam tylko jak pani Marysia powiedziała: "ona żartuje". Całe szczęście, że nie uwierzyli jej słowom chłopcy. Rzucił się na ratunek Jurek Górski, ale pociągnęłam go na dno. Wtedy skoczył Zbyszek Arciszewski i obydwójce nas uratował. Byłam już nieprzytomna.

Dyrekcja i wychowawcy dbali o nasz rozwój fizyczny i umysłowy. Po raz pierwszy byłam na "Niebieskim Ptaku" w teatrze "Małym", Byliśmy również w teatrze lalek Obrazcowa, podziwialiśmy

klauna "Karandasza" w cyrku, zwiedzaliśmy Galerię Tretiakowską itd.

Nie zdarzało się nam próżnować. Dzień wypełniony był pracą od pobudki do wieczora. Do naszych obowiązków należało sprzątanie sypialni, korytarzy, stołówki, kuchni, sanitariatów i podwórza. Komisja złożona z samorządu sprawdzała jakość wykonanej przez nas pracy.

Niestety, komisje były wredne i niesprawiedliwe. Dyrekcja chętnie nastawiała ucha szeptom donosicieli i podlizuchów. Prawą ręką dyrekcji była Halina, stała przewodniczącą samorządu. Nieciekawa była ta dziewczyna. Nie cierpiałśmy jej, ale i bałyśmy się.

Nasz dom prowadzono ściśle według "Poematu pedagogicznego" Makarenki...Było to czyste naśladownictwo. Jedynie mądrym wychowawczyniom, a szczególnie pani Helenie, zawdzięczam, że nie wyrosłam na szpiega i donosiciela.

Wszystkie dziewczęta mówiły pacierz, a która nie chciała tego robić przeżywałyśmy ją i zmuszałyśmy do modlenia się. Pani Helena uczyła nas tolerancji i karciła ostro gdy dowiadywała się o szykanowaniu "komunistek". Ja znów zaczęłam się modlić i nie lubiłam tych, które nie robiły tego. Miałam wielki "mir" wśród koleżanek. Uczyłam się doskonale, świetnie śpiewałam i tańczyłam, byłam też pierwszą recytatorką. Kiedy przekonałam się, że ładniej i z większym wdziękiem tańczy Danką, jak gasnąca gwiazda znienawidziłam ją. Pocięszałam się, że doskonale pływam i najlepiej jeżdżę na koniu. Był u nas taki kasztan Ledok. Szłam na pastwisko, rozpętywałam go, siadałam na oklep i galopowałam po polach i bezdrożach. Szalałam na Ledoku, jak niegdyś moi bracia na naszych wspaniałych, lśniących koniach. Ledok wolał się paść niż

hasać ze mną na grzbiecie. Młodzikiem nie był, lecz ja umiałam poradzić sobie z nim.

Nie sądzę by ktokolwiek z wychowawców wiedział o moich karkołomnych wyczynach. Moją tajemnicę dzieliły ze mną jedynie Stasia i Jadzia. Jadzia jeździła nie gorzej ode mnie, a Stasia płakała, że się zabije, ale pani Helenie nie doniosła.

Raz zobaczył mnie diadia Pietia. "Doczeńka, u ciebie mama jest?" - zawołał do mnie. - "Da" - odkrzyknęłam niosąc się jak wicherek /ze względu na wiek Ledok nie był wihrem/ przez kałuże i rowy. Nauczyłam go świetnie brać przeszkody.

- "Żałko" /szkoda/ - westchnął diadia Pietia. Wściekła zatrzymałam konia i spytałam dlaczego przeszkadza mu to, że moja mama żyje. Gotowa byłam skoczyć mu do oczu. Odpowiedział mi coś takiego, co zapamiętałam na całe życie:

- "Bo rodzice powinni umierać przed dziećmi".

Zawstydziłam się, nie odzwałam się ani słowem. Spętałam Ledoka i płacząc razem ze Stasią poszliśmy do domu. Diadia Pietia nikomu nie pisnął słówkiem.

Zimą zafundowano nam narty. Była to niesamowita frajda. Nauczyłam się biegać i skakać z brzegu Kłaźmy daleko na rzekę. Tu też z Jadzią byłyśmy bezkonkurencyjne.

Nasze narty nie dzieliły się na biegówki i zjazdówki. Po prostu narty i choć były ciężkie i niezgrabne, byliśmy naprawdę szczęśliwi. Do szkoły też biegaliśmy na nartach. Źle jeździłam na łyżwach. Lepsza ode mnie okazała się Danką.

Jak wspomniałam, dom nasz liczył się, więc mieliśmy często wielkich gości. Był J. Putrament, którego uczyłam biegać na becce, a on dał mi na pamiątkę znaczek i kazał zgłosić się do niego. Podczas pożaru naszego domu, zgubiłam znaczek i do pana Putramenta nie zgłosiłam się. Był prof. Oskar Lange,

którego imię tak bardzo mi się podobało, że obiecałam sobie nazwać tak swego syna, ale Oskara wyparł Wawrzyniec /Żuławski/ i syn mój ma na imię Wawrzyniec. Oskara nie mam, bo nie miałam więcej synów. Jechała Wanda Wasilewskaii generał Berling, lecz nie dojechali, bo podobno popsuł się im samochód po drodze. Myślę jednak, że wychowawcy pocieszali nas tym "popsutym" samochodem. W tym czasie, zwłaszcza generał Berling miał pełne ręce roboty.

Był Osóbka-Morawski i wielu ludzi, którzy potem po wyzwoleniu Polski byli znani i znaczeni.

W lecie przyjechała do nas nowa nauczycielka pani Stefania Malejonkowa z dwojgiem chudych dzieci - Basią i Czarkiem. Zwłaszcza Basia wyglądała kiepsko. Była wysoka, prawie "przezroczysta" i bardzo źle widziała. Podobno utratę wzroku "zawdzięczała" mrozowi. Wywiezieni byli do Barnaułu.

Momentalnie polubiliśmy nową panią /na co dzień nazywała się "pani Basia"/ i jej córkę Basię. Była muzykalna, grała pięknie na skrzypcach, a przede wszystkim miała cudowny sopran. Jej głos przypominał mi głos mojej siostry. Jaka szkoda, że nie było tutaj mojej kochanej Marysi.

Pani Basia prowadziła chór. Za fałszowanie i "pianie" nigdy na nas nie krzyczała, jak Jelena Fiedosjewna w Solwyczegodsku.

Do mnie powiedziała, że powinnam się uczyć śpiewu, bo mam świetny alt. Zapisała się na lekcje śpiewu do ogniska muzycznego w Czkałowskiej i mnie tam zapisała. Śpiewu uczyła pani Buszara, emerytowana artystka opery "Bálszoi", niezwykle piękna o oczach jak gwiazdy, starsza pani. Basia i Czarek uczyli się muzyki. Basia na fortepianie a Czarek na skrzypcach. Obydwoje mieli duże zdolności, lecz Czarek wolał kopać piłkę niż "piłować" skrzypce. Nie przykładał się do ćwiczeń i pasaże i trele

ciężko wyłaziły spod jego smyka. Czasami nauczycielka nie mogła znieść jego piłowania i szybciej zwalniała go z lekcji. Zawsze chodziliśmy i wracaliśmy razem do domu, bo baliśmy się szpany i band. Kiedyś usłyszałam, jak Czarek spytał:

- "Jak dzisiaj grałem?". Nauczycielka popatrzyła na niego i poważnie odpowiedziała: - "O, dobrze, całkiem dobrze, ale jeżeli w domu przećwiczysz to jeszcze czterdzieści razy, będzie dostatecznie!". Basia miała większe zdolności do baletu niż do muzyki. Miała niesamowite wyczucie rytmu i wielki wdzięk w tańcu. W Polsce skończyła szkołę baletową i zapowiadała się na doskonałą tancerkę, lecz z powodu coraz gorszego wzroku dość szybko zrezygnowała ze sceny. Nie była piękna, ale figurę miała Rity Heiworth i na jej styl czesała się i ubierała. Taniec miała we krwi. Długie lata przyjaźniłyśmy się. Pani Basi mówiłam o mojej utalentowanej siostrze i o jej pechu, że musiała wyjechać z Solwyczegodska, bo rodacy otaczający mamę nie byli ludźmi. Teraz byłybyśmy razem i ona bez protekcji uczyłaby się śpiewu, a tak zmarnuje się jej głos.

Tymczasem Marysia nie tylko nie uczyła się śpiewu, ona w ogóle nie uczyła się w żadnej szkole. Miała 13 lat i ciężko pracowała. Dostawałam bardzo smutne listy, po których przez kilka dni nie mogłam dojść do równowagi.

Mama, Marysia, Gienio i Emil przejechali w Saratowskuję obłast do sowchozu Pieszczanoje, niedaleko Rownego /nie Równego/. Bardzo źle im tam było. Dyrektor sowchozu to drań i pijak. Nie dbał ani o ludzi, ani o karakuły, które z dnia na dzień zdychały pełnymi setkami. Jak okiem sięgnąć rozciągał się bezlitosny step. Klimat nie był do życia. W dzień upał nie dawał żyć, a w nocy zęb na zęb nie mógł trafić z zimna

Marysia pracowała jako tzw. "prycepszczyk". Jej zadaniem

Konarski
Felijski

było przyczepiać pługi do traktora, który prowadziła dziewczucha-chłop, Rosjanka Ańka Głuchowa. Marysia była brudna, oberwana i głodna. Często zasypiała siedząc z tyłu na traktorze. Ańka bała się, że Marysia spadnie i ona ją zaorze. Toteż krzyczała na nią i biła, jeżeli pługi odczepiały się, a Marysia drzemała. Z powodu upału musiały orać nocą.

Marysia też jeździła na koniach, lecz nie po to, żeby się wyszaleć, jak ja. Ona jechała w step. Musiała znaleźć woły i przygnać je do roboty. W wysokim burzanie i gęstym piołunie nie mogła ich znaleźć. One natomiast, gdy tylko spostrzegły jej czerwoną bluzeczkę, chowały się, bo wiedziały, że pójdą w jarzmo.

Czasami Marysia udawała, że szuka je. Siadała na swoją ulubioną Woronuszkę lub Sołowiejka i pędziła w step. Pasące się woły, gdy tylko spostrzegały mknącą po stepie, przyklękały na przednie kolana i chowały łby w burzan. Myślały zapewne, że ich nie widać. Nie wiedziały, że to one nie widzą swego prześladowcy. Ich potężne zady sterczały wysoko wycelowane w niebo. Marysia zostawiała je w spokoju i wracała sama mówiąc, że nie znalazła wołów. Czasami goniły ją wilki, więc niosła ją Woronuszka ile sił w nogach z powrotem do wołów, tam było bezpiecznie, wilki ich nie atakowały.

Było im ciągle bardzo źle. Pracowali Emil i Marysia, Byli jeszcze dziećmi, a praca znów okazała się ponad ich wątłe siły. Tata już nie było a bez tata spotykały ich krzywdy i niesprawiedliwość.

Ja nie mogłam doczekać się powrotu do upragnionej Polski. Kiedyś zobaczyłam na dole w tzw. klubie gazetę. Wzięłam do ręki i przeczytałam: "Wolna Polska"; z ogromnym płaczem pobiegłam do sypialni. Dziewczęta nie wiedziały co mi jest. Żadna

nie mogła utulić mnie w moim płaczu ani dowiedzieć się, o co chodzi. Któras przyproceedziła panią Helenę i ona, widząc gazetę przy moim łóżku, domyśliła się. Usiadła przy mnie i wyjaśniła, że to tylko taka nazwa gazety, że do wolnej Polski jeszcze bardzo daleko. Nachyliła się nade mną nisko i wyszeptowała: "Nie płacz, dziś właśnie w Warszawie wybuchło powstanie, ale nie mów tego nikomu, bo nie wolno". Pogłaskała mnie, pocałowała i poszła. O powstaniu absolutnie nic a nic nie wiedzieliśmy. Oprócz mnie, ma się rozumieć.

Do szkoły przysła wizytacja. Na ścianach wisiały rysunki dzieci. Jeden rysunek przedstawiał żołnierza z bagnetem, który kłuł drugiego żołnierza. Trudno było określić jakiej armii byli ci żołnierze. Podpis głosił: "Odwet za Katyń". Wizytator podszedł i pokazując palcem na obrazek wrzasnął: "Sniat, czto eto za bezobrazije". Pani Ludwika zbladła, a pani Arciszewska wyjaśniała, że to przecieź tylko praca dziecka, że nie rozumie o co się pan wizytator gniewa. Założył ręce do tyłu i jak carski czynownik wyszedł z klasy, a pani Barszczewska za nim. W kancelarii pieniał się, wrzeszczał i walił pięścią w stół. Nie wiem, czy tłumaczyła się pani Barszczewska na NKWD.

W naszym domu nie było dziecka, żeby któreś z rodziców nie zostało pochowane na Syberii, Pogubiły się rodziny, poginęło rodzeństwo. Rosjanie adoptowali dzieci i nie przyznawali się do tego.

Z utęsknieniem czekaliśmy na wyjazd do domu. Tymczasem znów nastala siarczysta zima. Aby cośkolwiek wiedzieć o froncie pan dyrektor robił pogadanki, a pani Ludwika apele w szkole. O powstaniu nic nie mówiono. Pogadanki prowadzone przez dyrektora były świetnie przygotowane i bardzo nas wciągały. "Kółchożnik" był w szkole u pani Ludwiki i ona była

na "bieżąco" w sprawach wojny. W bardzo mroźny wieczór, jedliśmy kolację, gdy nagle szeroko i z rozmachem otworzy się drzwi do stołówki i wbiegła pani Ludwika głośno wołając: "Warszawa wolna, Warszawa wolna". Była bez czapki i bez szalika. Twarz jej promieniała. Była tak podniecona i szczęśliwa, jakiej nigdy nie widziałam. Tego wieczoru nie poszliśmy spać o 21-ej. Pozwolono nam pobawić się i poszaleć dłużej. Radościom nie było końca.

Następnego dnia w szkole jeszcze raz opowiedziała pani Ludwika, w jaki sposób została wydartą Niemcom Warszawa. niewiele natomiast wiedzieliśmy o losach powstania. Wydawało się nam, że teraz to już tylko dni pozostały do wyjazdu. Na apelach w szkole informowano nas niemal codziennie, jakie miasta oddają szwaby, ale o powrocie nie mówiło się.

Znów nastała pachnąca wiosna a na temat wyjazdu do Polski była cisza. Dowiadaliśmy się, że wojska radzieckie i polskie "dzielnie" biją i gonią Fryców do Berlina. Głośno mówiło się o przyszłych granicach Polski. Dzieci z Wołynia, Podola czy Litwy płakały, bo nie wiedzieliśmy co z nami będzie i gdzie znajdziemy nasze domy. Mówiono nam, co prawda, o tej nowej Polsce jaka to będzie potężna, przemysłowa, i socjalistyczna i sprawiedliwa. Nic z tego nie rozumiałam. Dla mnie Polska to była osada, nasz dom, gospodarka, dobrobyt, a przede wszystkim tata i mama. Tata nie było i mamy nie było też i nie wiedziałam czy żyje...

Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że już się coś skończyło, przepadło i nigdy tego nie odnajdę. Znów na apelu poinformowano nas, że padł Berlin - akurat na moje urodziny, że zakończenie wojny tuż, tuż... I nagle nie idziemy do szkoły /co za radość!/, jedziemy do Moskwy na Plac Czerwony oglądać defiladę.

Podziwiam i dyrektora i wychowawców, że zdecydowali się zawieźć nas do Moskwy w taki dzień. Jakimiś niesamowitymi "ścieżkami" dostaliśmy się na Plac Czerwony, choć były tam nieprzeliczone tłumy. Skąd tylu ludzi? Oczywiście wszyscy chcieliśmy zobaczyć Stalina, ale nie pokazał się. Ktoś tam pokazywał jakieś mikroskopijne okienko w Kremlu a w nim rzekomo Stalina, ale ja nie widziałam. Widziałam niezliczoną ilość sztandarów i maszerujących żołnierzy, jak z łopotem ciskają zdobyte flagi. Widziałam fruujące czapki i wysoko wylatujących w powietrzu wojskowych. To żołnierze fetowali gierojów-bohaterów. Było radośnie. Wszyscy pozdrawiali się nawzajem, uśmiechali się i płakali...

To był piękny wieczór. Późną nocą szczęśliwie wróciliśmy do domu. Teraz to już nie było co tutaj robić, trzeba było wracać, ale powrót do Polski ciągle był na horyzoncie. Tak minęła wiosna i lato. Zjawiła się dość chłodna jesień, a o powrocie było cicho. Chyba wszystkie dzieci chorowały na sierocą chorobę. Niektóre dziewczęta nagle zaczynały głośno płakać, a za nimi reszta. Powstawał lament. Była to pewnego rodzaju zbiorowa histeria, rozpacz, że do Polski nie wrócimy.

Wychowawcy biegali i na różne sposoby uspokajali nas. Zwykle zaczynała płakać Stasia Konior. Rodziców straciła w tajdze i czuła się bardzo samotna i nieszczęśliwa. Siadała na łóżku i zaczynała się kiwać w przód i w tył, w przód i w tył. I tak się kiwała coraz szybciej i szybciej i zaczynała płakać. Nie było na to rady, Stasia musiała się wypłakać. Zawodziła głośno i bardzo długo. Po takim seansie padała i zasypiała kamiennym snem. Po kilku godzinach budziła się i zachowywała normalnie. W taki sposób również płakała Hela Graczyk. Leżała na swoim łóżku, patrzyła w sufit i zaczynała płakać. Co by się

nie mówiło, to wojna, o której mało wiedzieliśmy, "podróż" w głąb nieprzebytego kraju, Sybir, nagłe śmierci najbliższych, wycisnęły swoje piętno na naszych psychikach i obliczach. Każde z nas było w jakiś sposób spaczone i okaleczone.

... Mnie przez dziesiątki lat prześladowały tragiczne twarze trupów, które widziałam w zagrzeżonych w błocie traktorowych przyczepach i w trupiarniach, gdy szukaliśmy ciała naszego tata. Śniły mi się i prześladowały mnie "patrzące oczy", zastygłe otwarte usta, powykręcane ręce i wyszczerzone zęby niepotrzebnych "zakluczonych". Oni także byli jedynie numerami.

Nie mogłam spać, bo kładąc się "widziałam" ciała tych ludzi-nieludzi. Męczyłam się jak ongiś mój tato. Zwracałam się nawet do psychiatrów, bałam się, że zwariuję.

Po kolejnej bezsennej nocy i zwidach siedziałam naprzeciwko pani doktor-psychiatry, a ona prowadziła wywiad. Pytania jej były śmieszne w porównaniu z moimi cierpieniami.

Pytanie: "Zamężna?"

Odpowiedź: - "Tak" - kiwnęłam głową.

Pytanie: - "Mąż pijak?"

Odpowiedź: - "nieeee!"

Pytanie: - "Bije?"

Odpowiedź: - "Skądże, to wspaniały człowiek".

Nerwowe poruszenie pani doktor.

Pytanie: "Dzieci są?"

Odpowiedź: - "Tak, dwoje".

Pytanie: - "Nie uczą się, łobuzują?"

Odpowiedź: - "Ależ nie, syn jest wybitnie zdolny, a córeczka malutka, ale też inteligentna".

Spojrzenie prosto mi w oczy i grymas zniecierpliwienia na twarzy

Pytanie: "Syn ordynarny wobec pani? Chamski?"

Odpowiedź: "Pani doktor, moje dzieci to najlepsze dzieci pod słońcem, miłe, grzeczne, utalentowane i bardzo ładne" - powiedziałam jednym tchem, jak prawdziwa matka.

Pani doktor trzasnęła ankietą o biurko, ramiona jej drgały i wrzasnęła:

- "Nie rozumiem dlaczego pani nie może spać. Dzieci w porządku, mąż nie pije..."

- "Pani doktor - przerwałam jej - dlaczego pani nie pyta mnie o dzieciństwo..."

- "Aha, tatuś pił" - ucieszyła się pani doktor.

Chwyciłam swoją książeczkę zdrowia i uciekłam z gabinetu. Do psychiatry więcej nie poszłam.

To Sybir, nędza, głód, utrata mojego kochanego tata, upokorzenia i poniewierka, doprowadziły mnie /nie tylko mnie/ do takiego stanu. Nie było dla nas "repatrijantów" sprawiedliwości. Nowa ojczyzna nie była naszą matką.

Wszystko zostało wypaczone i załgane. Nas nie wywożono siłą i pod kolbami w lodowatych bydlęcych wagonach w środku okrutnej zimy. My "przebywaliśmy" na terenach Związku Radzieckiego. Nikt nie pytał po co i dlaczego akurat tam "przesiedlano" nas. Wymyślono piękne słowa: "przebywali" i "przesiedlono". Nasze życie tam nie było lepsze od życia w obozach. Nie zrehabilitowano nas. Nic nie otrzymaliśmy po powrocie. Nasza krzywda trwa...

Niepostrzeżenie mijało lato 1945 roku. W naszym domu życie toczyło się normalnym trybem. Pracowaliśmy, uczyliśmy się. Latem też, bo trzeba było "przeskoczyć" klasę, bo niektórzy mieli po 14-15 lat, a byli w trzeciej lub czwartej klasie. Znowu nastąpiła jesień. Drzewa w naszym sadku gubiły liście. Zerwaliśmy złociste jabłuszka i wykopaliśmy z naszych działek

kartofle, buraki i marchew. Kiedyś szłam po sadku i nagle zobaczyłam śmiejące się do mnie różowo-złote jabłuszko. Jedyne wisiało wysoko na gołej jabłonce. Wdrapałam się natychmiast na drzewo i zerwałam jabłuszko, lecz nie zjadłam je. Było tak piękne i pachnące, że nie mogłam je zjeść. Schowałam do kieszonki i przyniosłam do sypialni. Trzymałam je pod poduszką w dzień i w nocy. Przrzekłam sobie, że zjem je w dniu wyjazdu do Polski. Pilnowałam swoje jabłuszko jak oka w głowie. Po prostu kochałam je. Przypominało mi mój rodzinny dom i sad. Jabłuszko pachniało i zawsze było pod moją głową.

Na zajęciach gimnastyki artystycznej skoczyłam tak niefortunnie, że zwichnęłam sobie stopę. Byłam zmartwiona, bo miałyśmy występować w Domu Kultury w Czkałowskiej dla przebywających w sanatoriach bohaterów ojczyźnianej wojny. Nie mogłam stąpnąć, więc leżałam i zazdrościłam koleżankom, że będą miały fajny poczęstunek. Co by się nie mówiło, nie byliśmy najedzeni do syta, mimo wszystko.

Była sobota, 14 października 1945 roku. Był to mroźny lecz słoneczny dzień. Leżałam w łóżku, "połykałam" książkę za książką. Odkładałam książkę i myślałam o mamie i o wszystkich. Znowu dostałam smutny list od Marysi. Pisała, że wszyscy ciągle chorują, że Emil omal nie zginął, bo wpadł do dołu z piachem i nikt by tego nie zauważył, gdyby nie jego czapka, która została na wierzchu. Moniek zrobił alarm i odkopano Emila. Był prawie nieprzytomny, ale palcami ścisnął nos, by nie udusić się piachem podczas oddychania. Wredna "zawiedujuszczająca" stołówka nie dała mu obiadu, bo nie pracował. Kierowniczką kuchni była... Polka. Jaszka i Moniek przyprowadzili Emila do maminej lepianki, lecz mama nie miała czym nakarmić syna. Niczego nie było do jedzenia.

Jakby tego było mało "brygadir" napisał mu "progół" i potrącono z pensji, a biedny chłopczyk był bezsilny.

Pisała Marysia, że absolutnie nie mają się w co ubrać, że zjadają ich wszy i pchły /pluskiew tam nie było, widocznie klimat stepowy im nie "odpowiadał"/, że ona była podejrzana o gruźlicę płuc, więc wysłano ją pieszo samą ponad 30 km do Rownego na prześwietlenie płuc. Ona zabłądziła w stepie i pewno byłyby ją wilki zjadły, gdyby nie przypadkiem napotkany Żyd jadący do Krasnego Kuta, który poinformował ją, że idzie akurat w odwrotnym kierunku - i odjechał. Z płaczem i modlitwą pobiegła w drugą stronę i po długich, ciężkich godzinach dotarła nocą do Rownego. Gdzie zapukała, nikt jej nie otwierał, nie przyjął na noc. Było jej wszystko jedno co z nią będzie. Wszyscy bali się bandytów, bo ciągle napadali i mordowali. Usiadła pod latarnią, bo tam było najjaśniej i czekała do rana.

Rano poszła jeszcze parę kilometrów w step, gdyż tam, z dala od miasta, znajdował się gruźliczy szpital. Zrobiono jej prześwietlenie i nie stwierdzono gruźlicy. Głodna, niewyspana i chora poszła z powrotem, znów 30 kilometrów do mamy i ciągle pieszo.

Czytałam i płakałam. Było mi smutno i ciężko, że mam dobrze, że bywam wesoła, a jej jest tak strasznie ciężko.

Spłakana usnęłam i śniło mi się, że jestem w swoim pokoiku, że jabłka pachną a mama obok pali w piecu i szykuje cudowne drożdżowe ciasto. Tylko źle się pali i dym gryzie mnie w oczy. Dym gryzł tak mocno, że zbudziłam się i rzeczywiście tarłam oczy, bo łzawiły i piekły. Usłyszałam bieganinę i hałas jakby to był dzień, a nie środek nocy.

Do sypialni wbiegli pan dyrektor i pani Hela i kazali nam szybko ubierać się i wziąć ze sobą pościel. Mamy biec na pod-

wórko, bo pali się dom.

Zerwały się wszystkie dziewczęta. Na razie nie czułam bólu w stopie. Szybko ubrałam się, chwyciłam swoją pościel i pakuje-tykałam na dół. Były tam już wszystkie dzieci od najmłodszych do najstarszych. Usiadłam na równoważni i patrzyłam jak płomie- nie pożerają nasz dom. Pan dyrektor wszedł na dach, chłopcy nosili wodę i lali na potężne płomienie. Pożar rósł. Paliły się sypialnie chłopców i cała lewa strona pałacyku. Stropy trzeszczały, waliły się. Iskry sypały w górę. Stojący na dole wołali dyrektora, by schodził, bo pożar zagraża jego życiu.

Po kilku godzinach zagaszono ogień, ale cała lewa strona domu wraz z gabinetem, klubem, mieszkaniem dyrektora i sypial- niami chłopców - spłonęła. Zostało prawe skrzydło, to gdzie mieściły się sypialnie dziewcząt. Było mglisto, mokro i zimno.

15 października wstał zadymiony i ponury. Nie mieliśmy się gdzie podziać. Dyrektor i wychowawcy rozlokowywali dzieci gdzie było wolne miejsce. Pani Gabara ugotowała gorące śniada- nie. Było mi zimno i bolała mnie noga.

Zjechało NKWD. Byliśmy wystraszeni. Robiono remanent. Oka- zało się, że nic nie zginęło /chyba było to bez precedensu, to jedyny pożar gdzie nic nie zginęło/.

Rano dyrektora długo wypytywało i trzymało NKWD. Dokładnie opowiadał gdzie był jak wybuchł pożar, dlaczego wybuchł pożar, jak to się stało, że pierwszy zauważył pożar i zaczął budzić dzieci. Dlaczego nie spał jeszcze, a jeżeli spał, to dlaczego był ubrany w chwili pożaru. O której godzinie wybuchł pożar i dlaczego dyrektor wie, że to była 5²⁰, bo do straży zadzwoniono o 6-ej. Strażacy mówili, że pewno pożar wybuchł wcześniej, bo gdy oni przyjechali już bardzo dobrze się paliło. Dyrektor odpowiadał, że pożar zauważyły Ola i Czesia Baranowska, bo szły

do ubikacji i podłoga wydała się im gorąca. Zawiadomiły panią Hełę, a ona biegnąc na górę spojrzała na wiszący zegar i zauważyła 5²⁰.

Zegar zdjęto i wyniesiono. Enkawudziści poszli zobaczyć zegar. Nie chodził. Wskazówki pokazywały 5²⁰.

Noga coraz bardziej mnie bolała i puchła.

W tym rozgardiaszu zgubiło mi się moje jabłuszko - pachnące dzieciństwem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

"Czy chcesz wrócić do Polski?"

Zima zjawiła się bardzo szybko i jak zwykle, mroźna i obfita w śnieg. Nie było już ani miło, ani sympatycznie nam jak przed pożarem. Sypialnie były przepełnione. Zrobiło się ciasno i brudno. Dzieci częściej zapadały na różnego rodzaju groźne infekcje. Zdarzyło się kilka przypadków dyfterytu i tyfusu.

Na tyfus zostali zabrani do szpitala Zbyszek Arciszewski i Józia Sarzyńska. Zaraz po nich zachorowały na dyfteryt Jadzia Kłoc i Basia Malejonek.

Brud i niemożliwość utrzymania higieny dawały się we znaki. Na dzieci padł blady strach. Wystarczyło, żeby ktokolwiek powiedział, że się źle czuje, lub boli go głowa, a od razu wybuchały zbiorowe lamenty i histeria. Baliśmy się, że pewno poumieramy tutaj i nikt nie wróci do Polski, ktoś powiedział, że z jakichś powodów nie chcą nas wypuścić, a my ciągle marzyliśmy o Polsce.

Pewnej nocy poczułam, że ktoś mnie lekko całuje w czoło. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nade mną panią Helenę. Uśmiechnęłam się do niej i ona do mnie. Cichutko wyszeptała: "Śpij, śpij, dziecińko". Natychmiast zasnęłam. Rano ścieliłam swoje łóżko i ze zdziwieniem znalazłam pod poduszką małą kopertkę a w niej kilka słów nakreślonych przez panią Helenę. Pisała: "Udało mi się wyjechać wcześniej. Nigdy was nie zapomnę. Ucałuj swoje koleżanki i kolegów. Chłodzińska z synami".

Wybuchnęłam głośnym płaczem. Dziewczęta zbiegły się do mnie i kolejno czytały pożegnalne słowa kochanej wychowawczynie. Pobiegłam na dół dowiedzieć się czegoś więcej, a tam dąsy.

Dyrektor zły, wychowawcy poważni. Nie udzielono mi żadnej odpowiedzi. Przyszła pani Celina /nie lubiliśmy jej/ i zaczęła krzyczeć na nas, że jesteśmy histeryczki i bałaganiary i że ona nie uciekła jak "inni", tylko do końca jest z nami.

Po wojnie spotkałam ją w Warszawie, niemal rzuciłam się jej na szyję, a ona zdziwionym wzrokiem patrzyła na mnie i powiedziała do koleżanki: "No widzisz, nie wiedziałam, że popełniłam kiedyś wychowywanie jakichś pannic, niczego takiego nie przypominam sobie. Ja wychowawczynią?" - zaśmiała się i odeszły. Pomyślałam - paskudna Żydówka - zawsze gubiła watę... Znienawidziłam ją jeszcze bardziej i nigdy nikogo o nią nie pytałam.

Smutne było Boże Narodzenie 1945 roku. Przy choince składaliśmy sobie życzenia, a najważniejszymi słowami były te, żeby już następne Boże Narodzenie było w Polsce. Dostawaliśmy zaproszenia na choinkę do Moskwy do "Doma Sojuzow" /Dom Zw.Zaw./ na ul.Gorkiego. Ja też zostałam wytypowana. Muszę przyznać, że dyrekcja i wychowawczynie sprawiedliwie dzielili nagrody i kary. Cieszyłam się z tego bardzo, bo imprezę tę chwalili ci, co już byli. Oczywiście był "Dziadek Mróz" ze "Śniegu-roczką", korowody, tańce, wspólne zabawy, lecz najważniejsze - paczki ze słodyczami, jabłka i pomarańcze. Na zaproszeniu było napisane: "D'et Moroz nam prikazał was pozvat'w Kołomnyj Zał".

Pewnego dnia pan dyrektor zwołał nadzwyczajne zebranie wszystkich dzieci od 3-ich latków poczynając. Baliśmy się tych zebrań, bo kiedy przewodniczył dyrektor to było to coś nadzwyczaj ważnego. Przeważnie byli piętnowani chłopcy, ale zdarzało się, że i dziewczęta też, za kradzieże, za niszczenie mienia, za zło stopnie itp. Nigdy nikt nie był pewien czy

czy właśnie o nim nie będzie mowa na takim zebraniu. Dyrektora bali się wszyscy, może z wyjątkiem Zenka Ziębickiego, który zawsze zza węgła krzyczał "Bolek", gdy dyrektor szedł lub, niosąc mu jedzenie, wyciągał kawałki mięsa i bezczelnie zjadał. Tak jak ja na Tisowej. Pan Bolek zamiatał łyżką i pewno dziwił się, że pani Maria tak go lekceważy.

Usiedliśmy cicho w jednej sypialni i czekaliśmy. Wszedł pan dyrektor i wszyscy wychowawcy. Zaległa całkowita cisza. A wtedy pan dyrektor przemówił, że oto zbliża się dzień naszego wyjazdu do Polski. Zaczęliśmy bić brawa. Gdy się uciszyło mówił dalej, że przyjadą urzędnicy z NKWD i każdego z nas będą wzywać do gabinetu i zadawać jedno pytanie: "Czy chcesz wrócić do Polski?". Nie wolno sobie robić żartów ani dowcipkować. Należy odpowiedzieć "tak". Jeżeli ktoś powie "nie" - nie pojedzie i żadna siła mu nie pomoże. Urzędnicy są poważni i zadają poważne pytanie.

Na koniec zaapelował do wszystkich dowcipnisiów, żeby nie żalowali swych odpowiedzi.

W niedługim czasie zjechało kilku enkawudzystów i zasiedli w gabinecie dyrektora. Przez kilka godzin wchodziliśmy pojedynczo do gabinetu. W obecności dyrektora i wychowawców poważnie odpowiadaliśmy na sakramentalne pytanie: "Tak".

Pamiętam, jak Karol Sieradzki powiedział: "Jakoś w 1940 roku nie zadawali nam pytania czy chcemy jechać do Rosji". Pomyślałam sobie "ma rację". Szybko napisałam list do mamy, że wybieramy się do Polski i że chciałabym wiedzieć, kiedy mama pojedzie. Odpowiedzi nie dostałam.

Zaczęliśmy całą parą szykować się do wyjazdu. Chłopcy zbierali duże skrzynie, w które składaliśmy rzeczy mniej potrzebne i zbędne dla codziennego użytku. Zima trzymała sroga. Jadzia,

Zbyszek i Józia wrócili już ze szpitala, ale byli bladzi i wyniszczeni chorobą. Janka powiedziała, że gdyby położyć ich na śniegu, nie odróżnialiby się. Basia zachorowała najpóźniej, więc nie wyszła jeszcze ze szpitala a poza tym przebieg jej choroby był cięższy niż u pozostałych osób. Zdecydowała więc pani Malejonkowa, że nie pojedzie, lecz zostanie z córką, a po jej wyzdrowieniu wróci.

I oto nadszedł 27 marca 1946 roku. Dzień był mroźny lecz słoneczny. Z KomPolDietu dostaliśmy nowe palta ze sztucznymi kołnierzami i czapki uszanki. Kołnierze i czapki miały brzydkie szarobure misie. Myśmy się jednak bardzo cieszyli, że jedziemy do Polski, reszta nie była ważna.

Samochody zabrały rzeczy, a my ostatni raz ze stacji Czkałowskaja wsiedliśmy do elektrycznego pociągu i pojechaliśmy do Moskwy. Było nam wesoło i dobrze. Nie martwiliśmy się mrozem ani zimą. Na Białoruskim Dworcu czekała na nas dziecięca orkiestra i sypialny pociąg. Były przemówienia, życzenia i koncert pionierów. Szybko załadowaliśmy się do wagonów i z niecierpliwością czekaliśmy żeby już pociąg ruszył, żeby tylko jechać.

Żegnała nas pani Nina Rożdżestwienskaja, zawsze była pełna taktu i dobroci. Ściskaliśmy ją i całowaliśmy, bo przez te dwa lata zżyliśmy się z nią i nawzajem polubili.

Nareszcie zawiadowca dał znak i wolno uroczyście ruszył nasz pociąg. Orkiestra grała "Fale Amuru" a my po sześciu latach, wyrwanych z życia, wracaliśmy do wytęsknionej, lecz nieznanej Polski.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nareszcie Polska

Granicę przekraczaliśmy w zupełnie innym miejscu aniżeli sześć lat temu. Przed wojną to miasto nie było nawet na pograniczu Polski. Teraz zostało po tamtej stronie.

Wopiści patrzyli na nas z nieukrywanym /delikatnie mówiąc/ obrzydzeniem. Nie znali takiej „mody” jaką myśmy reprezentowali.

Wysiedliśmy, aby przenieść się do polskich wagonów. Nic nam się nie podobało. Miejsca w wagonach były twarde i brudne. Przeziębiam się i bolał mnie brzuch. W ogóle to nie tak wyobrażałam sobie przekroczenie granicy. Nie było wśród nas entuzjazmu.

Niektóre dziewczynki płakały, myśląc o tych, co zostali i już nigdy nie wrócą do Polski. Zawsze twarda i w świetnym humorze Janka Mieleško, płakała najbardziej. Na Syberii umarła jej mama, a mały braciszek Bolek został w Tisowej. Nie wiedziała, gdzie jest i czy żyje jej ojciec - żołnierz Armii Andersa, nie знаła losów brata Witolda, który walczył w I dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Ja również płakałam, bo także nie wiedziałam co dzieje się z mamą i rodzeństwem, czy żyje Euzebiusz; nigdy także nie byłam później na grobie mojego taty. Bałam się przyszłości i nie jechałam przecież do naszego domu na osadę Ostrowską.

Janka uspokoiła się pierwsza i zaczęła mnie uspokajać. Posadziła mnie na stolik między ławkami i karmiła jakimiś owocami z puszki. Janka była w wieku mojej siostry i przyjaźniła się z nią. Potem, gdy Marysia wyjechała do mamy

przełała swoją przyjaźń na mnie. Ze mną w przedziale były wszystkie moje przyjaciółki: Stasia, Janka, Jadzia, Gienia Indykówna i inne. Uspokoiliłam się na tyle, że usiadłam i patrzyłam smutna przez zamazane szyby na szarość za oknem. Nic nie napawało mnie optymizmem, nie budziło otuchy. Wszystkim było nieswojo na sercu i duszy. Zrobiło mi się słabo więc Stasia pościeliła na ławce i położyła mnie. Dziewczynki wyszły na korytarz, abym w spokoju usnęła. Ledwo się położyłam, gdy rozległ się ostry brzęk i szyba rozsypała się na drobne kawałki, a do przedziału wpadł sporej wielkości kamień. Szczęście, że leżałam z głową w kierunku drzwi i byłam przykryta grubym kocem. Zerwałam się z krzykiem, a koleżanki jedna przez drugą wciskały się do przedziału. Zebrały koc, strzepnęły za okno i obejrzały mnie czy nie mam skaleczeń. Któraś pobiegła po wychowawczynię. Przyszła pani Hela i pan dyrektor. Spytali czy nic mi się nie stało i kazali sprzątnąć przedział. Zrobiło się jeszcze smutniej. W fatalnych nastrojach dojechaliśmy w głąb Polski. Okazało się, że jesteśmy w Kutnie. Miasto wywarło na mnie jak najgorsze wrażenie. Było ponure /może winna była lepka mgła/, brudne i odpychające.

Na stacji wyszliśmy przejść się trochę. Janka powiedziała: "Kutno - smutno". Faktycznie nie było nam wesoło. Pracujący kolejarze wydawali się szarzy i źli,

Stasia z Janką trzymały mnie pod rękę i chodziłyśmy po peronie. Podszedł do nas jakiś kolejarz i nachylając się powiedział szeptem: "Po co tylu tych Żydów nawieźliście, My ich tu wszystkich powyrzynamy".

Zaniemówiliśmy. Wróciłyśmy do wagonu. Od tego momentu chodziłyśmy krok w krok za panem dyrektorem.

Zawieziono nas do Gostynina i ulokowano w szkole, ciągle

mieliśmy "popasy" w szkołach. Wtedy ja położyłam się na dobre do łóżka. Wzywano do mnie jakiegoś lekarza, ale ta wizyta nic mi nie pomogła. Byłam anemiczna i chora.

W tej szkole przebywaliśmy chyba 2-3 tygodnie. Myślę, że nie wiadomo co z nami zrobić, dokąd zawieźć. Całymi dniami leżałam sama w sypialni. Wszyscy wychodzili do szkoły, a ja leżałam. Mało kto zaglądał do mnie. Kiedyś wstałam i poszłam sama do ubikacji. Koleżanki były w szkole. Zrobiło mi się słabo i zemdlałam. Upadłam na betonową posadzkę. Ocknęłam się w ramionach przystojnego porucznika. Spytał dokąd ma mnie zanieść, z której jestem sypialni.

Okazało się, że był to syn Pani Szewy - naszej polonistki. Dowiedział się, że wracamy i przyjechał powitać matkę i siostrę Debrę. Traf chciał, że był w łazience, gdy ja tam weszłam. Pani Sonia i dziewczęta dokuczały mi, że zostanie jego żoną bo mnie uratował.

Ciągle chorowałam. W wolnych, od gorączki chwilach czytałam książki. "Połykałam" co tylko nawinęło mi się w ręce. Dziewczęta czytały "Króla chłopów". Książkę tę zdobyły skądś siostry Cela i Krysia. Bardzo chciałam ją przeczytać, bo mój tato miał całego Kraszewskiego. Nie wiem z jakiego powodu nie chciały mi jej dać. Najpierw czytała jedna, potem druga i trwało to długo. Kiedy wychodziły zamykały książkę w szafce i zabierały kluczyk. Prosiłam, żeby mi zostawiły na czas ich bytności w szkole, ale udawały, że nie słyszą. Tak się przejęłam, że dostałam bardzo silnej gorączki i omal nie umarłam. Dziewczęta zawiadomiły panią Sonię, że źle jest ze mną. Pani Sonia wyzwała obie siostry od wrednych "Dzioków" /tak nazywano je/, a mnie od histeryczek. Książkę jednak zabrała im i dała mi do czytania.

Pan dyrektor jeździł do Warszawy i załatwiał dla nas wyjazd. Nie mogliśmy dłużej koczować w otoczeniu szpitali dla psychicznie chorych. "Odróżniali się" od reszty pięknymi czerwonymi butami.

W końcu coś się ruszyło i pojechaliśmy do Szklarskiej Poręby. Pociąg był wprost oblepiony. Ludzie jechali na stopniach, na dachach, na buforach, no i ci szczęśliwi, którym się udało - w przedziałach ciasno wypełnionych jak śledzie w beczce. Wszyscy jechali na zachód. Nie wiedziałam co się dzieje, dlaczego tyle ludzi jedzie. Jakiś chłopak, ze zwiniętym workiem pod pachą, wyjaśnił mi, że wszyscy jadą na szaber. Nie rozumiałam tego słowa, ale wstydziłam się spytać co to znaczy.

W Szklarskiej Porębie ulokowano nas w poniemieckim pensjonacie na ulicy Rokossowskiego. Zachwyił mnie krajobraz i dom. Góry zobaczyłam po raz pierwszy. Pensjonat był piękny, jakby przymocowany do skały z dużymi tarasami. Nareszcie było czysto, jasno i pachnąco...

Znalazłam się w czteroosobowej sypialni na I piętrze z olbrzymim tarasem. Były ze mną Stasia, Janka i Jadzia. Chorowałam dalej. One szły do szkoły, a ja leżałam w łóżku. Jeszcze nigdy nie chorowałam tak długo. Kiedy wszyscy wychodzili, wstawałam i próbowałam przejść długi korytarz. Nigdzie nie byłam i nic jeszcze nie widziałam. Szłam wolno, trzymałam się ścian. Dochodziłam do sypialni obok i siadałam, bojąc się zemdleć.

Dziewczęta wracały ze szkoły i opowiadały mi co dzieje sięw mieście, jak pięknie jest na dworze, jakie kwiaty kwitną, ile krokusów i stokrotek na łąkach, że sobie nie wyobrażam.

Przynosiły mi cudowne, ze złotym oczkiem stokrotki i stawiały na mojej szafce. Były dobre dla mnie i dbały o mnie.

Dyrekcja i wychowawcy byli prawie nowi. Pani dyrektorka

nie przejmowała się mną. Nie wiem jak długo leżałabym, zdana na opiekę koleżanek, gdyby nie następujące wydarzenie.

Kiedy nie było nikogo w domu wychodziłam na czysty korytarz sprawdzać swoje siły. Pewnego razu usłyszałam, że ktoś biegnie po schodach, przeskakując po kilka stopni na raz. Gwizdał przy tym jakąś skoczną piosenkę. Cichutko stałam przy schodach, trzymałam się poręczy i spojrzałam w dół. W tym momencie zakręciło mi się w głowie, pociemniało w oczach. Poleciałabym w dół, gdybym nie znalazła się na rękach mężczyzny. Niósł mnie do sypialni, gdzie były otwarte drzwi. Spojrzałam na niego. Był bardzo piękny! Położył mnie na łóżko i usiadł obok. Był w ciemnych spodniach i w niebieskiej koszuli, a przez ramię przewieszony miał aparat fotograficzny. Wycierał mi łzy z policzków i patrzył ze współczuciem. Wypytywał co mi jest, jak długo choruję, jak się nazywam itd. Gładził moje włosy i policzki. Pocałował mnie w czoło i powiedział, że weźmie się za moje leczenie. Był to pierwszy Polak, który nie patrzył na mnie ze złośliwą ironią.

Opowiedziałam mu, że bardzo długo choruję, że cierpię na przewlekłą obstrukcję i ciągle mam gorączkę. Odciągnął moje dolne powieki i powiedział, że mam anemię i trzeba mnie leczyć a przede wszystkim odżywiać. Posiedział jeszcze chwilę, porozmawiał i obiecał interweniować u dyrektorki. Nie spytałam skąd się wziął.

Istotnie, pani dyrektor raczyła osobiście pofatygować się na górę i spojrzeć na mnie. Zaczęto mnie lepiej karmić, a pielęgniarka zrobiła mi lewatywę.

Po paru dniach poczułam się lepiej, Pogoda ciągle była przepiękna. Była już trzecia dekada kwietnia i zbliżała się Wielkanoc. Biadałam na tarasie /było ciepło jak w lipcu -

a l przed wojną/, patrzyłam na zbocza gór porośnięte lasem, na ruch uliczny i było mi dobrze. Myślałam o pięknym nieznajomym. Zastanawiałam się kto to mógł być. Dyrektorki jednak nie pytałam.

Kiedys znów wyrwał mnie z zamyślenia, gdy siedziałam oparta o poręcz tarasu i patrzyłam w dal. Drgnęłam i krzyknęłam lekko. Był wesoły, opalony i jeszcze piękniejszy. Przyniósł mi czekoladę i tabletki, które działały bezboleśnie i skutecznie.

Przyjrzałam mu się, był bardzo młody. Już byłam w nim zakochana, bo wszystko pasowało, było jak w pięknym romansie. Przystojny, młody mężczyzna i ja chora... Na odchodnym powiedział, żebym zdrowiała, bo zbliża się Wielkanoc i on szykuje nam niespodziankę.

Opowiedziałam dziewczętom, że znów mnie odwiedził ów tajemniczy nieznajomy. Przychodził zawsze, gdy wszyscy byli w szkole, a wychowawców nigdy do południa nie widziałam.

Nie wierzyły mi. Zaklinałam się i częstowałam je czekoladą, jadły i dziwiły się.

Ktoś zapukał do drzwi. Janka otworzyła i głośno powiedziała: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", dziewczęta wstały, ja wychyliłam się i zbladłam.

W drzwiach stał ubrany w sutannę "mój" piękny nieznajomy. Uśmiechał się figlarnie i patrzył na mnie. Powoli ustępowała bladość z moich policzków, a wchodził buraczkowy rumieniec.

Oczywiście wszystkie dziewczyny były nim zachwycone i zakochane, już go znały. Był może dziesięć, jedenaście lat starszy od nas. Miał 23 lata, był ledwo po wyświęceniach; pełen zapału do służby bożej. Nazywał się Stanisław Sarnecki.

Z każdym dniem czułam się lepiej. Ksiądz przychodził do

nas prawie codziennie. Wszystkie wychowawczynie, niezależnie od tego, Polki, Żydówki, czy Niemki - promieniały na jego widok. Umiał każdej coś miłego powiedzieć, z każdą zażartować i pośmiać się.

Zrobił spis dzieci, które nie były u pierwszej komunii i zaczął je przygotowywać do tej uroczystości. Dziwił się, że ja byłam. Powiedziałam, że miałam szczęście spotkać niemniej dobrego i kochanego księdza tam, w Kotłasie, choć nie tak wesołego jak on. Spytałam czy słyszał o księdzu Ryszardzie Grańskim, ale nie słyszał.

Wizyty księdza Sarneckiego elektryzowały wszystkich: dzieci i wychowawczynie. Jego pojawienie się było promykiem radości. Z panią Sonią pięknie grali - na cztery ręce - na fortepianie i śpiewali "Czerwone maki" lub "Chryzantemy złociste", pani Alinie groził palcem i uśmiechał się mówiąc, że widział ją z rozpuszczonymi włosami przytuloną..., a pani Alina czerwieniła się i wołała: "Nie kończyć, nie trzeba". Nawet pani dyrektor malowała usta i z promienną twarzą zapraszała księdza do gabinetu.

Posmutniałam, bo nie był moim, wymarzonym rycerzem z bajki. Był księdzem. Pierzchły marzenia...nastolatki.

Na kilka dni przed świętami poszłam na rekolekcje. Potem miała być wielkanocna spowiedź. Na wysokim wzgórku stał śliczny kościółek. U jego stół roztaczał się widok na całą Szklarską Porębę.

W kościele dowiedziałam się, że prócz księdza Sarneckiego jest jeszcze drugi ksiądz - Niemiec, który nie dość, że nie mówi po polsku, to jeszcze nie słyszy dobrze. Wszyscy ustawiliśmy się w kolejce do księdza-Niemca. No bo jak się spowiadać u kogoś "kogo się kocha". Niestety wszystkie byłyśmy

w nim "zakochane". Nikt nie "zauważał" gestów i szeptów księdza Sarneckiego by spowiadać się u niego.

Ksiądz Sarnecki nie wytrzymał. Wybiegł z konfesjonału i wołał: "Chodźcie do mnie, będzie szybciej" - ale nikt się nie ruszył. Staliśmy i "żarliwie" modliliśmy się.

Tymczasem spowiadał się Narcyz - druga po księdzu miłość dziewczyn. Nie dość, że nazywał się jak ów mitologiczny, to w dodatku był tak samo piękny i wiedział o tym. Nosił się po harcersku i było mu wybitnie do twarzy. Na jego palcu błyszczał i skrzył się w blasku świec "rodowy" sygnet. Narcyz był ministrantem. Rozchyłał czerwone wargi i uśmiechał się do... siebie, ukazując lśniące zęby.

Kochałyśmy się w księdzu, to prawda, ale ksiądz to ksiądz, a Narcyz... Oczy dziewcząt wpatrzone były w niego, a serce waląły się przed ołtarzem u Narcyzowych stóp. Narcyz nie zauważał tego. Znaczyłyśmy dla niego tyle, co pył pod jego harcerskimi butami. Ten właśnie Narcyz klęczał, prosty jak świeca i spowiadał się.

Nagle z konfesjonału wyłoniła się czerwona i zła twarz księdza-Niemca i na cały kościół rozległ się grzmot jego czystej polszczyzny:

- "Padaj na kolana i proś Pana Boga o wybaczenie, jak mogłeś okradać tacę".

Odjęło nam mowę. Połapałam się pierwsza i na palcach przeszłam do konfesjonału księdza Sarneckiego. Uklękłam i chciałam się przeżegnać, gdy mimochodem spojrziałam w kratkę. W konfesjonale ksiądz Sarnecki zaciśniętymi pięściami uderzał po udach i trząsał się w niemym śmiechu. Usta miał otwarte, a ramiona mu drgały. Absolutnie nie wydawał żadnego dźwięku. Nigdy również ogarnął śmiech.

Przytuliłam twarz do kratki i śmiałam się w konfesjonał.

Pierwszy ochłonął ksiądz. Zapukał w konfesjonał. Wstałam z klęczek i poszłam do bocznej nawy. Obejrzałam się na tłum wystraszonej gromadki i znów zaczęłam się śmiać. Przy konfesjonale księdza-Niemca nie było żywej duszy.

Ksiądz Sarnecki miał porywające kazania, gdy mówił, modulował głos, nadawał mu odpowiednie do treści brzmienie. Zebrani przeważnie płakali.

W wielkanocnym kazaniu wystąpił w naszej intencji. To była ta niespodzianka. Mówił, że oto wróciły z Syberii biedne, osieroczone, chore i anemiczne dzieci. Zwrócił się o pomoc dla nas, bo dzieci są wycieńczone, mdleją, nie mogą długo stać. Trzeba je odżywić. Powiedział również, że taca dzisiejsza będzie temu celowi poświęcona.

To wszystko była prawda, Faktycznie jakiegokolwiek dłuższe stanie czy to dziewcząt czy chłopców, kończyło się omdleniem. Organizmy nasze były nieludzko wyniszczone choć jeść się już nie chciało. Natychmiast po przekroczeniu granicy polskiej - byliśmy syci!

Ksiądz mówił o nas i apelował do uczuć zebranych, aby nie żałowali dla tych, co wszystko stracili, bo odebrano im majątki, najbliższych i zdrowie.

Stałam z Janką i trzymałam tacę a wierni wychodząc z kościoła kładli duże pieniądze dla sierot z domu dziecka.

Po powrocie z kościoła zrobiła się straszna chryja. Dyrektorka tak się rozwścieczyła, że omal nie wywaliła mnie i Jankę z domu. Dzięki wstawiennictwu i obronie wychowawczyń i pani pielęgniarki udało się nam zostać. Księdzu zabroniono przychodzić do nas. Wtrąciły się w to groźne instytucje. Ciągano księdza po komisariatach, mnie i Jankę przesłuchiowano.

Nie znam dalszych losów zebranych pieniędzy.

Z księdzem widywałyśmy się ukradkiem. Mówiłyśmy, że coraz gorzej u nas się dzieje. Dyrektorka nie lubiła mnie i karała przy byle sposobności. Zauważyły to nawet obsługujące nas Niemki. Pytały czemu ksiądz już nie przychodzi. Z nim wszyscy czuli się dobrze.

Niemki, dawna obsługa pensjonatu, podawały nam posiłki i patrzyły w osłupieniu na nasze zachowanie przy stole.

Wpadaliśmy do stołówki, siadali i natychmiast przelewaliśmy kawę czy herbatę ze szklanek na spodki i głośno siorbiąc piliśmy, ruskim zwyczajem ze spodków. Niemki łapały się za głowy, krzyczały i wrywały nam spodki, nie pozwalały rozlewać płynów. W ich oczach i na twarzach malowało się obrzydzenie.

Niedługo przebywaliśmy w Szklarskiej Porębie. Wydawać by się mogło, że to tułacze życie nie chce nas opuścić.

W tym domu z nową dyrekcją, nie czułam się dobrze. Przypominał mi Tisowuju, chociaż nikt nas nie bił tutaj.

W ojczyźnie też nie znalazłam niczego /z wyjątkiem pięknej pogody/ co by choć w części przypominało mi moje wczesne, cudowne dzieciństwo. Moją osadę i dom. Tutaj wszystko co otaczało mnie, było obce.

Jakoś pod koniec czerwca przyjechała do mnie niespodziewanie moja Marysia. Odszukała mnie przez PCK. Prawie nie mogliśmy się poznać. Była wysoka, chuda z długimi czarnymi warkoczami. Ja też urosłam i zmieniłam się. Powiedziała, że mieszkają około 200 km stąd. Mają "chatkę za wsią" i jest im wesoło.

Pojechałam z nią do mamy. Mieszkali w Starkowie, niedaleko Kłodzka. Pociąg dowiózł nas tylko do Kłodzka. Stamtąd szłyśmy pieszo 15 km do Starkowa. Byłam zmęczona i bardzo słaba. Marysia też. Okazało się, że niedawno wyszła ze szpitala w Kłodz-

ku, gdzie leżała na malarię. Szliśmy do mamy, dwie chore dziewczynki, a wokół grasowały bandy szabrowników i nierobów.

Pod wieczór wyczerpane i zmęczone dotarliśmy do Starkowa. Naprzeciwko nam wybiegł Emil z małym chłopaczkiem na rękach. Spytałam: "Czyje to dziecko?". Odpowiedział: "Gospodarzy". Stałam i szeroko otwartymi oczami patrzyłam na Emila. Po czterech latach rozłąki, nawet się jeszcze nie przywitałam.

- "Jakich gospodarzy?" - krzyknęłam.

- "Chodź, daj pyska, co taka blada jesteś?". Postawił chłopczyka, objął mnie i poszliśmy do mamy.

Ostatni domek we wsi był "nowym" domem mojej mamy. Mama stała na schodach i uśmiechała się. Parę tygodni pobytu w Polsce korzystnie zmieniły mamę. Ze spojrzenia i zadowolenia na łagodnej twarzy, podobna była do mamy z przed wojny.

Ja jednak byłam nieszczęśliwa. Nie tak wyobrażałam sobie mamine życie i dom. Przywarłam do mamy, nie mogłam wymówić ani słowa. Objęte weszliśmy do środka. Dom w niczym nie przypominał mi naszego dawnego domu. Była to malutka, jednoizbowa chatka z dużą sienią.

Patrzyłam na ich zadowolone twarze i zaczęłam płakać. Wydawało mi się, że obecne mamine życie niewiele zmieniło się od syberyjskiego.

Mama i Emil pocieszali mnie. Pytali co się stało, dlaczego tak rozpaczam. Długo płakałam i nie odzywałam się do nich. Leżałam na łóżku i myślałam: "To ma być nasz dom, ta nędzna mała chatka; gdzie jest mój pokój? Co ja powiem w domu dziecka. - Jak oni - myślałam znów o mamie - mogą tak żyć i cieszyć się! Nikt nic nie mówił. Mama też nie odezwała się, a ja płakałam.

Emil spróbował mi coś wyjaśnić, ale nie słuchałam go. Przypomniało mi się, jak mama opowiadała o nim jeszcze na Obi-lu. Był maleńki, a służył u nas wtedy Filip. Emil bardzo go

kochał, bo Filip co by nie robił zawsze nosił Emilcia na rękach. Kiedy odszedł od nas, Emil bardzo płakał za nim. Były to pierwsze lata na osadzie. Stawał na taboreciku, patrzył w okno i płacząc wołał: "Filipu, a chodź weź a leńki". Szlochałam i myślałam sobie, że teraz jakiś mały chłopczyk stoi w oknie i woła Emila - parobka, by przyszedł i wziął go na ręce. Nie mogłam darować sobie, że Emil służy u kogoś. Taki mądry, taki czytany i jest zwykłym "najmytą".

Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym mieszkać w chatce o jednej izbie i chodzić do ludzi... Było to dla mnie poniżające. Mimo sześciu lat nędzy nie zapomniałam o naszym przedwojennym życiu. Znowu rozpaczałam, że nie mamy naszego tata.

Spytałam mamy z czego żyją. Powiedziała, że pracują u ludzi.

- "Jak to, dlaczego?" - pytałam ze złością i wstydem, bo ciągle myślałam o tym co powiem koleżankom. Tyle wiedziały o naszym wspaniałym życiu. Teraz dowiedzą się, że moja mama, dziedziczka i żona wojskowego osadnika, pracuje u ludzi jak jaka wyrobница.

Mama tuliła mnie i wyjaśniała, że chcąc wrócić do Polski musiała "udokumentować" swoją i dzieci polskość. Oddała więc władzom NKWD jedyny dokument jaki posiadała - akt nadania ziemi naszemu tacie przez Naczelnika. Nie ma więc żadnego dokumentu na to, że miała coś przed wojną. Musi czekać aż znajdzie świadków i PUR wyrobi mamie dokument, że była za Bugiem, jeżeli nie panią, to chociaż gospodynią.

Ja jednak nie mogłam się pogodzić z tym, że moja mama służy u Mazurów, którzy kiedyś mogliby stać przed naszym gankiem i czekać na robotę lub prac w starej chacie. Teraz

oni udają panów, bo nałapali poniemieckiego dobra i rozkazuja mamie co ma robić i daja jeść nie na talerzu i przy stole, lecz w misce i na schodach.

Za to co zostało za "Bugiem" dostała mama, po ciągłym chodzeniu do PUR-u, proszeniu i molestowaniu, 2 ha ziemi i chatkę jeszcze gorszą od tej. Rachunek został "wyrównany". Nic w tej chatynce nie było. Wszystko zostało wyszabrowane i rozgrabione jak od nas, gdy tylko wywieziono nas do Tysłuchowa.

Nie było odszkodowania za dom /właściwie za dwa, bo nasz stary dom był w lepszym stanie od obecnego/, za zabudowania, maszyny, konie, sad, pasiekę, za nic. Nigdy nie policzono mojej mamie sześciu lat katorżniczej pracy, nigdy niczego nie otrzymała. Owszem, państwo dało jej kozę. Za zarobione pieniądze kupiła starą krowę. Nie poszła pracować do spółdzielni. Na tę "kolektywną" gospodarkę napatrzyła się całe sześć lat. Miała jej powyżej uszu. Ze swoich 2 ha płaciła Marysi i Emilowi za szkołę i "spółdzielcom" za zaoranie, zasianie i skoszenie. Sama wykształciła dzieci. Emil został leśniczym. Tato byłby dumny.

Z krzywdą odeszła z tego świata.

Smutna i nieumyta położyłam się spać w jednym łóżku z Marysią. Rano zbudziłam się i zaczęłam wołać mamę, ale nie było odpowiedzi. Zawołałam Emila i Marysię, też była cisza. Wstałam, Gienio siedział na schodach i strugał coś kozikiem. Spytałam gdzie są wszyscy, powiedział, że przy burakach u sąsiadów. Wbiegłam z powrotem do izby, uklękłam przy łóżku i biłam pięściami po pościeli i rwałam co mi wpadło w ręce. Szalałam jak furiatka.

Wieczorem powiedziałam, że chcę wyjechać do domu dziecka. Mama przytuliła mnie i zapłakała.

- "Jedź i ucz się dobrze - powiedziała. - Żyj godnie, nie

zapomnij kim był twój ojciec".

Emil odwiózł mnie do Szklarskiej Poręby, a dyrektorka od razu spytała czy wrócę do mamy. Odpowiedziałam, że nie, bo mama nie ma za co posyłać mnie do szkoły, a ja chcę się uczyć. Nieraz potem słyszałam od dyrektorki, że powinnam krowy paść, a nie chodzić do szkoły, ale to inna sprawa. Nie było mi dobrze, byłam upokarzana, musiałam wykonywać takie "dyżury", z których "inni" byli zwalniani.

Zbliżał się koniec wakacji. Było ciepło i pięknie. Otwieraliśmy wszystkie drzwi na taras. Wieczorami, w tajemnicy przed wychowawcami wychodziłyśmy na taras i patrzyłyśmy na spadające gwiazdy. Każda wybierała swoją i w duchu mówiła życzenie - oby się spełniło...

Pewnej nocy, było chyba po czwartej nad ranem, usłyszałyśmy marsz i śpiew. Piękny śpiew maszerujących harcerzy. Wszystkie wybiegłyśmy na taras. Naszą ulicą z gór szli harcerze. Byli piękni i wspaniali. Śpiewali prześliczne przedwojenne i wojenne harcerskie piosenki. Tych piosenek nie znałam. Śpiewali o stokrotce, o młodym skaucie, o harcerzu, którego zabiła zdradziecka kula, o Pałacyku Michla i wiele innych. Obozowali tutaj ^{w górach} i w lecie, zapraszali nas na ogniska.

Stałyśmy i patrzyłyśmy jaśniejącym świtaniem na wspaniałych, młodych chłopców. Takiej młodzieży, tak zorganizowanej, kochającej swoją ojczyznę nie widziałam "tam". Takich harcerzy jak wtedy w sierpniu 1946 roku, nie zobaczyłam już więcej.

To byli cudowni chłopcy. Wydawali się muskularni jak Herkulesi i piękni jak Apollini. Szli "Słonie" z Białegostoku, "Artyści" z Białej Podlaskiej zastęp wybitnie uzdolnionych muzycznie. Tej nocy wyjeżdżali ze Szklarskiej i śpiewem ją żegnali. Gdy tylko przestawali śpiewać, ze wszystkich okien

balkonów i tarasów rozlegały się głośne oklaski

Przeszedł ostatni zastęp, a my nie poruszyłyśmy się. Patrzyłyśmy w ślad za nimi, chociaż nie byli już widoczni. Nie mogłam ich zapomnieć.

Zaczęły się odnajdować i łączyć rodziny. Matka lub ojciec przyjeżdżali i zabierali swoich synów i córki. Nie było dzieci z dwojgiem rodziców. Pierwsze wyjechały Indykówny, potem coraz więcej dzieci opuszczało dom dziecka.

Wyjechała moja przyjaciółka Stasia. W noc przed jej wyjazdem wzięłyśmy się za ręce i spacerowałyśmy całą noc po drewnianych przejściach i mostkach. Przyżekłyśmy sobie, że będziemy zawsze jedna o drugiej pamiętać i spotykać się każdego roku.

Nie było wiele tych spotkań. Stasia pracowała ciężko na gospodarce i bardzo szybko wyszła za mąż. Potem rozwiodła się. Straciła urodę Lolobrygidy. Długo pisałyśmy do siebie. Stasia wyjechała do Anglii, znów wyszła za mąż. Pisała.

Od paru lat nie pisze.

Jesienią dowiedzieliśmy się, że mamy wracać pod Warszawę i będziemy mieszkać w domu dziecka RTPD w Śródborowie koło Otwocka. Pod koniec września znów byliśmy w pociągu.

Smutno pożegnałam się z księdzem. Był dla mnie dobry i jemu zawdzięczam to, że wróciłam do sił i zdrowia.

W Śródborowie też zamieszkaliśmy w prześlicznej willi o pięknej nazwie "Sopliczówka", a młodsze dzieci w "Zadumanej". Były one zarekwirowane paniom doktor, matce i córce i przekazane dla RTPD na dom dziecka. Obie panie doktor mieszkały obok w niedużym domku i leczyły nas. Mama była lekarzem dentystą, a córka lekarzem okulistą. Były zawsze miłe i pogodne. Wtedy pani doktor dentystka po raz pierwszy powiedziała do

mie: "Masz szansę być ładną dziewczyną, bo masz najpiękniejsze zęby jakie widziałam, a widziałam ich bardzo dużo w swoim życiu".

Głęboko wzięłam sobie jej słowa do serca i całe życie najbardziej dbałam o zęby.

Do szkoły poszliśmy do Otwocka. Kierownikiem był pan Władysław Szczepański - mądry i dobry nauczyciel. Uczyłam się dobrze i myślałam o gimnazjum. Mieściło się w dawnym kasynie gry. Marzyłam o niebieskiej tarczy, a potem o czerwonej...

Chwalili mnie nauczyciele i pan kierownik Szczepański, a najbardziej pan prof. Grużewski - nauczyciel języka angielskiego. Byłam najlepsza. Dzieci z domu dziecka nie lubił ksiądz-harcercz Jan Raczkowski, bo byliśmy w RTPD. Do harcerstwa nas nie przyjął.

Z całej duszy rwałam się do gimnazjum, ale pani dyrektorka zdecydowała, że pójdę do liceum pedagogicznego, a jeżeli nie chcę, to mogę krowy paść w PGR-e.

Wybrałam więc liceum pedagogiczne. Na swoje wielkie szczęście nie było takowego w Otwocku, wobec czego skierowano mnie i jeszcze trzy koleżanki do "Naszego Domu" na Bielanach w Warszawie.

Tu odżyłam, bo znów spotkałam wspaniałych ludzi, cudownych wychowawców, na czele których stał pan dyrektor Zdzisław Sieradzki - nasz kochany, niezapomniany "Lew", co nigdy na nas nie "ryczał".

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

"Nasz Dom" na Bielanach - czy kres tułaczki?

W tym domu unosił się duch legendarnego już doktora Janusza Korczaka. Tutaj dożywała swoich dni bliska współpracownica Doktora i Maryny Falskiej, pani Irena Dąbska. Wielu wychowawców znało i pamiętało szlachetnego, wielkiego Człowieka.

Pan Zdzisław Sieradzki starał się utrzymać charakter Korczakowskiego Domu. Narzście dobrze się czułam w domu dziecka, zresztą nie byłam już dzieckiem. Nie było tu ulubieńców, ani prześladowanych. To był prawdziwy "Nasz Dom".

W liceum pedagogicznym też miałam szczęście. Dyrektorką była pani Halina Powiadowska-Kowalewska, mądra, kochana i dobra. Wspaniały pedagog. Ona nie patrzyła, że jestem nędznie ubrana, biedna i z domu dziecka. Ona ceniła zdolności i dobrą naukę. Chyba do mnie miała słabość, a ja poszłabym za nią w ogień.

Matematyki uczył pan prof. Zygmunt Nalbach, który - jak i pani Powiadowska - cenił uczniów za umysł. Jemu również nie przeszkadzało moje biedne odzienie. Innym - owszem, lubili blichtr. Ja się uczyłam dobrze i matematykę - umiałam. Pan profesor nawet mnie zdołał nauczyć algebry i trygonometrii. Znow otrzymałam nagrodę za dobrą naukę i "wzorowe" zachowanie. Do "wzoru" było mi daleko. Mnóstwo razy byłam za drzwiami. Moja przekora i wredność nie ustąpiły wraz z przybywaniem lat. Poza tym niektórzy nauczyciele wybitnie nie lubili "repatriantów" ze wschodu. Mnie nie darzył sympatią "fizyk". Ja go również.

Zaśmiałam się głośno i wyskakując za drzwi wpadłam na panią dyrektor. Ona zaprowadziła mnie do gabinetu. Odrazu przybrałam twarz w smutek i powagę. Pani dyrektor powiedziała: "Pierwszy raz słyszałam twój śmiech, śmieję się, jesteś młoda i masz piękne zęby, nie bądź smutna". Kazała mi usiąść na fotelu, sama siadła obok i dodała: "Jak dorośniesz musisz mieć córeczkę, będzie piękna jak ty".

Po latach powiedziałam pani dyrektor, że mam malutką, śliczną córeczkę - Elizę.

W gabinecie śmiałam się i jadłam czekoladki. Ona, jakby usprawiedliwiając się, pytała: "a właściwie za co jesteś wyrzucona za drzwi?". - "Bo nie lubi mnie "fizyk" - odpowiadałam.

Brała mnie za rękę, byłam wyższa od niej i wprowadzała do klasy. Mówiła: "Panie profesorze, ona będzie już grzeczna, proszę ją przyjąć na lekcję". Uwielbiałam ją.

Trwało to jednak niedługo. Nagle został aresztowany Gomułka, a wraz z nim mąż pani dyrektor, minister Kowalewski. Panią dyrektor natychmiast zwolniono ze stanowiska. Opuściła szkołę.

Przysłano innego dyrektora, przyszli nowi nauczyciele. Nie wrócił do nas pan prof. Nalbach.

Źle się poczułam w szkole po wakacjach. Zaczęły się szpiegostwa i donosy. Wystarczyło kichnąć w jednym końcu korytarza, by na drugim usłyszeć "na zdrowie". Działacze ZMP szaleli. Zasiadali na naradach pedagogicznych, słuchali... Pouczali nauczycieli, jak "powinni" uczyć... Nie było wiadomo kto wróg, a kto przyjaciel i czy można rozmawiać otwarcie więcej niż w 2 osoby. Nie było się pewnym koleżanki ani kolegi. W klasach były "wtyki", "gumowe" uszy.

Byłam w żeńskiej klasie. Byłyśmy "zżyte" ze sobą, nie podejrzewałyśmy siebie o świństwa.

Kiedyś dowiedziałyśmy się, że pani prof. Litwin wróciła rozgoryczona z pod rosyjskiej granicy. Nie wpuszczono jej do Lwowa na pogrzeb ojca.

Nie spodziewałyśmy się, że wróci i lekcja była do "tyłu". Żadna nie miała ani zeszytu, ani książki, nie mówiąc o głowach w których pedagogika nie zagrzewała miejsca na długo. Wpadłyśmy w panikę. Z panią Litwin nie było żartów. Lekcja to lekcja: pytania, złośliwe uwagi i dwóje.

Dziewczęta prosiły mnie: "Zagadaj Litwinkę, zrób coś żeby nie pytała, zlituj się, ty potrafisz". Czasami udawało mi się od dzwonka do dzwonka wciągnąć profesorkę w "dyskusję". Zgodziłam się.

W czerni, ze złą twarzą, weszła pani Litwin do klasy. Rzuciła dziennik na stół i zaczęła wodzić palcem po liście, którą by to wywołać do odpowiedzi. Siedziała i sapała. Była dość tęga i męczyła się szybko. Zaległa całkowita cisza.

Wtedy wstałam i spytałam: "Pani profesor, czy była pani w Rosji?". Ona podniosła na mnie oczy, wychyliła swoje obfite kształty przez stół i powiedziała: "Czy ty myślisz, że Lwów to Rosja?" - poczerwieniała i tupnęła nogą.

Poczułam zły obrót całej sprawy i dodałam: "Przepraszam, w Związku Radzieckim".

Wtedy pani profesor zaperzyła się jeszcze bardziej i wrzasnęła: "Wiedziałam Taisówna, że jesteś głupia, ale że jesteś aż taka głupia, nie wiedziałam. Czy ty myślisz, że Lwów jest w Związku Radzieckim? Lwów był, jest i będzie polski."

Sparaliżowało mnie. Przeraziłam się nie na żarty. Wiedziałam o tym, że ludzie znikają nagle jak kamień rzucony w wodę.

Koledzy opowiadali mi o przesłuchaniach w SB, o tym co się dzieje na Rakowieckiej. Mówiło się, że jest to najdłuższa ulica w Polsce. Na przejście przez nią potrzeba paru lat, a czasami i życia za mało.

Kiedys z koleżanką spotkałyśmy panią dyrektor na Rakowieckiej. Wracała z "widzenia". Poszłyśmy do jej mieszkania. Nie było już na Dworkowej. Wyglądało jak "obszczezytie". Siedziałam i płakałam, skarżyłam się. Od pani dyrektor nie usłyszałam ani jednego słowa skargi...

... Usiadłam, wiedziałam, że nie mam kropli krwi w twarzy.

Pani Litwin krzyczała, wyzywała mnie, pieniała się. Przeklinała sojusze, przyjaźnie i miłość do "przyjaciół". Nie przerwała wyrzekam i złorzeczeń do końca lekcji.

Na przerwie żadna z dziewczyn nie podeszła do mnie. Wszystkie ogarnął blady strach. Ale czy wszystkie?

W "Naszym Domu" nikomu nie pisnęłam słówkiem o wydarzeniu na lekcji. Przyznaję, że się bałam. Chciałam mieć maturę, bo przyrzekłam sobie w dniu pogrzebu tata, że nie zawiedzie się na mnie, będę się uczyć.

Następnego dnia, gdy tylko zaczęła się pierwsza lekcja, przyszedł woźny i powiedział, że wzywa mnie dyrektor do gabinetu. Weszłam i prócz dyrektora zastałam młodego mężczyznę.

Dyrektor wskazał mi go i powiedział: "Pójdiesz z tym towarzyszem na komendę milicji".

Nie odezwałam się. Na nogach z waty zeszałam do szatni. W milczeniu pojechaliśmy na Żoliborz w okolicy ulicy Gen. Zajączka. Nie pytałam go o nic i on mnie również. Jakimiś zakamarkami wprowadził mnie do willi, wewnątrz której była siedziba SB.

Weszłam do dość dużego pokoju. Jakaś "szarpana" blondynka,

w spodniach, kazała mi usiąść na krześle, które stało prawie na środku. Było to na parterze. Willę otaczały drzewa bez liści. Za oknem świeciło słoneczko.

Siedziałam i patrzyłam na wróble radośnie skaczące po nagich konarach. Przez zamknięte okna dolatywało do mnie ich głośnie ćwierkanie.

Blondynka co chwila wychodziła i wchodziła. Sadowiła się wygodnie i już miała mnie o coś zapytać, gdy nagle "przypomniała" sobie coś bardzo ważnego, zrywała się z krzesła i wychodziła. Za chwilę wpadała innymi drzwiami /było ich chyba ze cztery/ i znów siadała przy biurku. Powtarzało się to bez końca z tym, że jej nieobecność stawała się coraz dłuższa.

Siedziałam bez słowa. Myślałam o mamie, Geniu i Emilu, o Marysi, której ciągle było mi żal, że nie uczy się śpiewu... Była solistką w chórze kościelnym, ale żaden z księży nie zainteresował się jej głosem, nie posłał do szkoły muzycznej.

... Po paru latach pracy "gardłem", w zawodzie nauczycielki, straciła swój cudownie brzmiący sopran. Sprawdziły się słowa Jeleny Fiedosjewny - odebrany został jej talent...

... Ciągle byłam sama w pokoju. Wiedziałam, że jestem tu w związku z wczorajszą lekcją. Zastanawiałam się jakie mogą być pytania do mnie, jak mam odpowiadać, jak postępować i czy będą mnie torturować.

Przesiedziałam w jednym miejscu może ze 2 godziny. Przez ten czas ciągle ktoś wchodził, "dziwił" się, że samotnie siedzę i wychodził udając zażenowanie.

Chciało mi się siusiu. Wstałam, a wtedy ze wszystkich drzwi wpadli ci, którzy "dziwili" się przed chwilą, że tu jestem. Kobieta wrzasnęła: "siadaj". Powiedziałam: "Chcę do toalety". - "Za chwilę" - odpowiedziała pani "kapitan" /sły-

szalałam, jak tytułował ją tak jakiś mężczyzna, składając spóźnione lecz "szczerze" życzenia z okazji dnia kobiet/. Otworzyła zeszyt i... wyszła.

Znów przesiedziałam sporo czasu, lecz nikt do mnie nie wszedł, pomimo, że przez cały czas mojej "samotności" słyszałam głosy, tupanie i śmiechy.

Zagłębiłam się myślami o naszej niedoli... Było mi bezgranicznie smutno, "Żeby żył tato, byłoby inaczej" - westchnęłam.

Przypomniałam sobie, jak na Gołtince mama mówiła: "Po wojnie pojedziemy i zabierzemy naszego tata do Polski, nie zostawimy go tutaj samego". Biedna, nie było jej stać na bilet z Kłodzka do Polanicy, a cóż dopiero do Kotłasa... Kto by ją puścił? Z kim miała rozmawiać, o czym? Przecież "uratowano" nas przed hitlerowcami /nie przed "Niemcami", jeżeli już - to przed "faszystowskimi Niemcami"/. Ukraińcy też nie mordowali robili to "wyłącznie" Upowcy. Na Sybirze nie było głodu, nędzy, kurzej ślepoty, galopujących suchot, łagrów, szalejącej śmierci... "Priemudriennyj generalissimus" "przesiedlił" nas - Polaków - dla naszego "dobra".

"Moja ojczyzna - myślałam - tato tak bez reszty kochał Polskę, narażał się komendantowi, gdyby nie Stasia, pewno leżałby bez imienia i nazwiska w śniegach Sybiru.

... Bardzo chciało mi się siusiu.

Mówiłam sobie: "Nie płacz, tylko nie płacz, trzymaj się" i zaczęłam cichutko płakać. Wiedziałam, że obserwują mnie, lecz nie mogłam powstrzymać łez i wzbierającego żalu. Czułam się upokorzona, zdeptana. Słoneczko zza okna poszło gdzie indziej, robił się zmierzch, a ja siedziałam głodna, spragniona i marzyłam o... ubikacji. Nie starałam się powstrzymywać swoich łez. ~~Plakałam~~ coraz żałośniej, rozczulałam się nad sobą. Szło-

chałam tak, że nie mogłam złapać tchu. Wstałam z determinacją i skierowałam się do pierwszych drzwi jakie zobaczyłam. Wtedy znów wbiegła pani "kapitan" i kazała mi sięść na krzesło. Nie przerywałam płakać. Za oknem było już prawie ciemno. Zaczęłam się modlić w duchu, abym się nie zsikała /żałuję, że nie zrobiłam tego/. Byłam całkowicie wyczerpana.

Pani "kapitan" weszła z kwiatami i włożyła je do tego samego wazonu, w którym stały poprzednie, nieświeże z 8 marca.

... Mama nienawidziła tego święta. Zrobiono je po to, aby umęczonym kobietom, pracującym w najgorszych warunkach, wykonującym najcięższą czarną robotę - raz w roku dać jeden kwiatek i talon na pończochy, bo w sklepie nie kupią /mama dawała pończochy służącej/. Niech im się zdaje, że coś znaczą, że mają "równouprawnienie", ale na codzień "brygadirem" był mężczyzna, a kamienie układały kobiety...

... Nie zastanawiałam się, która może być godzina i ile czasu tu jestem. Pomyślałam czy w "Naszym Domu" wychowawcy pytali o mnie i co się stało z moimi książkami i zeszytami. Powoli uspokajałam się. Nawet cieszyłam się, że nie ma nikogo i nikt na mnie nie patrzy, bo wiedziałam, że jestem spuchnięta od płaczu. Zagłębiłam się myślami w siebie... myślałam o moim dzieciństwie... byłam na osadzie... Żeby tylko mogła zrobić siusiu...

Drgnęłam i omal nie spadłam z krzesła, gdy znienacka pani "kapitan" trzasnęła drzwiami. - "Nerwowa jesteś" - powiedziała i zapaliła lampę na biurku. Światło skierowała prosto w moją twarz. Zasłoniłam ręką oczy, ale nie na wiele to się zdało. Reflektor raził mnie, a spłakane, suche oczy bolały. Ona kazała mi opuścić rękę, bo musi mnie dobrze widzieć. Zadała mi pytanie, co było wczorajszego dnia na lekcjach. Uda-

wałam, że nie rozumiem, o co jej chodzi. Powiedziałam, że nic specjalnego, lekcje jak lekcje. Kazała mi się bliżej biurka, jeszcze bardziej skierowała światło prosto w twarz. Było mi gorąco, dostałam wypieków.

Powtórzyła pytanie. - "Nie wiem o jaką lekcję chodzi?" - powiedziałam. Zerwała się, poradziła mi, żebym nie udawała głupszej niż jestem, bo ona dokładnie zna przebieg lekcji z panią Litwin. Odpowiedziałam, że nie bardzo pamiętam, co było takiego specjalnego na tej lekcji.

Chyba spieszyła się, już, bo zasyczała do mnie, że jeżeli nie powiem, to ona zmusi mnie, żebym "przypomniała" sobie lekcję pedagogiki. Z biurka wyjęła zeszyt i dokładniusięńko, słowo w słowo, przeczytała mi przebieg mojej rozmowy z panią Litwin, jakby była zapisana na taśmie. - "Czy już przypomniałaś sobie?" - spytała. "Nie wypierasz się, że tak właśnie rozmawialiście?". Skinęłam głową.

Usiadła i spokojnie zaczęła pytać mnie o "Nasz Dom", co myśli pan Sieradzki /tak wyraziła się, "co myśli"/, o czym rozmawiamy z panią Hanką /zastępca dyrektora, a potem jego żona/, czy odwiedza ktoś panią Dąbską. Świetnie znała nie tylko pracowników lecz także wychowanków. Rzucała nazwiskami jak z rękawa.

- "Nie wiem" - powiedziałam krótko. Nienawidziłam jej tak bardzo, że mogłabym z zimną krwią rąbnąć ją czymś w te wstrętne, wlepione we mnie wilcze ślepia, ale... bałam się.

Wyzwała mnie od kretynek i idiotek, mnie tam było wszystko jedno.

- "Aha - przypomniała coś sobie i starała się uśmiechnąć. "Chciałaś do ubikacji, tam" - pokazała ręką. Nie ruszyłam się nawet. Udała, że nie zauważa mojej nienawiści. Słodkiutkim głosem spytała, co robi moja mama, z czego żyje, kiedy wró-

ciliśmy, czy chciałabym studiować. Znow zaczęłam płakać. Zupełnie nie zwracała uwagi na mój płacz.

- "Możesz mieć dobrze, studiować, pomogłabyś mamie... tylko przyjdiesz do mnie i powiesz, co tam ciekawego dzieje się..."

- "Nie" - przerwałam jej.

Była wściekła, kazała mi wstać i powtórnie odczytała cały przebieg nieszczęsnej lekcji. Wskazała miejsce, gdzie mam podpisać. Dodała, że jeżeli komukolwiek pisnę słówkiem o tym, gdzie byłam i o czym "rozmawiałyśmy" grozi mi sąd-wojskowy.

Gorzej się czułam niż zbity, bezpański pies. Wyszłam i w krzakach wysiusiałam się.

Nie miałam co ze sobą zrobić, a do "Naszego Domu" nie chciałam jechać. Szłam przed siebie i myślałam, czy pani Litwin dowie się kiedyś, że to nie ja byłam "gumowym" uchem.

15-tką pojechałam na Marszałkowską. Wsiadłam przy kinie "Polonia" i weszłam do kawiarni "Gajewskiego". Nie poznałam siebie w lustrze. Usiadłam przy stoliku. Nie wiedziałam jak się zachować, byłam pierwszy raz w kawiarni. Podeszła kelnerka.

- "Poproszę szklanę wina" - głos mi się załamał. Ona popatrzyła na mnie uważnie, chciała coś powiedzieć, ale uśmiechnęła się tylko.



ПОХВАЛЬНАЯ ГРАМОТА

Выдана ученице III-го класса польской школы
при Чкаловском детском доме для польских детей
Щелковского района (села, города, района и края - области) Московской области
Тайс Фелиции Валентиновны
(фамилия и имя)

ЗА ОТЛИЧНЫЕ УСПЕХИ И ПРИМЕРНОЕ ПОВЕДЕНИЕ

ст. Чкаловская

город, село

11 и ноября 1944 г.

№ 5.

М П

Директор школы Барцэвская Л. А.

Учитель: Барцэвская Л. А.

Moja "Podolska granica" - list podolski z wyprawy z r. 1844
w Cerkoszkowej w 1844 roku ~ polskiej szkole

id

II/197A ±

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Pod
woś
je
wych
Wios-
200 pr
siebior
zentu
wowy,



reji
M

Fol. II 1197 A / t - 3

© ARCHIWUM WROCŁAWIA

(424)

Ola i Stasia
Wrocławskie.

Ma pamiątkę kabanę, kaleriance

Taję Felicję od kalerianki

Stasi Wrocławskie

z domu drecche

z Czeatowskie

Dnia 1/I - 1945.

1. 7
Ole
czt
rowia
regio



1.1. 4/197 #/E-4

(424)

na pamsky dnep
rozdruze

Manysi od Teli

W Cekatadurj

Dma A. II. 1946.

me repemj o mma

Ja - ka midro; ad lew'

Jaulis Mirelesko



siębi
ujac
spó

co: u

prz
dzia
usi

watp
rty

wply
rwsz

wow
H

7 b
Jlecho

zbroj
wiadal
zej wo
nyc Mi
b

Fot. 9 / 194 A / t - 5

(424)

© ARCHIWUM WARSZAWY

moja mama
Stefania Tais
z Zawadnich,



(424)
moj tato

Łódź II/198 A/2-2

Walerdy Tais © ARCHIWUM WSKOENIE



424

© ARCHIWUM WSCHODNIE

moja matka Maria
(ryjona) i ja Felicja
Tais (konarska).



424

F. t. u 1197 A/E-6

© ARCHIWUM KRAJOWE

Tesac internat

14 VII 1943 r.